

PO SKRYTYKOWANIU SZEFA RZĄDU

Wojciech Cejrowski o kulisach
zamknięcia mu konta na Facebooku



Ziobro kontra Morawiecki
- Semka o wojnie
w Zjednoczonej Prawicy

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

NR 29/485 18-24 LIPCA 2022

CENA 9,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

NASTĘPCA
GORTATA

JEREMY
SOCHAN,
POLAK W NBA



Sprawa Tomasza Lisa, czyli
„Moralność pani Dulskiej” 2.0

Znowu chcą nas nastraszyć

OD COVID-19 DO COVID-22



9



Nakład: 54 000 egzemplarzy

ISSN 2299-8500

Nr indeksu 288 829

29

epi.pasa.pl f853a79b9b



ROAMER
OF SWITZERLAND

7 YEAR
WARRANTY





PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Globaliści nie złożyli broni

Wszyscy znają to uczucie: na niebie tylko niewielkie chmury kotłują się na horyzoncie, ale jest tak parno i duszno, że ani chybi będzie z tego burza. Zastanawiam się, czy podobnie nie należy traktować różnych, mniej i bardziej wyraźnych sygnałów o powrocie pandemii/panpsychozy. Niczym upiory spod ziemi na światło dnia wychynęli dawni eksperci. Od dawna niesłyszany prof. Krzysztof Simon znowu wspomina o hekatombie i powtarza niczym katarynka strasznie zgraną melodię, że trzeba się szczepić. „Gdybym ja był decydentem, to obowiązkowo zaleciłbym szczepienia wszystkim po 60. roku życia” – mówił w wywiadzie dla jednego z mediów. Na szczęście nie jest.

Odziwo, nie wszyscy dawni hardlinerzy podążają tą samą drogą. Z chóru licencjonowanych covidian wyłamał się ostatnio prof. Włodzimierz Gut. W rozmowie z PAP stwierdził, że „ponad 90 proc. osób zetknęło się już z wirusem. Zgony i ciężkie przebiegi na masową skalę już nam nie grożą”. Największą herezję wygłosił jednak w dalszej części rozmowy. Powiedział to, za co jeszcze kilka miesięcy temu media głównego nurtu oraz większość polityków rządu i opozycji rozszarpałyby go i napiętnowały jako foliarza. Profesor Gut zauważył mianowicie, że to koncernom farmaceutycznym może zależeć, żeby temat koronawirusa nie zniknął z przestrzeni publicznej. „Jak jest choroba, to są potrzebne leki. Na lekach się zarabia, a i część koncernów zbudowała swoją bardzo mocną pozycję od początku epidemii”. Tfu, tfu, cóż za podłe i haniebne insynuacje! Tfu, tfu, co za straszne podejrzenia, których nie godzi się badać i sprawdzać! A na pewno,

ale to na pewno, nie zrobi tego polski minister zdrowia.

Ten zresztą też odradza się niczym feniks z popiołów i próbuje wrócić do wielkiej gry. Chwilowo zauważyłem, że opowieść o szóstej fali niezbyt chwyciła. Może dlatego, że Polacy uodpornili się na doniesienia o falach, mutacjach, wirusach? Wyniki przeprowadzonych na początku lipca badań pokazały, że co czwarty respondent zachowuje „zdecydowany spokój” (24,5 proc.), a 40 proc. „raczej zachowuje spokój”. Łącznie daje to 64,5 proc. Polacy wykazują się zdrowym rozsądkiem i nie będzie ich łatwo nastraszyć.

Nie jest to jednak niemożliwe, co pokazują przykłady innych państw, które pod wpływem informacji o wzroście liczby zachorowań już zaczęły albo wracać do obostrzeń, albo zapowiadać ich wprowadzenie. Gołym okiem widać absurdalność tych posunięć. Wzrost liczby chorób, zaziębień itd., itp. jest właśnie konsekwencją masowych lockdownów i nakazu noszenia maseczek. Rządowi nie udało się zwalczyć wirusa, co było z góry oczywiste. Skutecznie jednak doprowadziły one do osłabienia odporności własnych społeczeństw.

Skąd zatem bierze się niepokój? Chciwiście koncernów i ich potęga to na pewno część prawdy. Niektóre mają przecież zasoby większe niż budżety państw narodowych. Kupienie sobie tego lub owego ministra, profesora lub eksperta to żaden problem – przy czym nie chodzi tu o proste przekupstwo. Oferowane przez gigantów korzyści mogą mieć różny charakter. A to może chodzić o zatrudnienie, a to o przyznanie grantów, a to jeszcze o co innego.

Nie na tym polega jednak największe niebezpieczeństwo.

Otóż, obawiam się, politycy zwyczajnie zasmakowali w reżimie sanitarnym. W wielu państwach dominuje lewica, tu i ówdzie liberalna, jak na Zachodzie, tu i ówdzie marksistowska, jak w Chinach. Wszędzie etatystyczna. To zaś oznacza, że dzięki instrumentom władczym, jakie daje walka z wirusem, można uzyskać pełną kontrolę nad obywatelami, potrzebną do wprowadzania w życie różnych utopijnych projektów. Walka z COVID stała się dla niektórych rządów – doskonale widać to w Kanadzie czy Holandii – poligonem, na którym można było przetestować poziom społecznej uległości.

Umiejętnie prowadzona kampania strachu pozwala zmniejszyć znaczenie słów. Dzięki temu solidarność społeczna stała się instrumentem powszechnego zniewolenia. Wszyscy nosimy maseczki, bo wszyscy ponosimy odpowiedzialność za drugich. Wszyscy się szczepimy, bo każdy niezaszczepiony jest niebezpieczeństwem dla wszystkich. Granicą mojej wolności jest życie i zdrowie innych. Przy pomocy tych sloganów można skutecznie zniszczyć opór.

Nie wiem, czy globaliści sami to wymyślili czy też tylko wykorzystali nadarzącą się sposobność, ale sanitarystom to najlepsze, co mogło się im trafić. Wszyscy oddychamy powietrzem, więc niektórym trzeba zakazać hodowli zwierząt, a innym odebrać prawo do jazdy spalinowymi samochodami. Prawo własności kończy się tam, gdzie zagraża innym. Wszyscy zamieszkujemy Ziemię, a więc trzeba nią wspólnie zarządzać i nikt nie może się wyłamać. Wolność i własność to samowola i trzeba je napiętnować.

Covidianie i globaliści nie złożyli broni. ©



TEMAT TYGODNIA

14 JERZY KARWELIS
WITAMY COVID-22
Co zrobią z nami jesienią?

KRAJ

18 PIOTR SEMKA
„WOJNA NA GESTY, WOJNA NA SŁOWA...”
Premier kontra ziobryści

21 ŁUKASZ WARZECHA
NIEKOŃCZĄCA SIĘ HISTORIA

24 KAMILA BARANOWSKA
PR TO NIE WSZYSTKO

26 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
OSWAJANIE TRAGEDII

28 ROZMOWA Z KRZYSZTOFEM KUCZYŃSKIM
**BEZ BRONI, BEZ HEŁMÓW,
BEZ KAMIZELEK KUŁOODPORNYCH**

30 ŁUKASZ ZBORALSKI
NIENAPRAWIALNI?

32 TOMASZ ROWIŃSKI
MORALNOŚĆ PANI DULSKIEJ 2.0

KULTURA

34 PIOTR SEMKA
RAFAEL – ULUBIENIEC NIEBIOS
Wystawa prac mistrza pędzla

38 PIOTR GOCIEK
CHŁOPAKI NA LATO

NIE PRZEGAP

40 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

DODATEK SPECJALNY

43
**WIELKIE
POSTACIE
POLSKIEJ
NAUKI**
Piękne
umysły, czyli
genialni polscy
matematycy
i informatycy



OPINIE

62 KAROL GAC
DYREKTYWA Z OPÓŹNIONYM ZAPŁONEM
Kolejny mechanizm szantażowania Polski?

64 WOJCIECH GOŁONKA
**KUCHENNY RASIZM,
CZYLI WOKERSI W WALCE Z „BIAŁOŚCIĄ”**

HISTORIA

66 ROZMOWA Z PROF. JANEM PISULIŃSKIM
TAJEMNICA BANDERY
Stworzył klimat zbrodni na Wołyniu

ŚWIAT

72 MACIEJ PIECZYŃSKI
PARTYZANCI UKRAINY
Na tyłach wroga

74 TERESA STYLIŃSKA
SINN FÉIN NA NOWEJ DRODZE

76 MARIA KĄDZIELSKA
ZRANIONE SERCE JAPONII

EKONOMIA

78 ROZMOWA Z JANUSZEM KOWALSKIM
KOSZTOWNE BŁĘDY POLSKI
Bankructwo polityki Green Deal

82 JAKUB WOZIŃSKI
ZBROJENIA NA FINANSOWY REKORD

SPORT

88 ŁUKASZ MAJCHRZYK
NASTĘPCA GORTATA
Z ziemi angielskiej, przez Polskę, do USA

O ZDROWIU

90 ROZMOWA Z PROF. MONIKĄ ADAMCZYK-SOŁĄ
**Z WŁĄCZENIEM LECZENIA SM
NIE MOŻNA CZEKAĆ**
Pacjenci z SM mogą być skutecznie leczeni

FELIETONY: SEMKA (6), GMYZ, GOCIEK (7), ZIEMKIEWICZ, JUREK (8), KOWALCZUK (9), ZYCHOWICZ, KOPER (70), PRZYBYLSKI (71), GABRYEL, WARZECHA (84), KOMUDA (94), POSPIESZALSKI, KARWELIS (95), JĄSTRZĘBOWSKI, WOŁCZYK (96), KUCHARCZYK (97), CEJROWSKI (98)



PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Upiorne miasta hotele

Pisanie o Warszawie w tygodniku ogólnopolskim to zawsze ryzykowna sprawa. Ale otwarcie w stolicy z wielką pompą placu Pięciu Rogów to dobra okazja do poruszenia ważnego problemu. Plac Pięciu Rogów to nazwa nieformalna, oznaczająca powstanie wybetonowanej przestrzeni między ulicami Chmielną, Bracką, Szpitalną, Al. Jerozolimskimi i ul. Zgoda. W teorii chodziło o stworzenie czegoś w rodzaju włoskiej piazzy, na której ogniskować się mogło życie kawiarniane i rozrywkowe.

Ale dla wielu warszawiaków widok placu Pięciu Rogów robi bynajmniej nieprzyjemne wrażenie. Stworzono pustą, wybetonowaną przestrzeń, na której tzw. spontaniczne życie przyjmuje się bardzo powoli. Nic dziwnego, że w sieci można znaleźć bardzo wiele głosów oburzenia. Jeden z internautów pisze: „W latach 90. Warszawa, a właściwie jej centrum, była miastem bazarem i na swój sposób było to wspaniałe. W tym chaosie, w tych szczękach i stolikach turystycznych tętniło prawdziwe życie. Obecnie jest miastem hotelem, a będzie nim jeszcze bardziej, bo

w takim kierunku idą i prezydent Rafał (Trzaskowski), i udający-że-go-krytykują aktywiści, którzy tak naprawdę wszystko to popierają i inspirują. To dlatego zamiast drogi rowerowej na moście Poniatowskiego, która przydałaby się mieszkańcom, mamy sukces w postaci placu, gdzie turyści mogą w nocy zwymiotować po frytkach z majonezem”.

Krytycy takiego zagospodarowania placu Pięciu Rogów wskazują, że rzekomo szczytne idee wchodzenia na śródmiejską piazzę to tak naprawdę zabijanie miejskiego życia. Jeden z obywateli, który zabrali głos w tej sprawie, podał konkretny przykład. Na nowy plac nie mogą już wjechać żadni kurierzy na rowerach czy skutrach. Zlikwidowano ciąg komunikacyjny między Al. Jerozolimskimi a placem Powstańców Warszawy i wszyscy mieszkający wokół zwykli ludzie nie otrzymają już pizzy na telefon czy paczki z firmy kurierskiej. Tajemnicą Poliszynela jest to, że Śródmieście zamieszkują już tylko starsi ludzie, a lokale po ich śmierci przechwytywane są przez firmy, które wynajmują je zagranicznym turystom wpadają-

cym do Warszawy na trzy-cztery dni. Ci cudzoziemcy nie potrzebują żadnych usług, nie potrzebują tanich sklepów spożywczych, nie potrzebują szewca, nie potrzebują biblioteki rejonowej czy nawet księgarni. W ich kręgu zainteresowania są tylko lokale (zazwyczaj drogie), zabytki i hotele.

Już oglądałem taką narastającą martwicę starówki w Pradze czy w Wilnie. Jako miłośnik książek nieodmiennie rozpoznaję ten chorobowy syndrom po znikaniu księgarni i antykwariatów książkowych. Bo tak się dzieje, że większość turystów chce się nażreć, nachlać i zajrzeć do jakiegoś klubu go-go. Ten proces zamienił krakowski rynek w coś, co sami krakowianie nazywają „kurwidołkiem”, na którym natrętni łapacze oferują przybyszom lokale z rzekomo darmowym pierwszym drinkiem.

Teraz obserwuję, jak po pożarciu przez tę tendencję warszawskiego Nowego Świata proces powstawania miasta hotelu pochłonie prawdopodobnie ul. Chmielną i dawne skrzyżowanie z Bracką i Szpitalną. Nie wymagajcie ode mnie, żebym się z tego cieszył. ©©

UWAGA! BRAK GAZU?!

Po tym, jak Rosja zakręciła Europie kurek z gazem, do przerw w dostawach błękitnego paliwa przygotowują się już rządy w Paryżu i w Berlinie. Władze w Warszawie oficjalnie braku gazu się nie boją. Mimo to nieoficjalnie rząd uznaje takie zagrożenie za realne i już podejmuje działania, które mają ułatwić przetrwanie ciężkiej zimy. Jeszcze przed rozpoczęciem tegorocznego sezonu grzewczego w życie mają wejść przepisy, których celem jest wzmocnienie bezpieczeństwa energetycznego w związku z sytuacją na rynku gazu. (jap) ©©



FOT. ANDRZEJ IWANCIUK/REPORTER

Zżycia partii. Miało być pięknie, wyszło jak zwykle. Chodzi o nowe okręgi pełnomocników. Pomysł był taki: odsunąć lokalnych baronów i posłów, zatrudnić profesjonalistów, którzy zaktywizują aktyw. A sami nie będą mogli kandydować. Niestety, najpierw jęki w PiS odsunęły reformę o rok, potem aktyw wymógł, że aktualni posłowie mogą jednak być. A ci mogą ponownie kandydować. Efekt jest taki, że donosicielstwo i skrytobójstwo lokalne nigdy nie kwitły równie mocno.

Przez najbliższe trzy miesiące będzie szczególnie ciekawie. Gdyż dotychczasowi nowi pełnomocnicy okręgów zostali powołani na próbę. Na trzy miesiące. Żeby zobaczyć, jak się sprawdzają. A potem ewentualnie powoła się jeszcze nowszych nowych pełnomocników. Hasło „Największym wrogiem kolega z listy” jest już nieważne. Teraz największym wrogiem jest po prostu kolega.

Witamy w Polsce nowego ambasadora Niemiec Thomasa Baggera. Przypominamy, że o tym, kto dostanie nominację, napisaliśmy nawet dwa razy. W lutym jako news, w czerwcu jako przypomnienie. Jutrzejsze wiadomości podajemy dzisiaj. A dzisiejsze – wczoraj.

Na początek ambasador Thomas Bagger oświadczył, że Niemcy nie zawsze były dobrym sąsiadem Polski. Panie ambasadorze, doprawdy, to zbytek skromności. Skąd ten czas przeszedł?

Apropos Niemiec i walki o praworządność. Na ostatniej sesji w Strasburgu niemiecki europoseł Zielonych wystąpił z ciekawą koncepcją. Otóż podczas debaty nad zamieszkami w Tadżykistanie zasugerował wymuszenie na władzach tego kraju przestrzegania praworządności. „Na początek” powiedział: „Żeby strzelali do tłumu plastikowymi kulami!”. Jakże cenimy niemieckie standardy!

Żegnamy Borisa Johnsona. Lubimy gościa, ma talent, czytaliśmy jego książki. W tym o Churchillu i o starożytnym Rzymie oraz zjednoczonej Europie. Chcieliśmy rzucić cytatem, ale pożyczylimy je kiedyś pewnemu dużej

mu wydawcy, żeby przeczytał i wydał. Nie przeczytał, nie wydał, książkę nie oddał, Boris złożył dymisję i tak zostaliśmy z naszą wiedzą jak Himilbach z angielskim.

Dalej niesiemy kaganiec oświaty. Jako pierwsi w Polsce ogłaszamy, że czytaliśmy książkę Penny Mordaunt, która aktualnie prowadzi wśród kandydatów do zastąpienia Borisa. Lektura jest dawna, bo jeszcze z zeszłych wakacji. W książce „Greater” Penny pisze, jak to w dechę się stało, że zrobiono brexit. I my się z tym w sumie zgadzamy. Swojego egzemplarza już nikomu nie pożyczymy, chcecie wydawać, to sobie sami kupujcie.

Zżycia elit. PiS zawiesił szczecińską radną Małgorzatę Jacynę-Witt za to, że ogłosiła, iż jest elitą i gra w golfa. Wiadomość zza kulis – tymczasowo zawiesił. Naszym zdaniem kara jest przesadna, radna ukarała się sama, gdyż – jak wiadomo – z przynależnością do elit jest jak z klasą: każdy, kto musi oświadczać, że ją ma, nie ma jej z pewnością. Tak czy inaczej PiS potwierdza, że jest partią antyelitarną.

ZTwittera. Najdłuższy polski mecenas zwany Koniem oznajmił, że Zizou Ziobro idzie pod wodę, a PiS znajdzie nowego koalicjanta. Jak zwykle jest całkiem na odwrót. Wiewiórki mówią, że akcje Zbyszka zwyczajają, bo PiS-owcy po cichu przyznają, że miał rację, gdyż pieniędzy z KPO nie ma i nie będzie.

Akcje Zbyszka zaczęły zwyczajować, odkąd szeregowy już niewicypremier Jarosław Kaczyński ogłosił

awans Mariusza zbrojnego na wicepremiera. Dość powszechnie w szeregach partii uznano to za rodzaj wotum nieufności wobec Mateusza. I żeby było jasne – owo wotum nie oznacza, że Mateusz przestanie być premierem. Mało tego, będzie premierem nawet bardziej. Aż do wyborów. A potem? A potem się zobaczy.

ZTwittera 2. Z wielowątkowej dyskusji na temat tego, kto jest zdradzą wśród wspierających Eine Totalopposition dziennikarzy i redaktorów, zainteresował nas pewien przegapiony wątek. Wyzywanie się od zdrajców dotyczy – jak wiadomo – tych, którzy opowiadają głośno o tym, jakim milutkim szefem był Tomasz Lis. A przegapiony wątek? Otóż najgłośniej broni Renaty Grochal niejaka Magda Fistas-Dukaczewska, żona byłego szefa WSi gen. Marka Dukaczewskiego. Czyżbyśmy właśnie odkryli źródło „sprawdzonych informacji” o PiS, które zamieniają się w „Newsweeku” w teksty?

Zwymiaru sprawiedliwości. Chwilo-wo wstrzymano proces nominacji nowego zastępcy prokuratura krajowego. Odkryto, że do końca komuny był członkiem PZPR. I sprawa utknęła gdzieś w czeluściach Pałacu Prezydenckiego. Oczywiście w tej informacji ukryliśmy także przemysłny żarcik. Jaki? W Pałacu nie ma czeluści. Niemniej sprawa utknęła.

Mieszkańcy Kaukazu „to karaluchy”, „Krym zostanie częścią Rosji”, a Abchazja, Osetia Południowa i Naddniestrze to niezależne republiki. To mówi „nowoczesny nacjonalista” Aleksiej Nawalny. Tak tylko przypominamy, bo do rady jego antyputinowskiej fundacji właśnie weszli Francis Fukuyama,

Guy Verhofstadt i Anne Applebaum, czyli żona Radka Sikorskiego. Tak tylko chcieliśmy przypomnieć, kogo popierają. Tym, którzy mówią: „Ale przecież Putin posadził Nawalnego w więzieniu”, odpowiadamy: No i co z tego? Narodowego bolszewika Eduarda Limonowa też kiedyś posadził. ©

dwaj panowie





RAFAŁ A.
ZIEMIAKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Kolorowi Polacy

Na lotnisku w Amsterdamie, w kilometrowej kolejce do bramek, pani z obsługi postanowiła rozdzielić mnie ze znajomym. Ten, który akurat gada przez telefon (znaczy ja) na lewo, a pan na prawo. „It's my friend, we are together” – protestował znajomy, ale pani, nie dbając o to, pchała go w drugą stronę. Wtedy spojrzał na nią groźnie i pokazując mnie, rzekł: „It's my partner!”. Mój Boże, żebyście widzieli, co się wtedy stało z twarzą tej pani! Jakby w nią piorun strzelił. W „Życiu i niezwykłych przygodach żołnierza Iwana Czonkina” Wojnowicza jest taka scena, jak przewodniczący kołchozu w krasomówczym uniesieniu wali w coś pięścią i ponieważ uświadamia sobie, że to popiersie Stalina. Biedaczka miała właśnie dokładnie taką minę, jak musiał

mieć ów przewodniczący, gdy sobie uświadomił, kogo „in effigie” palnął w łeb.

Opowiadam o tym nie tylko po to, by zawczasu uprzedzić głupie plotki gdyby co (trochę Polaków w tej kolejce stało), lecz także dlatego, że córka przesłała mi właśnie link do strony organizacji Coalition of Communities of Color z Uniwersytetu Portland, która głosi, że Słowianie nie są białymi, ale kolorowymi właśnie.

Nic nowego. Sławomir Mrożek już 40 lat temu pamiętny „Donos do Organizacji Narodów Zjednoczonych” zaczął słowami: „Donoszę, że Polacy to też Murzyni, tylko biali; w związku z tym należy im się niepodległość”. I to jest koncepcja na dzisiejsze czasy. Organizację CCC powinna Polska dopieścić maksy-

malnie i na każdym kroku zacząć podkreślać, że słowo „niewolnik” nie przypadkiem we wszystkich zachodnich językach zawiera źródłosłów „slav-”. Wyobrażacie sobie minę takiej Jourovej, La Puerty czy der Leyen, kiedy uświadomimy im, że prześladowają lud kolorowy? Szok pani z lotniska to przy tym będzie nic!

Panie premierze! Przy najbliższej okazji „zrób pan lament, zrób pan krzyki” (że zacytuję starą piosenkę) i powiedz im pan, że się IDENTYFIKUJEMY jako czarnoskórzy. A co? Inny Rafał publicysta, Otoka-Frąckiewicz, jak sam mówi, jest piękną kobietą uwięzioną w ciele brzydkiego mężczyzny. Ja, nawiasem mówiąc, też, tyle że ja przynajmniej jestem uwięziona w mężczyźnie zabójczo przystojnym. ©©



MAREK JUREK

OD POZACZĄTKU

Lekarzu, lecz się sam

Pięć dni po unieważnieniu przez amerykański Sąd Najwyższy aborcyjnego wyroku Roe vs. Wade Dariusz Rosiak w swym programie „poinformował” słuchaczy, że w Stanach Zjednoczonych „pojawiają się głosy, że ten Sąd Najwyższy może zakazać wszystkiego, nawet małżeństw wielorazowych”. Autor „Raportu na dziś” tak się przejął „pojawiającymi się głosami”, że zaproszonego do studia eksperta, Marcina Fatalskiego, amerykańnistę z UJ, zapytał: „Czy rzeczywiście to orzeczenie może prowadzić do tak dramatycznych rozwiązań?”, więc – czy prenatalna ochrona życia doprowadzi do zakazu (i pewnie rozwiązania) małżeństw białych i czarnych Amerykanów.

Doktor Fatalski wyjaśnił, że raczej nie. Bo „jednak Zachód, więc także Stany Zjednoczone, przeszedł pewne etapy w sposób nieodwracalny, więc trudno wyobrazić sobie realizację tego pomysłu”. I tak słuchacze dowiedzieli się nie tylko o „głosach, czego ten Sąd może zakazać”, lecz także o „pomyśle”, który jest, tyle że na szczęście, „trudno wyobrazić sobie jego realizację”. Jeśli ktoś chciałby pokazać, w jaki sposób latają fake newsy, lepszego przykładu nie znajdzie.

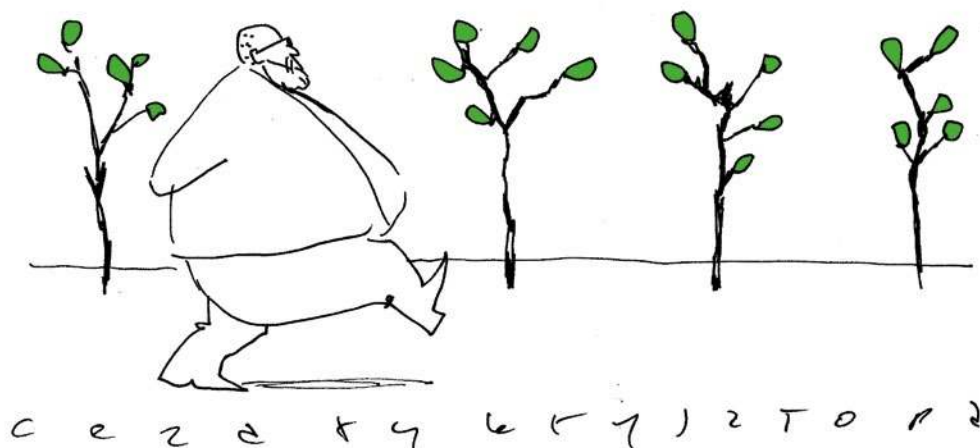
Słuchając tej audycji, przypomniałem sobie misję obserwacyjną w czasie wyborów rumuńskich w 1990 r. Komuniści straszili wtedy Rumunów, że jeśli prezydentem zostanie Ion Rațiu,

historyczny przywódca Partii Narodowo-Chłopskiej (!), to wróć bojarzy i chłopci będą musieli pańszczyznę odrabiać. Do tej pory uważałem to za najdrastyczniejszy przykład insynuacyjnego absurdu, jaki osobiście słyszałem. Nigdy jednak nie spodziewałem się, że podobne „obawy” i „opinie” będą u nas poważnie roztrząsać poważni publicyści i eksperci.

Nie tak dawno Dariusz Rosiak – pomstując na Trumpa, Orbána i Kaczyńskiego – ubolewał, że „żyjemy w świecie, w którym sfera faktów została odłączona od oceny”. Teraz sam kolportuje „oceny”, które z faktami mają tyle wspólnego, co informacja Dmitrija Pieskowa o ukraińskim nazizmie. ©©

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA

Fraus Timmermans wizytuje ekologiczną
plantację niemieckiego zielonego węgla
...



PIOTR KOWALCZYK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

Włoska robota

W 2020 r. ówczesny rząd premiera Contego wydał z siebie i zrealizował utopijny, dwuletni projekt „Superbonus 110 proc.”. Miał pobudzić gospodarkę, szczególnie przemysł budowlany, a także zmniejszyć emisję CO₂.

rodzaju ogrzewania na tańszy czy instalacją paneli słonecznych.

Bilans zamkniętego właśnie programu jest smutny. Skarb państwa już utopił w nim 25 mld euro, z czego, jak się okazuje, co najmniej 6 mld, czyli jedną czwartą, przyznano oszustom. Koszty szalbierstwa poniesie podatnik, a statystycznie wypada 100 euro na mieszkańca, od osesków do staruszków. Zdaniem ekspertów żadnego z celów programu nie osiągnięto. Na emisję CO₂, ekologię i przemysł budowlany nie miał żadnego wpływu. „Elity umalowały sobie fasady” – pokpiwa dziennik „Libero”.

Trudno uniknąć podejrzeń, że w oszustwie na tak ogromną skalę musieli uczestniczyć urzędnicy, lokalne władze i pracownicy banków, którzy decydowali o przyznaniu finansowania. Na przykład w Neapolu, stolicy włoskiego bez-

prawia i rozgardiaszu, 143 osoby i stowarzyszenia wyłudziły od państwa 800 mln euro, nie robiąc nic. Żadnych prac nie wykonano. Ba! Jednemu neapolitańskiemu „przedsiębiorcy” przyznano w sumie 34 mln euro na restrukturyzację domów, której nie mógł zrealizować, bo odsiaduje długi wyrok w Casercie za działalność mafijną. Trzystu spryciarzy otrzymało bonus na remont budynków, których nie ma i nie było, a 400 na remont domów, których właściciele nic o tym nie wiedzieli. Jeden Bóg wie, ilu oszustw nie wykryto.

We włoskich komentarzach można wyczytać, że program „Superbonus”, kontrowersyjny sam w sobie, może udałoby się zrealizować w Niemczech, Szwajcarii albo w Norwegii. Ale w Italii toczona przez raka korupcji – nigdy. ©©

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

Trudno uniknąć podejrzeń, że w oszustwie na ogromną skalę musieli uczestniczyć urzędnicy i bankierzy

Plan był prosty: kto zdecyduje się na remont mieszkania, domu czy kamienicy, otrzyma od państwa 110 proc. poniesionych kosztów. Oczywiście pod pewnymi warunkami. Na przykład, że remont będzie połączony z izolacją cieplną pomieszczeń i fasady, wymianą

PIEKŁO W BANI

Afera tygodnia, a może i miesiąca, a nawet roku – to bez wątpienia dramatyczna rozmowa spowiedź aktora Sebastiana Fabijańskiego z dziennikarzem Pudelką. W rozmowie Fabijański przyznaje się do tego, że zdradzał swoją partnerkę – też celebrytkę, znaną blogerkę modową Maffashion – tuż po urodzeniu przez nią ich wspólnego dziecka, oraz potwierdza plotki, że pewnej nocy wylądował w mieszkaniu znanego z kontrowersji transseksualisty Rafalali. Wcześniej Fabijański wypierał się tej znajomości jak mógł, a teraz tłumaczy, że postanowił wszystko wyśpiewać, bo chce być wolny. Wcześniej aktor stwierdził, że Rafalala miał szantażować go upublicznieniem tajemniczych nagrań z ich spotkania, a tymczasem on sam nic z niego nie pamięta, bo był pod wpływem narkotyków i urwał mu się film. W każdym razie Fabijański bardzo wszystkich w wywiadzie przeprosza, a najbardziej swoją byłą już partnerkę. – Ja miałem piekło w bani – tłumaczy swoje zachowanie. Nie rozumiemy tylko, dlaczego używa czasu przeszłego.



FOT. LUKASZ DEJAROWICZ/FORUM

TO NIE KONIEC!

Generalnie jednak telenowela z Fabijańskim rozwija się bardzo dynamicznie. Po jego pudelkowej spowiedzi odezwał(a) się Rafalala. Stwierdził(a), że „żadnego szantażu nie było”. – Myślę, że pewne słowa zostały źle zrozumiane. Też byłam u swojego prawnika, który przeanalizował korespondencję, którą wysyłałam, i mogę czuć się całkowicie bezpieczna. Natomiast ja byłam szantażowana emocjonalnie – stwierdził(a) Rafalala. Plus zarzucił(a), że w związku Fabijańskiego z Maffashion to blogerka modowa była nie fair. – Jestem bardzo w porządku, jeśli chodzi o relacje z ludźmi. Szczególnie te, które są na stopie prywatnej. Jedyną dziewczyną, która



FOT. PAMEŁ GROMADA

od początku była nie w porządku, jest Julia – stwierdził(a). Jakby tego było mało, swoje trzy grosze do całej afery dorzuciła na Instagramie jakaś aspirująca do roli celebrytki pani, która twierdzi, że Maffashion, będąc w związku z Fabijańskim, rozbiła jej związek i uwiodła chłopaka, a teraz zgrywa świętą. Cyrk na kółkach, jednym słowem. Najrozsądniej – na razie – zachowuje się sama Maffashion, która po prostu milczy. Ostatnio zamieściła jedynie nagranie piosenki ze słowami: „Niech ktoś zatrzyma wreszcie świat. Ja wysiadam”. Chciałaby!

DRAMATY Z INSTAGRAMA

Nie myślcie jednak, że w minionym tygodniu tylko Fabijański i Maffashion przeżywali swoje psychodramy. O nie! Niełatwą sytuację ma także Sandra Kubicka, modelka, celebrytka i aktualna dziewczyna Barona, muzyka zespołu Aframental. Wyznała ostatnio, że niedługo minie 10 lat, odkąd ma implanty w piersiach, więc będzie musiała je wymienić. Niestety, tu pojawia się problem, bo polscy lekarze ją przerażają, a piersi, które zrobili jej koleżankom, zupełnie jej się nie podobają. – Piersi zrobiłam w Miami i każdemu polecam mojego lekarza stamtąd. Natomiast ja nie chcę tam teraz lecieć. Poza tym on ma chyba już z 80 lat i pewnie już tego nie robi, a przecież niedługo implanty będę musiała wymienić. Zawsze bałam się lekarzy w Polsce, bo każda dziewczyna, którą widzę, ma zrobione piersi, które wyglądają po prostu sztucznie. Nawet moje koleżanki, które mówią, że mają naturalne, według mnie takie nie są – mówi Sandra. – Zawsze byłam szczęśliwa z moich, że są tak turbonaturalne i małe. Nienawidzę tych wielkich sterczących i sztucznych piersi – dodaje. Biedna Sandra, wszystko wskazuje na to, że będzie skazana na okropne, polskie piersi zamiast wspaniałych, amerykańskich. I jak jej nie współczuć?

EMIGRACJA ROZUMU

A skoro już jesteśmy przy implantach i innych wypełniaczach, to musimy pochylić się jeszcze nad wielkim problemem Weroniki Sowcy, celebrytki i influencerki znanej jako Wersow i narzeczona Friza, innego influencera z popularnej na YouTube Ekipy. Wersow nie kryje, że lubi medycynę estetyczną, i otwarcie przyznała się do poprawiania swojej urody, w tym m.in. powiększania ust. Niestety, teraz musi z tego zrezygnować, mimo że nadal ma kompleks wąskich warg. – Moja przygoda z powiększaniem ust trwała trzy lata. Teraz temat medycyny estetycznej poszedł tak daleko, że to już jest naturalne. To nie jest nic złego. Mam problem z migracją kwasu hialuronowego. To nie jest ładne i estetyczne. Usta sobie rozpuściłam, na razie będą tak wyglądać – wyznała w rozmowie z Pudelką. Cóż, gdybyśmy byli złośliwi, to napisalibyśmy, że Wersow ma problem nie tyle z migracją jakiegoś tam kwasu, ile z migracją rozumu (emigracją konkretnie), ale uważamy, że wąskie usta to już wystarczająca kara, i nie będziemy biedaczki dobijać. ☹



MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, jest taki kraj, Litwa czy tam Łotwa (jak się właściwie na to mówi, tzn. która nazwa jest poprawna?), który to kraj ma jako prezydenta starszego, białego, cisheteroseksualnego mężczyznę. I ten właśnie mężczyzna postanowił, iż może decydować w imieniu wagiñosób o ich ciałach. Otóż prezydent Litwy czy tam Łotwy popiera obowiązkową służbę wojskową zarówno dla „kobiet”, jak i dla „mężczyzn”. Of kors w tej boomerskiej propozycji nie pochylono się nad losem przedstawicieli pozostałych płci, zakładając, iż istnieją tylko dwie.

W każdym razie: obowiązkowa służba wojskowa, wojna, wojskowość, militaria i całe to zafascynowanie bronią i przeemocą to wytwory toksycznej męskości i my w imieniu litewskich/łotewskich kobiet mówimy stanowczo: NIE DLA!

Jeśli mężczyźni chcą się bawić w wojnę i żołnierzyków, to bardzo prosimy – ich sprawa... chociaż tak właściwie to nie. Każdy przejaw toksycznej męskości powinien być usuwany z przestrzeni publicznej, a więc wojna również. Dlatego oczekujemy w imieniu litewskich/łotewskich kobiet, iż (nie) ich prezydent natychmiast wycofa się z tego dyskrzynującego i fashystoffskiego pomysłu.

Jak wiecie, kochani, piłka nożna interesuje nas jedynie na poziomie zjawiska socjologicznego, dzięki któremu jesteśmy w stanie śledzić oraz przewidywać nastroje wąsatych Januszów. Wyniki polskich drużyn to taki barometr stroszenia wąsa. Jeśli klub z tego kraju

lub – nie daj europejska Wspólnota – reprezentacja wygrywa, to wąs uniesiony jest wysoko. Jeśli natomiast przegrywa – to wąs smętnie obwisa, podobnie jak nastrój jego właściciela.

*ale pilotat skróconego tygodnia pracy
Tusk przeprowadził już w latach 2007-2014*



To też tłumaczy, dlaczego Janusze przez większość roku chodzą smutne lub wnerwione.

Obniżenia nastroju spodziewamy się teraz dlatego, iż Lech Poznań (swoją drogą, nazwać tak klub, wstyd, co następne: Jarosław Warszawa?) rekordowo szybko pożegnał się z eliminacjami do Ligi Mistrzów, ulegając mistrzowi Azerbejdżanu (serio nie wiemy, gdzie to jest, a nazwę skopiowaliśmy z Wikipedii).

To zawsze miło, kiedy polska drużyna piłkarska szybko zaniechuje dążenia do tzw. elity – nie mamy wówczas wszystkich tych problemów z rozbudzeniem narodowej dumy itd. Szkoda tylko poznańskich wagiñosób, które pewnie nie nadążają z gotowaniem dla tamtejszych Januszów pyrów z gizikiem na uspokojenie.

Jakoś tak się złożyło, iż pozostajemy dzisiaj w temacie toksycznej męskości (jakby istniała jakaś inna xD), iż z niepokojem obserwujemy, że dużą popularnością w kinach cieszą się filmy, w których istnieje postać tzw. superbohatera, który odnosi wiele sukcesów w życiu prywatnym i zawodowym.

Naszym zdaniem nadszedł czas, iżby zdekonstruować tak pojmowaną męskość, a skupić się raczej na obrazie mężczyzny jako odpowiedzialnego za zjawiska takie jak: inflacja, siłownia, patriarchy, wojny, piłka nożna i sport w ogóle. Mężczyźni rzadziej przechodzą na dietę wege, częściej prowadzą samochody i pozostawiają większy ślad węglowy.

Dlatego filmowa historia pokazująca życie przykładowego Marka z Radomia, który ogląda mecze, je mięso i jeździ dieslem, powinna natychmiast zostać dofinansowana z jakiegoś budżetu na kulturę, a następnie trafić do kin w całym kraju, a następnie na niego należy spędzać całe klasy, a nawet szkoły, po pierwsze, aby pokazać, na czym polega prawdziwa sztuka (w filmie nie będzie akcji ani dialogów, a przez większość czasu facet będzie palił papierosy, stojąc w korku w aucie z włączonym silnikiem Diesla), a po drugie, iżby utrwałać prawidłowy obraz toksycznej męskości wśród młodych odbiorców. ©©

**FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ
Z NAMI OSOM NA FEJSIKU:
FB.COM/MWIZWO**

PODSŁUCHANE

Teleportacje

Mati, a ty czym ociepliłeś?

Ale co, Michał? Co miałem ocieplić? Wizerunek? No przecież codziennie ocieplam, teleportuję się po tej Polsce jak głupi...

Nie, ojej. Chałupę czym ociepliłeś. Bo też się zastanawiam.

Jak to? Zwariowałeś? Po co mam ocieplać? Ja mam ciepło,

a jak nam jest zimno, to biorę i podkręcam grzanie.

No, ale... Wiesz, ja niby też, ale tak pomyślałem, że może ktoś sprawdzi. Że skoro sam doradzasz, żeby ocieplać, to mogą pismaki zacząć pytać, więc ja też sobie ocieplę...

No nie załamuj mnie. Przecież muszę coś mówić, to coś tam gadam, co mi w mejlu napiszą, że mam gadać. Co mam tym

ludziom powiedzieć? Że węgla nie będzie i koniec? Żeby mnie Sasin jutro wywiózł na taczce z kancelarii?

Ty, a po co myśmy właściwie się tak spieszyli z tym embargiem na węgiel? Tak się zastanawiałem ostatnio...

Dobra, dzięki, fajnie, że wpadłeś, ale za chwilę mam teleportację do koła gospodyń wiejskich w Grudziądzu. ©©

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Odczuwam drożyznę, ja nie jestem z innej gliny przecież. Emerytury mam z 12–13 tys. zł. Ale co to jest na apetyt byłego prezydenta?!”

LECH WAŁĘSA, były prezydent, w rozmowie z „Super Expressem”

WSZECHŚWIAT CORAZ BLIŻEJ NAS

Takich zdjęć jeszcze Ziemia nie widzieli. Ujawnione w ubiegłym tygodniu przez NASA fotografie wykonane przez kosmiczny teleskop Jamesa Webba – na którego budowę w latach 2007–2021 wydano mniej więcej 10 mld (!) dol. – zrobiły spektakularne wrażenie nie tylko na astronomach. Na zdjęciach wykonanych przez następcę teleskopu Hubble’a można podziwiać m.in. obszar gwiazdotwórczy NGC 3324 sfotografowany w podczerwieni w Mglawicy Carina, jednej z największych i najjaśniejszych mgławic na niebie zlokalizowanej ok. 7,6 tys. lat świetlnych od Ziemi (na zdjęciu). Jak zauważają astronomowie z NASA, ten krajobraz „gór” i „dolin” „nakrapiany” błyszczącymi gwiazdami to pierwszy obraz ujawniający wcześniej niewidoczne obszary narodzin gwiazd.

Dzięki nowemu teleskopowi ludzkość zobaczyła również gromadę galaktyk SMACS 0723 z soczewkowaniem grawitacyjnym, odległą od Ziemi o ok. 4,5 mld (!) lat świetlnych, widmo planety pozasłonecznej WASP-96b, mgławicę Pierścień Południowy (znaną też jako Rozerwaną Ósemkę, oddaloną od Ziemi o 2 tys. lat świetlnych) oraz grupę galaktyk Kwintet Stephana zlokalizowanych ok. 290 mln lat świetlnych od Ziemi.

Przeznaczony do prowadzenia obserwacji w podczerwieni kosmiczny teleskop Jamesa Webba został wystrzelony 25 grudnia ubiegłego roku. Jest wyposażony w ogromne zwierciadło o średnicy 6,6 metra, czyli 2,5 razy większej niż w przypadku teleskopu Hubble’a. (jap) ©

FOT. NASA





Jerzy Karwelis

Alarmują zewsząd. Idzie. Nowa choroba. Nie jakiś tam wariant, ale COVID-22

Niejaki Zapatero z Madrytu ukuł nową nazwę – C-22 – i się przyjął. Teraz już wszyscy powtarzają: i minister Niedzielski straszy wzrostem na jesieni, i premier też coś dał od siebie (do niego wrócimy na końcu), zapomniane sławy sanitarystyczne wypełzły spod kamienia i alarmują, że „uwaga, nadchodzi!”. Zamilkł jakoś PAN, do tej pory w szpicy straszenia (to ten od jedzenia w milczeniu w szkole), ale trudno się dziwić, jak się prorokowało w lutym setki tysięcy zakażeń i zgonów i nic nie wyszło, to teraz chyba trzeba poczekać na rozwój wypadków.

C-22, CZYLI CO TO TAKIEGO?

O co chodzi z tym C-22? Objawy porażające – omdlenia, niedociśnienie, kaszel, gorączka, ból mięśni, ból głowy. W sumie warianty BA.4 i BA.5 niesławnego omikrona. Szybka transmisja, pomijalne skutki. Czemu się więc bać? Ano temu, że – jak uważają powyżsi koryfeusze – może to i wariant lżejszy, ale rozprzestrzenia się kilkukrotnie szybciej i jak będziemy mieli zakażonych z 10 razy więcej niż do tej pory, to i tak nas zaleje fala w szpitalach, które znowu (?) nie wytrzymają. Taka to opowieść.

Do tego dochodzą zatrważające dane z innych krajów. We Francji i w Niemczech po kilkaset tysięcy zakażonych dziennie. W Izraelu osmotyczne przejście z fali szóstej na siódmą. W Berlinie rząd się zbiera, by uradzić, jakie środki przygotować na jesień i jak będzie z lockdownami. EMA, czyli europejski zarząd, w tym wypadku pandemii, mówi już, że w większości europejskich krajów nadchodzi fala numer siedem. No i tu mamy kłopot, bo Polska wygląda przy tym jak tarantula na torcie. U nich po kilkaset tysięcy zakażeń dziennie – u nas ok. 500. Skąd takie cuda? To dość proste.

Tam chłopaki się testują, ile wlezie. A u nas – nie. Chodzi więc o termometr, którego stłuczenie powoduje brak (mierzonej) gorączki. U nas jest tak od marca, po szaleństwie – kiedy mieliśmy się testować z ulicy w każdej aptece, na życzenie – przy-



FOT. ADOBE STOCK

Witamy COVID-22

szły opamiętanie i kompletne odejście od testów. Widać na wykresach zakażeń, że tylko to spowodowało gwałtowny spadek, a w szaleństwie testowania szliśmy na pionowe wzrosty. A jak miało być, skoro wszyscy mówili, że omikron się szybko roznosi z małymi skutkami zdrowotnymi?

To także skutkuje covidowymi zgonami. W covidowo rozwiniętych krajach testują jak dotąd, to znaczy, że testują na wjeździe do szpitala i triażują chorych: pozytywni lądują na covidowej umieralni bez specjalistycznej opieki na schorzenia, na które chorowali i prawdopodobnie zemrą. Negatywni byli leczeni specjalistycznie. Ale ci ze zgonami, jeśli mieli pozytywny wynik, są u testujących zaliczani do śmierci

covidowych. U nas odstąpiono od tego i... hospitalizowanych pacjentów covidowych ubyłło skokowo, to samo ze zgonami covidowymi, których co drugi dzień mamy zero. Zmarłych pacjentów nie bada się, czy mieli COVID, a jak się ich nie badało na bramce, to nie można było zaznaczyć, że na niego umarli. Tak to testy robią różnicę – tam po kilkaset tysięcy dziennie, u nas po kilkaset i nie ma żadnej fali. A tam jest, co dowodzi od dawna lansowanej przeze mnie tezy, że fale są wywoływane falami testów, nie wirusa. Tertium non datur.

KTO ZLICZY FALE?

Mamy więc tamże podejście do siódmej fali, choć u nas prorokuje się dopiero



na wojnie na Ukrainie. I rekordy zakażeń, nie mówiąc już o tym, że jak wszyscy zaszczepieni, to i zmarli też. Nikt nie jest w stanie wytłumaczyć tego fenomenu.

SZCZEPIONKI SĄ DOBRE NA WSZYSTKO

Mamy do czynienia z próbą ucieczki w strategię pt. „Im więcej problemów ze szczepionkami, tym więcej się trzeba szczepić”. Klina klinem. Pamiętam, że na początku namawiano do szczepień, mówiąc, że są one uniwersalne i działają zarówno na obecne, jak i przyszłe warianty. Potem sytuacja się zmieniła. Nie wiadomo dlaczego – albo z powodu, że jednak nie działały, albo dlatego, że chciano ich opchnąć więcej niż dwie dawki – okazało się, że szczepionkami trzeba gonić kolejne warianty nowymi wariantami szczepionkami, jak z grypą, będąc cały czas do tyłu co najmniej o jedną sekwencję wariantu. I teraz to samo – badania dowodzą spadku po ośmiu miesiącach odporności poszczepiennej poniżej wcześniejszej naturalnej (może stąd te wyspy gwałtownych zakażeń po tym okresie od ostatniego szczepienia?), a więc... dochodzimy do szczepionki czwartej, tej, która, jak Boga kocham, zadziałała na omikrona, bo tamte były na deltę. Ale znowu jesteśmy do tyłu, bo teraz bawimy się wariantem BA.5, a na dziś to tylko minister Niedzielski (?) wie, jaki wariant będzie na jesień. Ważne, że nie będzie na niego szczepionki. I tak będziemy ganiać ten szczepionkowy ogon.

Pozostaje jeszcze jedna kwestia – kto jest tak naprawdę zaszczepiony? Ten z którą dawką? Po ilu miesiącach od drugiej? Mówiono, że po roku, teraz – że po sześciu miesiącach. Minister Niedzielski zapewniał, że po trzeciej dawce będzie już po wszystkim, bo ta cudownie immunizuje nas do końca życia. A tu w wywiadzie namawia do „specjalnej” dawki czwartej. Mało tego, okazuje się, że aby ta czwarta zadziałała, to trzeba powziąć trzy poprzednie, bo czwarta ma być czwarta, a nie pierwsza z czterech. Inaczej nie zadziała, choć tę czwartą się bierze, co logiczne, bo te trzy poprzednie nie zadziałały.

A tu rzeczywistość skrzeczy, bo od lutego–marca szczepienie praktycznie ustało, co nie tylko oznacza, że ludzie przestali się szczepić, lecz także to, że kolejni adeptci szczepienni będą popadać w nielegalizm, bo im się poświadczenia przeterminują. Nie widzę tu żadnej logiki oprócz tej, że te nadmiarowe +30 mln

polskich szczepionek musi jakoś zejść. W dodatku te 30 baniek z magazynów to są warianty „stare”, a te nowe trzeba będzie dodatkowo jeszcze zakupić. Płacąc i zamawiając ilości z góry.

No dobrze, skoro wiemy, jakie to mechanizmy powodują ente fale i jak objawia się nowy wirus, to pora zobaczyć, jak się do tego przygotowuje świat. No, widać, że mamy maszynkę covidowych reakcji gotową, wystarczy tylko wrzucić nowy żeton. Wszyscy już stoją w blokach startowych. Przećwiczone działania będą kontynuowane bez względu na nagromadzenie badań, które w covidowej flauście spowodowanej wojną wykazują nieskuteczność lub wręcz szkodliwość ćwiczonych działań zapobiegawczych. Te będą kontynuowane, wystarczy tylko, że ktoś tam pięknie, i pójdą wszyscy równym rytmem, wybijanym na bębnie WHO.

JAK BĘDIEMY WALCZYĆ?

Na przełomie roku mieliśmy do czynienia z pewnym fenomenem politycznym. Do tej pory oba wrogie plemiona wojny polsko-polskiej równo szły w marszu obostrzeń. Mieliśmy sanitarny porozumienie ponad strzykawkami. Na początku 2022 r. to się zmieniło i opozycja zaczęła atakować rząd, że za mało dociska. Obliczone to było na rozgrzanie konfliktu PiS z własnym elektoratem, który – po badaniach okazało się, że słusznie – był postrzegany jako wrogi obostrzeniom i niechętny szczepieniom. Miano rozkołysać panikę, że rząd zabija, nie starając się jak – jak widać, zaawansowane – inne kraje, które sztandaru testowo-sanitarnego nie wyprowadziły nawet na chwilę. No, np. taki poseł Arłukowicz, były minister zdrowia, więc zna się przecież. Ten alarmuje: Obudźcie się! W Niemczech po 170 tys. zakażeń dziennie. A u nas co? Pół setki? To skandal. Można powiedzieć – wstyd. Trzeba równać do najlepszych. Jak tamci sobie testują fundują nowe fale, to my tu będziemy czekać beczynnie, ukrywając rzeczywiste rozmiary pandemii? Ludzi mordować, by nie podpaść foliarzom z Polski C? Niedoczekanie – dalejże do testowania, ograniczenia przemieszczania się, maszek na letnie pysie i żądnych wakacji. Ja wiem, że lewica jest od tego, by walczyć z problemami, które sama sobie generuje, ale są granice brawury!

Dlatego warto się przyglądać, kto basuje takiej orkiestrze. Bo droga w takim lejku

szóstą. Czemu? Tu następne чудо. Bo my nie mieliśmy tej szóstej fali, którą przeżywają „tamci”. Z powodów testowych, jak wyżej, ale fascynujące jest to, że wedle nauki to my powinniśmy mieć już falę szóstą na pełnej petardzie, a nie mamy. Czemu?

Otóż od lutego tego roku gościmy u siebie ok. 3,5 mln gości z kraju kompletnie niezaszczepionego, z płaskoziemskim podejściem do zasad obostrzeń i społecznej izolacji. W tym wypadku powinniśmy mieć COVID, który poszedłby jak ogień po słomie. Toż to gorączkowy sen każdego epidemiologa i tylko mgła covidowa u naukowców może tłumaczyć brak naukowego podejścia do rozsypiania tego fenomenu. Mało tego – obecność milionów gości tak nas immunizowała, że nie przeszliśmy fali szóstej, która pokarała kraje o mniej solidarystycznym podejściu do przyjmowania ukraińskich uchodźców. Widać, że Bóg sprawiedliwie oddzielił karę od nagrody.

Ale co tam się w krajach chorych naprawdę dzieje? To koszmar jakiś. Bijemy rekordy zakażeń w większości krajów, mamy piki wzrostowe kilkakrotnie większe niż w okresie przedszczepionkowym. Taki Tajwan bronił się np. dzielnie i pękł dopiero w lutym 2022 r., gdy wystrzelił w górę tak bardzo, że nawet nie wiadomo, czy miał przedtem w ogóle jakieś fale.

Króluja we wzrostach kraje wyszczepione po korek. Taka Portugalia na ten przykład. Tam znalezienie niezaszczepionego graniczy z cudem, jakim w Polsce byłoby znalezienie kogoś, kto nie zna się

■ jest tylko w jedną stronę. Zabierzemy się do COVID, jako drzewie bywało, to znaczy przesadzimy z działaniami tak, że szkodliwość samego wirusa w porównaniu z efektami naszej reakcji na niego to będzie pikuś. Zaraz zaczną się grzebanie przy służbie zdrowia, kombinacje przy przyjmowaniu do szpitali, ujednolicenie placówek, hekatomba teleporad, masowe nieleczenie, szal paniki w mediach i wrócimy na stare tory. Potem odbędzie się powtórka zrzucania winy na Polaków, że ci umierają ponadnormatywnie, bo się źle zaczęli prowadzić. Nagle z października na listopad 2020 r. Tego chcecie?

MEDIA COVIDIAŃSKIE

No, należy dodać do tego jeszcze ogniowe przygotowanie medialne. Po okresie wojennej agresji medialnej, przy wysyceniu się wojennego tematu, pora na powrót do dwójpołówki. Jak widać z analiz, aspekt medialnego siania paniki jest nie do pominięcia. Właściwie to dobre badania historyczne będą nam kiedyś mogły pokazać, kto zaczął: alarmistyczne doniesienia od ekspertów czy sensacyjki rozdmuchiwane medialnie na podstawie dziennikarstwa śledczego, czyli zeznań sąsiada, który ma znajomego w szpitalu? Przecież gdyby nie medialne straszenie, to nie wiadomo do dziś, czy ktoś by wiedział, że mamy pandemię. Wystarczy spojrzeć na te pierwsze „fale”, które dziś są płaskimi podrygami siennej dżdżownicy. W porównaniu z ostrymi pikami zakażeń i zgonów, wynikającymi z tego, że się do wirusa „zabraliśmy”.

Ale tu też widać naukę z poprzednich okresów. Wprowadzamy nóż w maselko społecznej dezorientacji powolutku. Tu jakiś wywiad z ministrem, potem reportaż z Izraela. Państwa europejskie się dołączają. Często przyganie rządu, że jak to – tam jest wirus i obostrzenia, a u nas nie ma? Narracja się zaostrza, to znaczy dochodzi do straszenia, ale już z uwzględnieniem realiów komunikacji. Czyli – nowa choroba, bo inaczej okazałoby się, że jakby to była ta stara pocziwina C-19, to znaczy, że sobie nie poradziliśmy, zwłaszcza szczepionkami. A szczepionki to dogmat covidowej wiary. Nie ma takiej? Ano jest, nazywa się COVID-Zero i oznacza, że będziemy walczyć całą mocą dopóty, dopóki nie zniknie z Ziemi ostatni zakażony. To kompletny absurd, bo podstawowe założenia, nawet w fazie początkowej „pandemii”, mówiły, że wirus się rozprzestrzeni szybko i jest słabo śmiertelny. A więc zakażenie jest nieuchronne i trzeba tylko wypłasczać

Media z sanitaryzmem wejdą na rozjeżdżone tory fundowania sobie systemowej pandemii, katastrofy służby zdrowia na własne życzenie

jego krzywą, by się nam wszyscy nie zwalili naraz do szpitala. Tu zaś mamy ideę, głównie pchaną przez media, że nawet jeden osobnik (zwłaszcza premedytator płaskoziemny) może pozakazać całą planetę.

No więc, medialnie nie wiadomo, czy w ogóle istnieje jakiś bezpieczny poziom zakażeń. I tak razem, media z sanitaryzmem, ramię w ramię wejdą na rozjeżdżone tory fundowania sobie systemowej pandemii, to znaczy katastrofy służby zdrowia sprokrowanej na własne życzenie. Samą reakcją – jak widać, powtarzalną – na sygnały o nadchodzeniu epidemii, które też sobie sami zafundujemy. Jak to będzie?

Popatrzmy: minister Niedzielski ogłosił właśnie, że gdy dojdziemy do 5 tys. hospitalizacji covidowych (uwaga – na ponad 200 tys. łóżek), to włączymy swój zestaw lockdownowo-szpitalno-testowy. Czyli będzie tak, że skoro dziś testuje się na COVID tylko objawowych (a objawy te przypominają grype lub zaziębienie), to falę zakażeń spowoduje wzrost liczby testów. A sezon na katar, grypy i przeziębienia się zaczyna jesienią. A więc zgodnie z procedurami będziemy częściej testować (fałszywie pozytywną naturę testów przemilczę z lietości), będzie nam wychodzić coraz więcej zakażonych. Sam sezon grypy wywołuje zdrowotne komplikacje, więc zapełnią się szpitale, i to „pozytywnymi”. To samo będzie ze zgonami, bo jak dostaniesz plusa na wejście do szpitala, to jak zembrzesz na zawał, toś zgon covidowy. W dodatku wrócimy znowu do triazu, to znaczy, że zakażeni pójda do covidowych przechowalni z autobusem z napisem „Respirator”, czyli „koniec wyścigu” i nieleczeni pacjenci zamienią się w covidowe zgony.

Na to przyjdą podniecone media, odgrzeją stare tabelki i zaczną się nakręcanie spirali. Paniki wśród chorych, którzy nie będą dzwonić do szpitala do ostatniej chwili, i nadreaktywności rządzących poganianych ostrogami opozycji. I wszystko pójdzie do góry. Zakażenia, zgony, hospitalizacje, śmierci po domach, nieleczone „prawdziwe” choroby. Dojdzie znowu do

lockdownów, z tym że z małym zastrzeżeniem. Wydaje mi się, że teraz nie będzie już skąd wygrzebać kasiory na tarcze. A więc ich nie będzie. Tylko nie wiadomo, czy brak pieniędzy powstrzyma rządzących przed wprowadzeniem obostrzeń czy odwrotnie – wprowadzą je, a pozostawia resztę gospodarki, głównie klasę średnią, samej sobie. Dlatego warto patrzeć nie tylko na medialną falę, bo to ona zawsze poprzedza tę covidową, lecz także na osoby, które twarząją tej osmotycznej eskalacji.

JAK BĘDZIE NAPRAWDĘ?

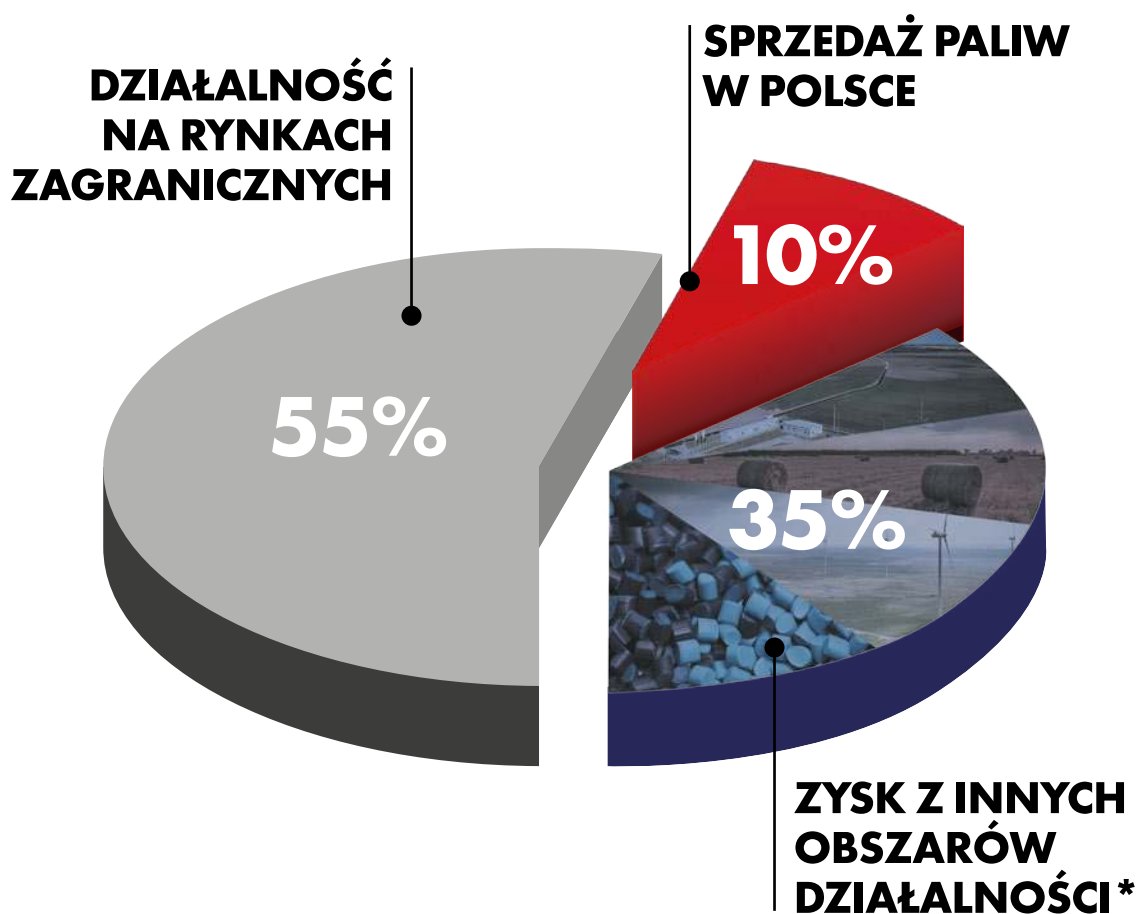
Ostatnio przyłączył się do chóru premier Morawiecki. Mówił – wiadomo – że idzie covidowa jesień, wirus nie śpi, trzeba się szczepić kolejną dawką. Ale na końcu powiedział, że tu nie chodzi o liczenie dawek – będziemy się szczepić co roku. Jak na grype. I tego się trzymajmy, panie premierze. Jak na grype, czyli kto chce. No bo przecież do tej pory od faktu szczepienia na grype nikt nie uzależniał możliwości pracy, podróżowania i ogólnego dostępu do „nowej normalności”.

Ja mam teorię, że nas testują. Tylko dlatego jestem w stanie uzasadnić różnice w postępowaniu naszych władz w stosunku do innych krajów. W COVID polskie obostrzenia były na średnim europejskim poziomie, czasem – niżej. Wsunęliśmy się na czoło głównie przez rzeczy nieobstrzeniowe, ale poprzez teleporady, triaż szpitalny, ujednolicenie placówek, co zaowocowało 200 tys. zgonów ponadnormatywnych. Różnice w polskiej strategii wynikały moim zdaniem z... badań. Wyśkakiwał jakiś przedskoczek, walił jakąś rewelacją, media rezonowały. Potem od razu robiło się badania suwenira i było wiadomo, czy to przejdzie. Coś na kształt tej heci, czyli ustawy pośła Hoca tuż przed „końcem pandemii”, z egzekwowaniem przymusu szczepień przez pracodawców, w obliczu donoszenia na nieszczepów, z sankcją odszkodowawczą w sądzie cywilnym. To też był test i wyszło, że nie wejdzie.

I tak będzie w naszym przypadku. Też testują, a wprowadzą lub nie na podstawie obiektywnych losów wirusa, bo te – jak widać – zależą nie od niego, tylko od tego, jak go mierzymy. A więc o którejś tam fali u nas zadecyduje testowany obywatel, tyle że nie będzie to szpatułka włożona do nosogardzieli, ale telefon z agencji badania opinii publicznej.

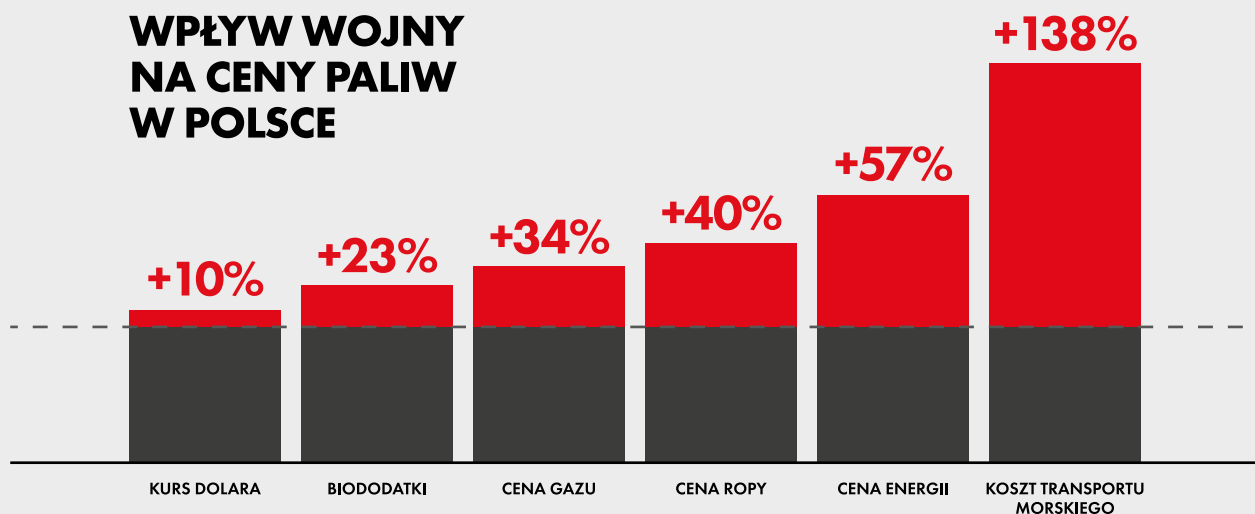
© Wszelkie prawa zastrzeżone

ZYSK GRUPY ORLEN Z RÓŻNYCH OBSZARÓW DZIAŁALNOŚCI



* ZYSK OPERACYJNY EBITDA LIFO 1Q 2022, źródło: PKN ORLEN, dane przybliżone

WPŁYW WOJNY NA CENY PALIW W POLSCE



WZROST ŚREDNICH CEN LUTY – CZERWIEC 2022

eprasa.pl/f853a79b9b



Piotr Semka

Ostatnie tygodnie przyniosły całą serię wzajemnych kukuksów między premierem Mateuszem Morawieckim a Solidarną Polską. Tak wyraźne wymiany ciosów między premierem a częścią jego rządu stały się natychmiast okazją do komentarzy ze strony opozycji

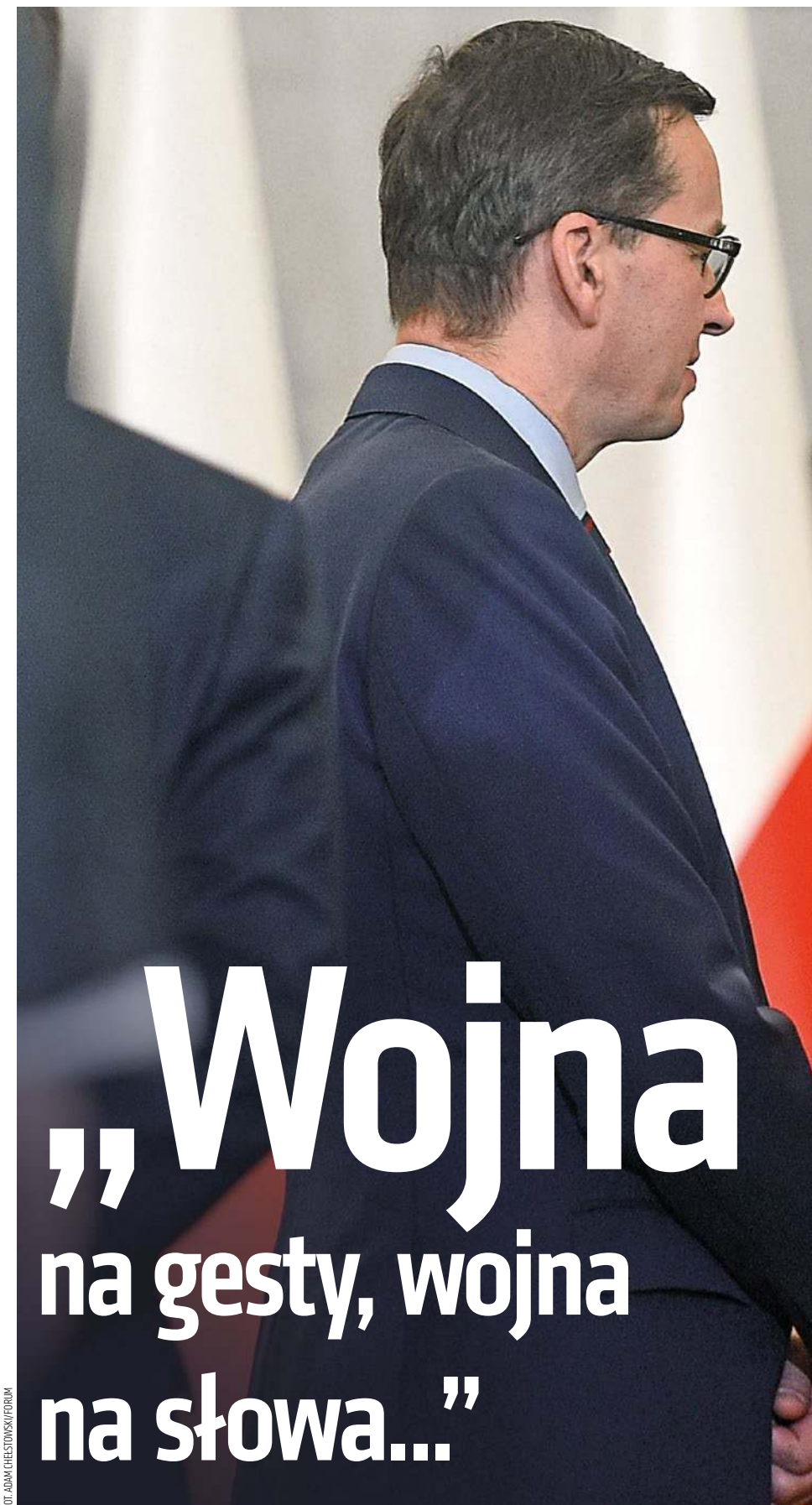
Politycy Zbigniewa Ziobry polubili rolę ostrych recenzentów niełatwej gry premiera z Komisją Europejską. W odpowiedzi Morawiecki wchodzi z ziobrystami w potyczki słowne i próbuje ustawowo zarządzić dyscyplinę w swoim gabinecie.

Wszystko to przypada na moment, w którym Jarosław Kaczyński rozpoczął generalną mobilizację w swojej partii do przyszłorocznych wyborów. A opozycja z satysfakcją wieszczy wzajemne porachunki w obozie władzy, mające być zapowiedzią kruszenia się Zjednoczonej Prawicy.

WET ZA WET

Jeśli Jacek Ozdoba z Solidarnej Polski zakładał, że jego prośba do czołowych polskich agencji badania opinii publicznej będzie tylko technicznym pismem dotyczącym warunków sondaży, to grubo się mylił. Dokument Jacka Ozdoby, sugerujący, aby firmy sondażowe zbadały Solidarną Polskę osobno obok PiS, wywołał spore zainteresowanie mediów. Patryk Jaki, polityk SP, wyjaśnił: „To prawda, że zaproponowaliśmy, żeby liczyć nas osobno. To wynik tego, że jesteśmy w sondażach niedoszacowani. W 2014 r., gdy Solidarna Polska startowała w wyborach do europarlamentu i był to ostatni raz, gdy liczono nas osobno, uzyskaliśmy ponad 4 proc. Wtedy mieliśmy tylko cztery, może pięć mocnych nazwisk. Dziś, po ośmiu latach od wyborów w 2014 r., mamy tych nazwisk znacznie więcej. Mamy w swoim teamie senatora i wielu znanych samorządowców. W wyborach, jak sądzę, moglibyśmy osiągnąć od 8 do 9 proc.”

Wśród członków PiS pismo rzecznika Solidarnej Polski do agencji sondażowych wywołało bardzo złe wrażenie. Jeden



„Wojna na gesty, wojna na słowa...”

FOT. ADAM CHEŁSTOWSKI/FOTOM



z polityków Prawa i Sprawiedliwości mówi: „To jest ich wniosek i ich polityczna odpowiedzialność. Sondażownie mogą się do niego przychylić, ale nie muszą. Jeśli się na to zdecydują, to przewiduję, że wyniki mogą być dla Zbigniewa Ziobry zimnym prysznicem. Po co to robią? Może za bardzo wierzą w siebie. Wśród ziobrystów rozwija się wiara, że są depozytariuszami wszystkich prawd prawicowych. Tyle że mogą się przeliczyć i nie przekroczyć w sondażach progu”.

Demonstracja ze strony Solidarnej Polski wynika z coraz większego rozdrażnienia między partią matką a jej sojusznikiem w kwestii oceny negocjacji Morawieckiego z Komisją Europejską. Ziobryści uwielbiają przypominać, że od samego początku przestrzegali, że wszelkie umowy mające doprowadzić do uzyskania pieniędzy z KPO nie mają żadnych trwałych podstaw.

Z kolei premier Morawiecki od półtora roku rozdrażniony jest ciągłym negowaniem jego negocjacji z Ursulą von der Leyen i oskarżeniami ziobrystów o „wyprzedawanie” suwerenności Polski. Na początku lipca premier w rozmowie z „Gościem Niedzielnym” ostro zareagował na tego typu wypowiedzi. „Twierdzenia o utracie suwerenności na skutek braku zrealizowania reformy wymiaru sprawiedliwości można włożyć między bajki. Choć oczywiście sama reforma jest konieczna i żałuję, że do tej pory tak niewiele udało się Ministerstwu Sprawiedliwości wykonać”.

Reakcja Zbigniewa Ziobry na te słowa była dosyć szybka. Wypowiadając się na Twitterze 7 lipca, stwierdził: „Premier Morawiecki przyznał się do błędu, jakim było blokowanie przez niego pod naciskiem UE reformy sądownictwa. Traktuje to jako zielone światło do zmian. W Ministerstwie Sprawiedliwości od pięciu lat są gotowe projekty ustaw. Działajmy”.

Szef rządu postanowił przypomnieć o swojej wiodącej roli, przevorsowując w Radzie Ministrów uchwałę na temat skuteczniejszego realizowania wspólnej polityki rządu. Wskazano w niej potrzebę lepszej koordynacji pracy ministrów. Podkreślono, że „każdy z członków rządu ma określony obszar obowiązków i odpowiedzialności, a w wystąpieniach musi operować w swoich obszarach działania”. Członkowie rządu, ministrowie związani są stanowiskiem całej Rady Ministrów.

Urzędnicy z otoczenia Morawieckiego z chęcią udzielali odpowiedzi dziennikarzom, że był to niezbędny sygnał, który

■ miał dotrzeć do ziobrystów. Dziennikarz „Rzeczpospolitej” zanotował wypowiedź jednego z PiS-owskich ministrów: „W pewnym momencie miarka się przebrała”.

Jeżeli miał to być wyraźny sygnał, to na ziobrystach nie zrobił jakiegos specjalnego wrażenia. Powtórzył się swoisty teatr znany od dobrych paru lat, do którego politycy Zjednoczonej Prawicy zdążyli już przyzwyczaić media. Premier wyraził swoje rozdrażnienie, ziobryści obracali sprawę w mało istotne różnice zdań, a prezes Kaczyński nie komentował publicznie tych sporów. Minister Michał Wójcik ogłosił: „Gowin jawnie szkodził rządowi, a my prowadzimy jedynie ubogacającą dyskusję. Solidarna Polska nie dąży do rozłamu”.

Ziobryści skarżyli się, że nie wiedzieli o pracach nad takim dokumentem. I wskazywali, że dopiero po zaprezentowaniu stanowiska w Radzie Ministrów mogło dojść do dyskusji nad uchwałą i wyrażenia przez nich sprzeciwu wobec niej. Michał Wójcik mówi: „Na świecie szefowie rządów są zazwyczaj szefami koalicji. W Polsce jest inaczej. Dlatego nie widzę potrzeby, aby dodatkowo dyscyplinować członków rządu. Mamy do czynienia z rządem koalicyjnym, w którym rzeczą normalną jest różnica stanowisk w partiach wchodzących w skład koalicji. W miążdzącej większości spraw głosujemy tak jak nasz koalicjant. Byłoby jednak nieuczciwe wobec naszych wyborców, aby tam, gdzie mamy inne zdanie, milczeć”.

W KLINCZU

Tak wyraźne wymiany ciosów między premierem a częścią jego rządu stały się natychmiast okazją do komentarzy opozycji. Jerzy Buzek, polityk Platformy Obywatelskiej i jej były premier, z chęcią wystąpił w TVN24 w roli obrońcy zasad. „To są rzeczy niedopuszczalne – grzmiał Buzek – bo premier odpowiada za wszystkich członków swojego rządu”. Marek Sawicki z PSL z kolei dowodził, że cały konflikt jest na rękę PiS. „Na pewno [Kaczyński] wprowadza czy wzmacnia równowagę sił. Wtedy, kiedy już spór Mazowiecki – Ziobro stał się nie do zniesienia i nie do utrzymania na dłuższą metę, przyszedł do rządu go balansować. W tej chwili Kaczyński podniósł w randze Błaszczaka po to, żeby mieć, że tak powiem, trójpodział. Część wpływów ma Ziobro, część Morawiecki, część Błaszczak, a Kaczyński umiejętnie będzie tym sterował i zależnie od potrzeb jednego troszkę wylansuje, drugiego przycisnie do gleby”.

Polityków opozycji w naturalny sposób niesnaski w rządzie wprawiają w doskonały humor. O wiele gorzej przyjmują go zwykli politycy PiS, do których informacje o wzajemnych ciosach docierają zazwyczaj z mediów nieprzychylnych partii rządzącej. Powstaje wrażenie o tworzeniu kolejnego frontu osłabiającego PiS, akurat w chwili, gdy partia i tak zмага się z pogorszeniem się nastrojów społecznych. Jeden z ważnych polityków PiS mówi: „To są konsekwencje obopólnego braku zaufania. Ziobryści uważają, że nie będzie ich zbyt wielu na listach PiS. Liczą, że jeżeli będą osobno liczeni w sondażach, to dostaną 6, może 7 proc. i wzmocni to ich pozycję negocyjną. Tyle że druga strona irytuje się, że takie gesty, jak żądanie od sondażowni osobnego pozycjonowania SP, już teraz podcinają PiS nogi i są dowodem skrajnego egoizmu ziobrystów”.

Teoretycznie obu stronom bardzo opłaca się wspólny start. Jeśli ziobryści wcieliliby w życie plan startowania osobno, to nawet jeśli przekroczyliby próg 5 proc., to zyskaliby góra cztery mandaty, może pięć mandatów. Te same 5 proc. w ramach koalicji przyniosłoby im znacznie więcej foteli poselskich. A PiS potrzebuje teraz każdego zdobytego poselskiego mandatu. Większość polityków rządzącej partii wie, że tylko zdobycie indywidualnej większości daje gwarancję przedłużenia władzy. Wizje koalicji z Konfederacją czy PSL słusznie kojarzą się PiS-owcom jak najgorzej. Start PiS bez Solidarnej Polski radykalnie zmniejszyłby szanse na trzecią kadencję.

Na te niepokoje nakładają się jeszcze wewnętrzne dyskusje w PiS dotyczące liźania ran po dwuletnim okresie pandemii. Jeden z polityków PS mówi: „Krzysztof Sobolewski w roli sekretarza generalnego PiS ma wielu krytyków. W regionach jest mnóstwo nierozwiązanych konfliktów personalnych. Sobolewski niekiedy dolewał nawet oliwy do ognia w takich sporach. To jest także oczywiście efekt postcovidowy, który przełożył się na marazm w partii. Pandemia zablokowała relacje między politykami lokalnymi i spowodowała brak spotkań. Ludzie się od siebie oddalili. A nad postami trzeba pracować. Trzeba im tłumaczyć politykę partii i doskonałe wiedzieć, co im w duszy gra. Dlatego Kaczyński odszedł z rządu, bo zdawał sobie sprawę, że jeśli jeszcze później wróci do spraw partyjnych, to będzie jeszcze gorzej”.

Ziobryści korzystają też z tego, że są wiekowo młodszy o przynajmniej 20–30 lat od starego Zakonu Porozumienia Centrum. W partii, w której szwankuje swoboda dyskusji, politycy Solidarnej Polski mają naturalną, mniejszą samodyscyplinę wypowiedzi. Ale ta „wyrwywność” ziobrystów utrwała ich wizerunek partii chłopczków, którzy z łatwością opowiadają, jak powinno być, ale nie zdają sobie sprawy z problemów, z jakimi styka się premier Morawiecki.

Jedna z osób zbliżonych do Nowogrodzkiej mówi: „Tak, dochodzimy do wniosku, że wszelkie umowy z Ursulą von der Leyen nic nie dają, bo albo ona wiecznie oszukuje, albo w Komisji Europejskiej są na tyle silne czynniki marzące o karaniu Polski bez końca. Właśnie dowiadujemy się, że kolejne zalecenia KE nakazują rozdzielenie funkcji ministra sprawiedliwości i prokuratora generalnego. To kolejne nadużycie władzy ze strony Komisji. Tyle że co Morawiecki ma w tej sytuacji robić? Trzaskać drzwiami i zrywać negocjacje z Brukselą? Tusk tylko czeka na to, żeby włączyć zdartą płytę pod hasłem »Piśowcy planują polexit«”.

Z tego, co można usłyszeć w otoczeniu najbardziej istotnych polityków PiS, można wywnioskować, że oswojono się tam już ze świadomością, że pieniądze z KPO będą, ale marne. Bruksela będzie chciała pokazać, że coś Polska dostała, z puszczaniem oka, że teraz to będzie trochę, ale znacznie więcej otrzyma po zmianie władzy.

STAN GOTOWOŚCI

Kierownictwo PiS ma już gorzką świadomość, że szukanie pretekstów do zawieszania wypłat będzie trwało aż do wyborów. Na razie liderzy PiS pocieszają się, że bieżące inwestycje da się sfinansować ze środków krajowych. A po wyborach, jeśli PiS wygra, Komisja będzie musiała pogodzić się z tym, że w końcu pieniądze trzeba będzie dać.

W tej sytuacji tradycyjną rolę strażaka konfliktu na linii Morawiecki – Ziobro będzie musiał wziąć na siebie Jarosław Kaczyński. Na razie nacelnik objeżdża kraj, aby sprawdzić, w jakim stanie są struktury lokalne. A potem rozpoczną się wielkie rozmowy w sprawie układania kształtu list. I na ten moment szykują się wszystkie główne siły Zjednoczonej Prawicy. A oczekiwanie na tę chwilę skracać sobie biciem w propagandowe bębny. Tyle że czasami od tego hałasu wyborcom PiS pękają już bębni.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Niekończąca się historia



Łukasz Warzecha

Pieniądze z KPO dostaniemy po spełnieniu kilkudziesięciu warunków. Ich analiza prowadzi do zaskakujących wniosków

W programie „Gość Wiadomości” nieco ponad tydzień temu premier Mateusz Morawiecki powiedział lekceważąco o Krajowym Planie Odbudowy, że to już temat sprzed miesiąca. Owszem, ważny, ale nie ma się co nad nim specjalnie zatrzymywać. Następnie, odpowiadając na pytanie o najbardziej zapalny punkt KPO, czyli podatek od samochodów spalinowych, powtórzył, że rząd nie ma planów wprowadzania takich opłat.

Pan premier był o tę sprawę pytany już kilkakrotnie w różnych miejscach. Niestety, żaden z dziennikarzy zadających to pytanie nie sięgnął po prostu do spisu warunków KPO, zawartego w opublikowanym przez Komisję Europejską aneksie, gdzie jak byk stoi (pozycje E3G i E4G), że do końca 2024 r. mamy wprowadzić dodatkową opłatę rejestracyjną dla samochodów spalinowych, a do połowy 2026 r. – podatek od takich pojazdów. Nie ma tu żadnych dwuznaczności ani miejsca na manewry. To, o czym mówił już kilkakrotnie pan premier – preferencje dla aut niskoemisyjnych – po prostu nie spełnia warunków KPO i tyle.

KIEDY PIENIĄDZE?

Mateusz Morawiecki we wspomnianym programie został również zapytany, czy te warunki będą musiały być spełnione, żebyśmy w ogóle zobaczyli pieniądze

z programu odbudowy – na to pytanie jednak nie odpowiedział. A szkoda, bo jest to jedna z tych kwestii, które w kontekście KPO pozostają niewyjaśnione. Na liście warunków (określanych angielskim „kamieniem milowym”) jest sporo takich, które powinny być spełnione jeszcze w tym roku. Jeśli moje rachuby są właściwe, jest ich aż 68! Te warunki mają różny kaliber i wagę, ale ich liczba i tak robi wrażenie, nawet jeśli do KPO wpisano rozwiązania, które już zostały faktycznie wdrożone. Tego jednak nie wiemy, ponieważ wokół programu panuje swego rodzaju zmowa milczenia.

Na liście jest również ok. 10 warunków, które miały zostać spełnione w 2021 r. Nie jest jasne, kiedy wpisano je na listę – czy w trakcie faktycznie tajnych negocjacji w ubiegłym roku i jeszcze przed ich wypełnieniem, czy też ostatnio, już po ich faktycznym zrealizowaniu. Analiza spisu tych właśnie warunków prowadzi do zaskakujących wniosków.

Nie znamy odpowiedzi na podstawowe pytanie: Jaki jest mechanizm uwalniania pieniędzy w zależności od listy warunków?

Spójrzmy na konkrety. Znajdziemy tam np. nowelizację Ustawy o elektromobilności w taki sposób, aby zawierała definicje dotyczące paliw wodorowych. Nowelizacja miała być przeprowadzona w czwartym kwartale ubiegłego roku – i oto w grudniu 2021 r. prezydent dostał znowelizowaną ustawę do podpisu. Inny przykład to wymóg wprowadzenia ułatwień dla tworzenia magazynów

energii. Termin: drugi kwartał ubiegłego roku. Zmiany w Prawie energetycznym wprowadzono w lipcu 2021 r. Kolejna sprawa: system pożyczek na studia dla studentów medycyny. Termin: koniec ubiegłego roku. W grudniu pojawił się projekt odpowiedniego rozporządzenia Ministerstwa Zdrowia.

Wszystko wskazuje zatem na to, że rząd realizował już w ubiegłym roku wymagania wynikające z KPO, nie informując jednak obywateli, że chodzi o wypełnienie warunków umowy z Brukselą. Możliwe także – jeśli wierzyć wyjaśnieniom ministra rozwoju i technologii Waldemara Budy – że wpisaliśmy po prostu do KPO za zgodą Brukseli to, co i tak mieliśmy zamiar zrobić oraz co było łatwe do osiągnięcia. Trudno jednak odnieść się do tak ogólnikowego stwierdzenia, bo przedstawiciele rządu do dziś – choć wydawałoby się to oczywistym posunięciem – nie przedstawili listy wymogów, które wynikały z naszych własnych propozycji.

Opozycja i antyrządowe media nadal skupiają się przede wszystkim na kwestii sądownictwa, podczas gdy nie znamy odpowiedzi na podstawowe pytanie: Jaki jest mechanizm uwalniania pieniędzy w zależności od listy warunków? Czy aby otrzymać refundację – bo tak przecież KPO ma funkcjonować, na zaliczki już się nie załapał – Polska musi spełnić wszystkie warunki przewidziane w danym okresie czy tylko niektóre? A jeśli tak, to kiedy dowiemy się, jaki jest stan realizacji owych 68 warunków przewidzianych na ten rok, zapisanych w KPO? Wydawałoby się, że nic prostszego niż udostępnić wyborcom przejrzystą informację na ten temat na stronie kancelarii premiera – a jednak takiej nie dostaliśmy.

Być może zresztą spis warunków, upubliczniony kilka tygodni temu, nie jest całkowicie aktualny, skoro – jak twierdzi

■ Mateusz Morawiecki – warunki KPO zostały zatwierdzone już wiele miesięcy temu. Ponadto część polityków z rządu – zwłaszcza ci z Solidarnej Polski – odpowiada, że to, co wówczas otrzymali do akceptacji, zresztą w absurdalnie krótkim czasie kilku godzin, wyglądało inaczej niż niedawno pokazany przez Komisję Europejską aneks. Jednym słowem – mamy pełen informacyjny chaos, który premier i jego otoczenie próbują po prostu zamieść pod dywan.

WIELE WĄTPLIWOŚCI

O detalach KPO można by pisać dużo. Ważne jest jednak, w jakiej jesteśmy teraz sytuacji, patrząc na to z pewnej perspektywy. Mamy plan, który został uzgodniony z KE w niejasnych okolicznościach i którym zaskoczona była nawet duża część obozu władzy. Ten plan zawiera wiele warunków budzących ogromne wątpliwości. Nie wiemy, ile z nich musimy spełnić, zanim popłyną do nas jakiegokolwiek pieniądze. Co więcej, nie mamy pewności nawet co do zaakceptowania przez KE rozwiązania najgłośniejszego problemu, czyli sprawy Sądu Najwyższego i Izby Dyscyplinarnej.

Pytany o wypłatę środków z KPO we wspomnianym wywiadzie pan premier ogólnikowo stwierdził, że wierzy, iż nastąpi to w tym roku. Mało precyzyjne przewidywania jak na program, który przez długie miesiące był prezentowany jako wiekopomny sukces i warunek sine qua non dla podążania przez Polskę drogą dalszego rozwoju. Ta propaganda sukcesu była oczywiście ogromnie przesadzona – środki wielkości ok. 100 mld zł (bezwrotne, ale przecież pochodzące również z polskich składek) nie są tak absolutnie kluczowe. To nie ten rząd wielkości.

Trzeba sobie dzisiaj postawić pytanie, czy skóra jest w ogóle warta wyprawki. Serial z KPO trwa już przecież od ponad roku z jak dotąd zerowym rezultatem, za to z coraz to nowymi problemami. Początkowo narzucona w tej sprawie narracja o gigantycznym zwycięstwie, jak to często bywa – grubo przesadzona, jest nie do utrzymania, stąd próby przekonywania, że KPO to już temat przejrzały, „sprzed miesiąca”. Zamiast sukcesu jest rosnące obciążenie wizerunkowe. Jeśli na dodatek okaże się, że Komisja Europejska nie uzna obowiązującej już nowelizacji ustawy o Sądzie Najwyższym za wystarczającą – a jest to bardzo możliwe – będzie to już nie tylko obciążenie, lecz także klęska.

Szefowa KE Ursula von der Leyen podczas wizyty w Polsce w czerwcu poinformowała o zaakceptowaniu KPO. Potem jednak okazało się, że to wcale nie oznacza wypłaty należnych nam środków FOT. PAWEŁ WODZYŃSKI/EAST NEWS



Deklarując nasz udział w Programie Odbudowy i Zwiększania Odporności, wzięliśmy na siebie wynikające z niego zobowiązania, nie mając zarazem gwarancji otrzymania pieniędzy. W tej chwili wisi nad nami wciąż nie tylko sprawa systemu sądownictwa. W tej samej kategorii warunków (oznaczonych w aneksie do KPO literą F) jest np. ograniczenie szybkiej ścieżki legislacyjnej, czyli przede wszystkim – jak można zrozumieć – prezentowania projektów rządowych jako poselskie, a więc niewymagające opracowania oceny skutków regulacji ani konsultacji publicz-

KPO jest tak obszernym dokumentem, że KE znajdzie w nim wystarczająco wiele pretekstów, aby Polsce pieniędzy nie przekazywać

nich. Aneks mówi wprost, że wymaga to zmiany regulaminu Sejmu. Termin wykonania już minął. Zmian nie było i wątpliwe, aby PiS chciał je wprowadzać – choć te



akurat mogłyby być dla państwa korzystne. Czy KE ten warunek po prostu ominie?

KPO jest tak obszernym dokumentem, że KE znajdzie w nim wystarczająco wiele pretekstów, aby Polsce żadnych pieniędzy nie przekazywać. Jeśli nawet ostatecznie zaakceptowane zostanie rozwiązanie dotyczące struktury Sądu Najwyższego, rychło może się okazać, że nie zostaje spełniony jakiś inny warunek. Zwłaszcza że nie istnieje w tej chwili żaden jednoznaczny i obiektywny system oceny, czy dany warunek został spełniony. Wygląda na to, że będzie to po prostu zależało od arbi-

tralnego podejścia urzędników z Komisji Europejskiej.

Akceptując KPO, zgodziliśmy się na wzięcie na siebie zobowiązań, także kredytowych, wszystkich uczestników programu, a także na uzależnienie pieniędzy dla Polski od spełnienia przez nas bardzo rozbudowanych oczekiwań, ingerujących w najróżniejsze dziedziny życia. Czyli sami daliśmy KE możliwość stosowania wobec nas finansowego szantażu, na co podobno rząd PiS absolutnie nie chciał się zgodzić. To ewidentna sprzeczność z deklaracjami i stosowaną od dawna retoryką.

W tle jest jeszcze dalej idące pytanie o model naszej obecności w UE, wokół którego pośrednio trwa też spór w samym obozie władzy. Część jego członków zaczyna mieć wrażenie, że szef rządu podąża inną drogą niż ta, którą PiS obiecywał i ogłaszał swoim wyborcom. Najbardziej kontrowersyjne punkty KPO, dotyczące rugowania aut spalinowych z ruchu, są najlepszym przykładem. Mateusz Morawiecki mówi w tej sprawie jedno, ale całkiem co innego jest zapisane w KPO. To zaklinanie rzeczywistości, a na końcu ze strony KE padnie „sprawdzam”. I co wtedy?

Pan premier argumentuje, że nie tylko Polska ma swoje KPO i warunki do spełnienia. To prawda. Ale z naszego punktu widzenia nie ma to żadnego znaczenia. Po pierwsze – nikt przy zdrowych zmysłach nie będzie twierdził, że w sprawie wypełnienia warunków planu identycznie będą traktowane Niemcy, Francja czy Holandia i Polska. Zresztą sam premier Morawiecki wielokrotnie podkreślał, że w UE nie ma równego traktowania. To truizm. Po drugie – jaki był tryb ustalania listy zobowiązań w innych krajach – nie wiemy, ale też nie jest to istotne. Ważne jest, że w Polsce był on kompletnie nieprzejrzysty.

Trochę ponad miesiąc temu, gdy wydawało się, że w sprawie KPO nastąpił przełom z powodu uchwalenia ustawy o SN (dziś to już nie jest takie pewne), „DGP” i radio RMF FM opublikowały wspólny sondaż. 24,3 proc. uznało, że odblokowanie KPO poprzez ustępstwo w sprawie Izby Dyscyplinarnej to „dokonanie PiS”. To mniej, niż partia Jarosława Kaczyńskiego uzyskuje w sondażach. 22,8 proc. stwierdziło natomiast, że „nie jest to żaden sukces”. Aż 19 proc. nie miało zdania. Pozostali jako na sprawców „zwycięstwa” wskazywali m.in. na Andrzeja Dudę (5,6 proc.) czy Komisję Europejską (12,8 proc.). Trudno to uznać za wizerunkowe zwycięstwo partii rządzącej. Te dane mogą się zresztą zmienić w przyszłości, jeśli pieniędzy nadal nie będzie, a szantaż będzie trwał. Przy czym z czasem w grę mogą zacząć wchodzić sprawy bardziej dotyczące zwykłych ludzi niż Izba Dyscyplinarne SN.

Jeżeli problem przeciągnie się do jesieni przyszłego roku – czego przecież nie można wykluczyć – może mieć wpływ na wynik wyborów. Mit Mateusza Morawieckiego jako skutecznego załatwacza pieniędzy z Brukseli upadnie ostatecznie, a wtedy jeszcze śmielej podniosą głowę jego przeciwnicy w samym obozie władzy.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Kamila Baranowska

PR, marketing, badania jakościowe, ilościowe, twitterowe bańki i szybkie reakcje na kryzysy – wokół tego kręci się współczesna polityka. Aby partie i politycy odnosili wyborcze sukcesy, potrzeba jednak czegoś więcej. Czego?

Donald Tusk, opowiadając się za wprowadzaniem czterodniowego tygodnia pracy, wywołał wielkie poruszenie. I choć PiS próbuje na razie lekceważyć słowa Tuska i podkreślać, jak bardzo lider PO jest niewiarygodny w spełnianiu swoich obietnic, to widać, że i tam jego wypowiedź wywołała pewną konsternację. Fakt, że Tusk postanowił pójść w prospołeczne hasła, pokazuje, że chce wejść na pole, na którym co najmniej od siedmiu lat gra wyłącznie PiS.

Czy nowa narracja Tuska i próba pokazania się nie tyle jako alternatywa dla PiS, ile jego lepsza wersja, będzie politycznym game changerem na miarę wygranych wyborów? I co w ogóle wpływa na to, że jedne wydarzenia przechodzą w polityce bez echa, a innymi debata publiczna żyje przez wiele tygodni, analizując je i rozkładając na czynniki pierwsze?

COŚ NIEODWRACALNEGO

Jakiś czas temu na rynku ukazała się książka, która próbuje odpowiedzieć na to ostatnie pytanie i która opisuje mechanizmy prowadzące do wielkich politycznych zmian. „Game changer. Za kulisami polityki” to zbiór wywiadów z politykami, nie tylko z tymi, których znamy z mediów, lecz także z tymi z głębokiego partyjnego zaplecza, którzy mają sporą wiedzę i ciekawe przemyślenia. Autor książki, Michał Kolanko, to dziennikarz od lat zajmujący się polityką. W kontekście ostatnich słów Tuska i tego, że politycy wszystkich partii coraz bardziej zachowują się, jakby kampania wyborcza już wystartowała (choć terminowo wybory dopiero za rok), tym bardziej warto do niej sięgnąć.

„Termin »game changer« oznacza wydarzenie, ideę lub nawet osobę, któ-



Donald Tusk chce wejść na pole, na którym co najmniej od siedmiu lat gra wyłącznie PiS
FOT. PAWEŁ WODZYŃSKI/EAST NEWS

rych pojawienie się lub wejście do akcji zmienia nieodwracalnie sytuację. Game changer może być wykreowany lub może pochodzić z zewnątrz [...]. Game changer może być pozytywny lub negatywny, niekiedy to, że reguły świata czy polityki się zmieniają, jest oczywiste od razu, niekiedy – dużo rzadziej, ale i tak bywa – efekt widać dopiero po jakimś czasie. Game changer jest przede wszystkim nieodwracalny” – pisze Kolanko we wstępie swojej książki, dodając, że „game changer zmienia przyszłość, zmienia nie tylko reguły gry, ale i rezultaty – kampanii, starcia czy politykę w ogóle” – tłumaczy we wstępie do książki jej autor.

REALNE DZIAŁANIE

Rzeczywiście coraz częściej politykę opisujemy w kategorii właśnie game changerów. Program „Rodzina 500+”, zmiana premiera z Beaty Szydło na Mateusza Morawieckiego, decyzja Donalda Tuska o powrocie do polskiej polityki, wreszcie pandemia czy wojna na Ukra-

inie – to bardzo konkretne wydarzenia, które realnie wpłynęły na kształt polskiej polityki, niezależnie od tego, że dwa ostatnie nie były przez nią wykreowane, lecz przyszły niejako „z zewnątrz”.

Zdaniem Marcina Mastalerka, pierwszego z rozmówców Kolanki, najważniejszymi game changerami po 1989 r. byli Andrzej Duda i jego zwycięska kampania z 2015 r., której Mastalerek był zresztą współtwórcą. – Swoją wygraną przełamał wieloletnią serię porażek PiS. Pozwolił uwierzyć wyborcom prawicy, że też mogą wygrywać. Tamta kampania trwale zmieniła polską politykę. A co najważniejsze, była to zmiana zupełnie niespodziewana – tłumaczy.

Zwraca jednak uwagę na jeszcze jedną kluczową rzecz – na to, że jedyną, skuteczną i sprawdzoną metodą na odniesienie wyborczego sukcesu nie są nowoczesne narzędzia, marketing, Twitter, badania i inne rzeczy. Owszem, bez tego byłoby trudniej, ale nie to odgrywa decydującą rolę. Co w takim

razie? – Realne działanie – odpowiada Mastalerek. – Przez te wszystkie lata w polityce zawsze uważałem, że media, wszystkie instrumenty z nimi związane – PR, marketing – są tylko pochodną realnych działań. Wiele osób wyobraża sobie, że PR-em, marketingiem można to zastąpić. Coś przykryć, odwrócić uwagę, wykreować coś z niczego. To nieprawda. Komunikacja i marketing są ważne, mogą być decydujące, ale żeby istotnie wpływać na politykę, trzeba realnego działania, odpowiedniego timingu – czyli idealnego wycucia czasu – oraz bardzo dobrego wykonania pomysłu. Te trzy elementy muszą się zgrać. Bardzo ważne jest jeszcze, kto to robi. Dlatego tak trudno jest doprowadzić do wydarzenia, które będzie prawdziwym game change-em w polityce – uważa.

Co ciekawe, podobnie o polityce i kampaniach wypowiada się w książce także Sławomir Nowak, były minister, ważny polityk Platformy Obywatelskiej, który w 2010 r. odpowiadał za kampanię Bronisława Komorowskiego. – Uważa się, że kampanie są oparte na fałszu. Ja jednak uważam, że cała nadbudowa kampanijna nie może być zbudowana na fałszu, bo się nie utrzyma. Ludzie fałsz czują – twierdzi Nowak.

A na pytanie, dlaczego Platformie udało się wygrać wybory w 2007 r., a w 2005 r. nie, odpowiada, że po pierwsze, w 2007 r. Tusk aspirował do roli premiera, która dużo bardziej mu pasowała, a po drugie, zmieniło się podejście jego otoczenia politycznego. – To już przestała być zabawa. Podeszliśmy do tego na poważnie. W 2007 r. walczyliśmy na śmierć i życie. I dlatego wygraliśmy. Jeśli chcesz wygrać, to gryź ziemię i pokaż ludziom, że ci zależy, że dla nich będziesz walczył do upadłego – mówi.

Te słowa Nowaka w dzisiejszym kontekście brzmią jak przestroga dla Donalda Tuska, który od powrotu do polskiej polityki nie zachowuje się jak polityk, który chce gryźć ziemię i walczyć do upadłego. Przypomina raczej Tuska z 2005 r. niż tego z 2007 r.

KAMPANIA ZMIENIA WSZYSTKO

Jednak – jak uspokajają politycy opozycji – do wyborów jest jeszcze kawał czasu, a kluczowych i tak będzie kilka miesięcy czy tygodni najintensywniejszej kampanii. To ona może zmienić wszystko.

– Taktyka wojenna jest bardzo podobna do taktyki kampanijnej – mówi

Michałowi Kolance poseł Platformy Cezary Tomczyk, który odpowiadał m.in. za kampanie warszawską i prezydencką Rafała Trzaskowskiego.

– Wiadomo, jakie są zasoby po jednej i po drugiej stronie, ale trzeba mieć na to pomysł, plan, trzeba go realizować, reagować na bieżąco i też próbować przełamać wroga. Przełamanie wroga jest kluczowe. Jeżeli wróg pójdzie w rozsypkę, spanikuje, przestanie realizować własny plan, to już jest się bliżej – opisuje.

W rozmowach z politykami, którzy mają doświadczenie w robieniu kampanii i wygrywaniu wyborów, ciągle przewija się ten sam wątek – że nie da się zbudować kampanii na samym PR, że musi stać za tym coś więcej: pomysł, strategia oraz trafna diagnoza społeczna.

Piotr Matczuk, polityk z głębokiego zaplecza PiS, który współtworzył bardzo wiele kampanii, dodaje jeszcze do tego wizję lidera. Dopiero później sztab ludzi musi zastanowić się nad opakowaniem i przedstawieniem tego wszystkiego w atrakcyjny sposób. I mówi, że dzisiaj na tym polu to PiS wciąż ma przewagę. Wskazuje, że Platforma wciąż kojarzy się ludziom albo z protestem antyaborcyjnym, albo z konstytucją – i niczym więcej. No i PiS ma Kaczyńskiego.

– Silny, konsekwentny i znający politykę lider to podstawowa przewaga PiS i nie ma w tym grama przesady – uważa Matczuk. – To, co mi imponuje w politycznych działaniach prezesa PiS, to jego siła, ogromna wytrzymałość na stres. Kiedy wszyscy już spanikowali i biegają, to Jarosław Kaczyński mówi: „Usiądźmy i to omówmy jeszcze raz”. Wytrzymanie momentu to jest ogromna zaleta, cecha prawdziwego lidera. Nawet jak okręt tonie, to lider nie traci głowy – opowiada. Matczuk, jak wielu innych polityków PiS, podkreśla też, że wizerunek publiczny prezesa i realna współpraca z nim jako z politykiem to dwie zupełnie różne rzeczy.

Podobnie prezesa PiS postrzega Adam Bielan, dziś europoseł PiS, przez lata twórca polityki medialnej tej partii. – Między kampaniami to jest polityk w Polsce najbardziej odporny na jakies chwilowe emocje i nastroje. Nie znam bardziej odpornej osoby w tych kwestiach. Bardzo go za to cenię, bo uważam, że polityk – szczególnie między kampa-

niami, rządząc – musi mieć umiejętność i charakter, żeby pójść wbrew sondażom. Naturalnie, o ile jest przekonany, że coś jest dobre dla kraju – wskazuje.

Kolanko swoich rozmówców z PiS często podpytuje o to, jak wygląda ta prawdziwa, realna polityka, która najczęściej wykuwa się przy ulicy Nowogrodzkiej, w siedzibie partii, gdzie urzęduje Jarosław Kaczyński.

– Przy Nowogrodzkiej można zrozumieć bardzo dokładnie, co to znaczy lojalność czy identyfikacja. Bo nie ma zwycięstwa w wyborach, jeśli członkowie partii, pracownicy sztabu, nie mają pełnej identyfikacji. Dopiero wtedy mogą pójść na wojnę i być bitni – mówi Tomasz Karoń, badacz rynku, strateg polityczny, który pracował dla wielu partii: od SLD, przez PO, do PiS. Opowiada, że w latach 2007–2015, gdy pracował dla PiS, wszystkie badania fokusowe kończył pytaniem: Kim jest Jarosław Kaczyński i jaka jest jego rola i znaczenie w wolnej Polsce? – Nikt nie wiedział. To było zdumiewające, że nie wiadano o roli Jarosława Kaczyńskiego, że nie przebiło się nic do Polaków o nim jako ojcu założycielu III Rzeczypospolitej [...], że ten facet tak naprawdę stworzył kilku premierów i prezydentów, że de facto jest „twórcą królów”, a teraz jest tym, na którego projektujemy swoje marzenia i swoje lęki. I że on jest teraz królem. I to było ciekawe. Najbardziej mnie to fascynowało – mówi Karoń.

Marcin Mastalerek na pytanie o to, czym jest prawdziwa polityka, odpowiada, że dowiedział się tego właśnie od Kaczyńskiego. – Czym jest prawdziwa polityka? Niewiele osób miało z nią styczność. Wielu myśli, że polityka to studio telewizyjne albo Twitter. To nieprawda. Kiedyś poszedłem do prezesa na Nowogrodzką. Do jego gabinetu. Miałem 27 lat, byłem posem. Poszedłem, zacząłem namawiać, by PiS zrobił coś w mediach. Mówiłem: „Media, media, media”. On zapytał, ile mam lat. Powiedziałem, że 27. Odpark: „Ma pan już 27 lat i jeszcze pan nie wie, że polityka jest przy tym stole?”. I zapukał w stół w swoim gabinecie [...]. Zrozumiałem, że prawdziwa polityka jest wtedy, gdy się siedzi przy stole i gdy można go w każdej chwili wywrócić – kończy.



MICHAŁ KOLANKO
„GAME CHANGER.
ZA KULISAMI
POLITYKI”
REBIS 2022



Oswajanie tragedii



Rafał A. Zierniewicz

Tocząca się wojna dostarcza silnego argumentu za postawą cierpliwego czekania i umiarkowanego nacisku na Ukraińców w sprawie zbrodni wołyńskiej

Potomkowie Kresowiaków, a także prawicowi politycy i liderzy opinii, od dawna wspierający ich w walce o pamięć dla ofiar ukraińskich zbrodni na Wołyniu, nie są usatysfakcjonowani postawą polskich i ukraińskich władz podczas rocznicowych obchodów zbrodni. Jednak wytykając przemilczenia i kunktatorstwo, zdają się nie zauważać jednego: że mimo skrajnie niezręcznej sytuacji i pomimo usilnej pracy rosyjskiej propagandy oraz agentury, traktujących Wołyń (ze swego punktu widzenia słusznie) jako idealny temat do skłócania naszych wrogich kremlowskiemu imperializmowi krajów, i tak powiedziano oraz zrobiono podczas tej rocznicy więcej niż kiedykolwiek wcześniej.

Jak bardzo trudne jest mówienie o Wołyniu, przekonałem się przed laty sam, po publikacji w „Rzeczpospolitej” obszernego artykułu „Myśmy wszystko zapomnieli”. Był to bodaj pierwszy w głównym nurcie mediów taki tekst publicystyczny, atakujący ostro władze Rzeczypospolitej za politykę chowania głowy w piasek. Pisałem tam wprost – i na tamte czasy (2008) było to prawdą – że Wołyń stał się w III RP takim samym tabu, jakim w PRL był Katyń. Reakcje też były gorące – stałem się dla ówczesnych władz, a także dla nie mniej skrytykowanych tam braci Kaczyń-

skich, omalże agentem wpływu Putina. Z kolei Kresowiaczy nie mogli uwierzyć, że nie mam z Wołyniem żadnych rodzinnych związków – wieloletnie doświadczenie nauczyło ich bowiem, że zarówno w kraju, jak i na emigracji o pamięć tej zbrodni dobijają się tylko rodziny ofiar.

Ale żadne krytyki nie zabolowały mnie tak jak pochwały. Jak dowiedziałem się nieco później, tekst z „Rzeczpospolitej” został bowiem przedrukowany przez gazety na wschodniej Ukrainie pod nieco zmienionym tytułem „My o wszystkim zapomnieliśmy, a faszysty na tym korzystają” i z pochwalnymi komentarzami w duchu oficjalnej propagandy dzisiejszych mario-netkowych władz „ludowych republik” Ługańska i Doniecka (zresztą za przedrukiem stały te same środowiska, które dziś tę propagandę tworzą). Moja publikacja, mówiąc krótko, stała się „dowodem”, że Ukrainą rządzą neonaziści.

Oczywiście Wiktor Juszczenko nie był nazistą ani nazizmu nie gloryfikował. Ale faktem jest, że to on właśnie i jego współpracownicy (do których należał Andrij Melnyk) stworzyli na Ukrainie państwowy kult UPA, Bandery oraz Szuchewycza, próbując zbudować wokół ich historii tożsamościową narrację dla swego kraju. Faktem jest też, że władze Polski zdawały się tego nie zauważać, co zresztą szło

w parze z przemilczaniem samej zbrodni. Jeśli już Sejm RP zmuszony był przyjąć rocznicową uchwałę, to przerabiano ją na bełkot o „tragicznych wydarzeniach” czy „wypadkach”, tak że zasadne stało się podejrzenie, iż zdaniem Sejmu 100 tys. Polaków na Wołyniu pochłonęło trzęsienie ziemi – a pamiętam i taką rocznicę, gdy wystarczyło, iż na galerii dla gości pojawił się ambasador Ukrainy, a ówczesny marszałek Komorowski po prostu zrzucił uchwałę z porządku dziennego z tą samą usłużnością, z jaką dziś media podchwytują rosyjską wrzutkę, jakoby należało pisać nie „na”, a „w Ukrainie”.

Polakom, słusznie oburzonemu nobilitowaniem zbrodniarzy, stawianiem im pomników, upamiętnianiem w nazwach ulic, szkół i pomników, umykał fakt, że kult budowany przez Juszczenkę nie był jednak kultem sprawców zbrodni na Polakach, a postaci całkowicie sfalsygowanych. W narracji ukraińskiej UPA była tylko partyzantką antysowiecką, a nawet antyniemiecką, a zbrodnia wołyńska została po prostu ze świadomości współczesnych Ukraińców całkowicie wyparta. Wyglądało to tak, jakby – spróbujmy sobie wyobrazić – w wyzwolonych spod okupacji sowieckiej Niemczech budowano kult Adolfa Hitlera jako dzielnego gospodarza, który zlikwidował bezrobocie, pobił budował

Narodowy Dzień Pamięci Ofiar Ludobójstwa na skwerze Wołyńskim, Warszawa, 11 lipca 2022 r.

FOT. ADAM CHEŁSTOWSKI/FORUM



autostrady i fabryki volkswagenów oraz zapewnił robotnikom wczasy pracownicze i inne prawa socjalne, kompletnie ignorując całą krwawą resztę jego dorobku. Można się bawić w akademickie dociekania, czy taki kult Hitlera byłby odrodzeniem niemieckiego antysemityzmu czy może zupełnie czymś innym.

NAJGORSZA TAKTYKA

Polskie władze, zarówno te o proweniencji lewicowo-liberalnej, jak i prawicowej, wychodziły z założenia, że wobec problemów Ukraińców z własną historią należy być maksymalnie wyrozumiałym i dać im czas na znalezienie jakichś mniej kontrowersyjnych bohaterów. Była to oczywiście taktyka najgorsza z możliwych, otwierająca szeroko pole dla różnego rodzaju radykałów i prowokatorów. Teraz zaledwie coś się zaczęło w stosunku polskich elit politycznych do problemu Wołynia zmieniać, pojawiła się z kolei obawa, by przypominając o nim, nie zaszkodzić walczącym heroicznie o swą wolność sąsiadom. Rosyjska propaganda o „denazyfikacji” Ukrainy opiera się przecież w przemożnym stopniu właśnie na argumentach gloryfikowania przez Kijów ewidentnych zbrodniarzy.

Czy kompromis między potrzebą podkreślania prawdy o zbrodni a politycznymi

potrzebami chwili, jaki ostatecznie zaproponowano w tym roku, jest satysfakcjonujący? Zapewne nie, dla nikogo. Ale tak już jest z kompromisami. Można podkreślać, że po raz pierwszy oficjalni przedstawiciele Ukrainy oddali hołd ofiarom i uczestniczyli w uroczystościach – można też podkreślać, że nadal nie zdobyli się na jasne przyznanie, kto dokonał ludobójstwa, a tym bardziej na przeprosiny. Można się oburzać na prezydenta Dudę za pouczanie Kresowiaków, by „ważyli słowa”, można też przypominać jego wymowny gest sprzed kilku lat, którym było złożenie kwiatów w szczerym polu, podkreślające, że zamordowani wciąż nie mają grobów.

Cokolwiek jednak powiemy o polityce polskich władz, rozdartych między lojalnością wobec polskiej pamięci a polityczną koniecznością wspierania Ukrainy w wojnie przeciwko rosyjskiemu imperializmowi, usunięcie tej zadry ze stosunków polsko-ukraińskich nie leży w naszej mocy. Możemy jedynie naciskać na Ukraińców i przypominać im, że – jak celnie kiedyś zauważył Jarosław Kaczyński – z Banderą do świata zachodniego nie wejda. Słuszności jego słów dowiodła zresztą ostra reakcja na wywiad ambasadora Melnyka władz Izraela – należy sądzić, że to raczej stanowcze przypomnienie przez nie udziału ukraińskich nacjonalistów w Holokaulu niż polskie protesty zadecydowało o odwołaniu Melnyka z Berlina. A nie od rzeczy dodać będzie, że – ponieważ oprócz Polaków i Żydów UPA zamordowała także wielu Ukraińców za kolaborację z Sowietami (co było, podobnie zresztą jak atak w 1943 r. na Polaków, zbrodniczą głupotą, bo chodziło o ludzi wcielonych do Armii Czerwonej przymusowo) – budowany przez pomarańczową rewolucję kult nie tylko skłóca Ukraińców z innymi narodami, lecz także z samymi sobą – tych ze wschodu z tymi z zachodu kraju.

Możemy też naszą polityką historyczną wskazywać im lepsze dla obojga stron obszary wspólnej historii, bardziej nadające się na podstawę historycznych i tożsamościowych narracji, jak choćby wspólna wyprawa Petlury i Piłsudskiego na Kijów, udział Kozaków w Bitwie Warszawskiej czy uгода hadziacka (365. rocznica w przyszłym roku).

Klasyczna psychologiczna teoria prof. Kubler-Ross, opisująca osvajanie się przez człowieka ze śmiercią, dzieli ten proces na pięć etapów. Najpierw jest uparte zaprzeczanie, potem wybuch

gniewu, potem próby negocjacji z rzeczywistością, gdy zaś te zawiodą, następuje depresja i dopiero po niej, w końcu, akceptacja faktów. Ten opis osvajania się z nieuchronnym oddaje bardziej uniwersalny mechanizm, rządzący także psychiką zbiorową. Można tych samych pięć etapów pokazać także w procesie osvajania się społeczności z ich zbiorowymi traumami. Stosując wzorec prof. Kubler-Ross, zauważamy, że Ukraińcy weszli obecnie w etap trzeci. Owszem, zbrodnia była i nie ma się co wściekać, no ale może nie była ona tak jednoznacznie i tylko nasza. Może to jednak Niemcy i Sowietci, może wojna domowa, może...

WE WŁAŚCIWYM KIERUNKU

Nie jest to wystarczająco wiele dla nas – bo tak straszliwe zbrodnie jak ta, której dopuścili się nacjonaści ukraińscy w 1943 r., domagają się całej prawdy, a nie jakichś jej ersatzów – ale widać ewolucję we właściwym kierunku. Tocząca się wojna dostarcza silnego argumentu za postawą cierpliwego czekania i umiarkowanego nacisku na Ukraińców.

Otóż, w przeciwieństwie do czasów Juszczenki i jego pomarańczowej rewolucji, obecna Ukraina skłamanego mitu bohaterskiego Bandery już nie potrzebuje. Swą głęboką narrację historyczną oparła na kozaczyźnie, a jako mit założycielski niepodległości ma bohaterów „Niebiańskiej Sotni” Majdanu, upamiętnianych w ostatnich latach bohaterów „operacji antyterrorystycznej”, powstrzymującej rosyjskich „separatystów” na wschodzie kraju i, przede wszystkim, całą trwającą od lutego epopeję heroicznej obrony kraju. Ktokolwiek będzie rządził, Ukraina po – oby zwycięskim – zakończeniu wojny musiałaby być pełnym szaleńcem, by nadal promować tak nietrafioną historyczną narrację, jaką jest wstawianie sobie, że UPA była bohaterską armią narodowowyzwoleńczą, a jej zbrodnie na Wołyniu sąsiadzkimi nieporozumieniami jednakowo obciążającymi obie strony.

Biorąc to wszystko pod uwagę, Polska powinna być wobec Ukrainy tyleż asertywna, co cierpliwa i elastyczna w wywieraniu presji. I takie właśnie były, jak sądzę, tegoroczne obchody rocznicy „krwawej niedzieli”, mimo wszystkich dających się w nich wskazać mankamentów.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

**CZYTAJ TAKŻE „TAJEMNICA BANDERY”
NA STR. 66**

RADOSŁAW WOJTAS: Nie spytam, czy jest pan posiadaczem broni, bo to w przypadku instruktora strzelectwa rzecz oczywista. Zapytam, jak mocno zawyża pan statystyki?

KRZYSZTOF KUCZYŃSKI: Mam swój – na-
zwijmy to szumnie – mały arsenał.

Broń krótka? Strzelby? Karabiny?

Właściwie to są bardzo różne rodzaje broni: pistolety, rewolwer, pistolety maszynowe, a także broń długa, czyli broń gładkolufowa, sztucery, karabinki... Mam kilkanaście sztuk broni.

Dopytuję, bo zastanawiam się, czy w kwestii możliwości zakupu środków ochrony balistycznej, czyli np. kamizelek kuloodpornych i hełmów, jesteśmy na tej samej pozycji. Pan – jako posiadacz sporego arsenału, sprawdzony przez policję, przez lekarzy, przeszkolony – i ja – osoba nigdy nieposiadająca broni groźniejszej od wiatrówki czy noża.

Jako posiadacz pozwolenia do celów szkoleniowych teoretycznie mógłbym sobie taką kamizelkę kupić. Ale co do zasady, posiadacz broni w Polsce nie może kupić sobie w naszym kraju żadnych środków ochrony osobistej, a przynajmniej nie takich o przeznaczeniu wojskowym i policyjnym, czyli tych, które rzeczywiście mają skutecznie chronić. Jest pan zatem na takiej samej pozycji co posiadacz broni, mimo że ci mają za sobą wszystkie poziomy sprawdziany, czyli wiadomo, że są zdrowi na ciele i umyśle, nie są karani itd. Nie możecie takiej kamizelki kuloodpornej czy hełmu zakupić w Polsce od polskiej firmy.

Godzę się z tym, że jako cywil nie mogę kupić czegoś, co jest przeznaczone dla policji czy wojska. Ale zastanawiam się, czym różni się kamizelka dla policjanta od tej, którą chciałbym sobie kupić (a nie mogę) jako np. dziennikarz wyjeżdżający na korespondencję do kraju ogarniętego wojną czy jako cywil, który po prostu chce się zabezpieczyć na wypadek czarnego scenariusza we własnym kraju.

I tu jest problem, bo to producent określa przeznaczenie danego środka ochrony. Tylko według znanych sobie zasad nazywa go środkiem o przeznaczeniu wojskowym, policyjnym lub cywilnym. Zakładałam, że ma to wymiar bardziej handlowy i nie jest związane z właściwościami produktu, bo przecież kamizelka kuloodporna ma w równym stopniu chronić przed określonym kalibrem pocisków reportera, lekarza, strażaka czy żołnierza. Oznaczenie ma



Ukraina, Odessa, 18 czerwca 2022 r. Kobieta zakłada środki ochrony osobistej przed ćwiczeniami z udzielania pomocy rannym na polu walki
FOT. YULII ZOZULIA/UKRINFORM/FUTURE PUBLISHING/GETTY IMAGES



Z Krzysztofem Kuczyńskim, adwokatem, instruktorem i propagatorem strzelectwa rozmawia Radosław Wojtas

Bez broni, bez hełmów, bez kamizelek kuloodpornych

zapewne znaczenie dla przetargów policyjnych i wojskowych. A ma to poważne konsekwencje – jeśli płyta balistyczna jest produkowana jako przeznaczona na użytek wojska czy policji, to polskie prawo wyklucza jej sprzedaż cywilom. A więc wszystko rozstrzyga się na poziomie deklaracji producenta właściwie tych samych przedmiotów, a nie ich konkretnych właściwości.

A kamizelek z przeznaczeniem na rynek cywilny się nie produkuje?

Czasem są dostępne płyty balistyczne, które – zazwyczaj zagraniczni – producenci określają jako przeznaczone na rynek cywilny. Jest ich jednak niewiele i są drogie.

I cywil w żaden sposób nie może uzyskać pozwolenia na zakup takiego sprzętu?

Nie można go kupić, choć paradoksalnie polskie prawo nie zabrania posiadania płyt balistycznych czy hełmów. Ciężar kontroli obrotu przerzucony jest na sprzedających. Po pierwsze, handlować takim sprzętem mogą tylko podmioty koncesjonowane. A po drugie, sprzedawać mogą je tylko szczególnym kategoriom podmiotów, które są wymienione w ustawie. Ustawie tak skonstruowanej, że nie ogranicza działalności podmiotów zagranicznych. Więc dochodzi do kuriozalnej sytuacji, bo ludzie kupują tego typu rzeczy od zagranicznych sprzedawców, np. w Internecie. I dopóki kupujący nie zamierza tym dalej handlować w ramach działalności gospodarczej, dopóty jest to zupełnie legalne. Tylko że są to niestety często przedmioty niewiadomego pochodzenia o niewiadomych właściwościach. A od nich zależy później ludzkie życie.

Od niedawna mamy pewien nowy wyjątek. Polacy mogą legalnie kupować od polskich sprzedawców środki ochrony, takie jak płyty balistyczne i hełmy, ale pod warunkiem, że wyślą lub wywieźć je na Ukrainę.

Tak, pojawiła się taka specjalna procedura na mocy specustawy. Kupujący musi mieć poświadczoną przez ukraińską ambasadę w Polsce dane odbiorcy sprzętu, z takim dokumentem idzie do koncesjonowanego sprzedawcy, deklarując, że wyśle go na Ukrainę. Przed wysyłką musi jeszcze poinformować Ministerstwo Rozwoju i Technologii o zamiarze wywozu.

Jeżeli ograniczenia w obrocie tym sprzętem mają jakiekolwiek uzasadnienie, jeżeli są utrzymywane z myślą o tym, by nie dostawał się on w niepowołane ręce, to tego typu wyjątek stanowić może pole do nadużyć?

Ten sprzęt zawsze może wrócić do Polski. Ale to nie jest problemem, bo nie są to przedmioty zakazane. Poruszamy się jednak w niezrozumiałej konstrukcji prawnej – można posiadać, ale nie można kupić. Przynajmniej nie od polskiego koncesjonowanego sprzedawcy. Moim zdaniem ten zakaz sprzedaży powinien zostać uchylony i wszystko to, co dotyczy ochrony osobistej, powinno zostać dopuszczone. Nie widzę większego ryzyka w takim posunięciu, bo tak naprawdę każdy, kto chciałby wykorzystać taki sprzęt niezgodnie z prawem, i tak może go w dość łatwy sposób zdobyć. Znowu więc w Polsce wylewa się dziecko

z kąpielą – uniemożliwia się dostęp do elementów ochrony osobistej zwykłemu, uczciwemu obywatelowi, który w razie wojny będzie przecież tym, który stanie w obronie ojczyzny. A ten, jeśli do tego dojdzie, nie będzie już miał czasu na szukanie kamizelek.

Tym bardziej że nie brakuje w Polsce osób, które chcą kupić dla siebie sprzęt z najwyższej półki i mają na to środki.

Musimy być świadomi, że w razie zagrożenia państwo nas w ten sprzęt nie wyposaży. Nie mamy takiego sprzętu dla obywateli. Dlaczego więc każdy we własnym interesie, za własne pieniądze, nie może go sobie kupić? Jak przyjdzie „Godzina »W«” – co mam nadzieję nigdy nie nastąpi, ale co jest jednak możliwe – wołalibyśmy mieć hełm dopasowany do

Kamizelkę kuloodporną można posiadać, ale nie można jej kupić. Przynajmniej nie od polskiego koncesjonowanego sprzedawcy

mojej głowy, wołalibyśmy mieć najwyższej klasy kamizelkę kuloodporną. Po to, żeby być w miarę chronionym od „dnia zero”, a nie prosić kolegów i przyjaciół z Zachodu, żeby nam coś takiego dostali, bo dla wielu z nas to może być po prostu za późno. Pomijając fakt, że poczta czy kurier już ich nam wtedy nie dostarczy.

Proszę zwrócić uwagę, że na Ukrainie za broń chwycili zwykli obywatele. Broń była tam rozdawana ludziom na ulicach w centrach miast. No i ci ludzie chcieli czuć się bezpiecznie i potrzebowali kamizelek kuloodpornych i hełmów. Ukraina dramatycznie wołała o pomoc, jeśli chodzi o środki ochrony osobistej. Gdyby doszło do konfliktu na terenie Polski, byłibyśmy w dokładnie tej samej sytuacji.

Jeśli nie w gorszej, bo przecież Ukraina przygotowuje się do pełnoskalowej wojny od 2014 r.

Mówimy o rzeczach, które do tej pory wydawały się abstrakcyjne, ale mając na uwadze to, co się dzieje za naszą wschodnią granicą, powinniśmy się po prostu przygotować. I to są najprostsze działania, które możemy podjąć już teraz. Nie

oszukujemy się, nikt nam nie wyprodukuje i nie dostarczy z dnia na dzień setek tysięcy kamizelek, które wchłonąłby polski rynek. Zmiana przepisów powinna nastąpić jak najszybciej po to, by rynek nasycił się w ciągu następnych miesięcy czy może lat. Najlepiej byłoby, gdyby każdy kupił kamizelkę i dobrał rozmiar płyty do siebie. Taki sprzęt tak naprawdę powinien być w domu każdego Polaka.

Ale wielu powie: jest armia, są WOT, jest NATO, ja jestem tylko cywilem. A rozmawiamy o sprzęcie, który kosztuje kilka tysięcy złotych.

W sytuacji inwazji będziemy musieli zmierzyć się z wrogiem na naszym terenie i jest oczywiste, że polska armia sama nie da rady. Nawet z pomocą NATO, która przyjdzie z oczywistym opóźnieniem. Pierwsze tygodnie czy miesiące będziemy musieli radzić sobie własnymi siłami, a bez wsparcia społeczeństwa, które dziś jest kompletnie rozbrojone, nie mamy szans. Tu dotykamy jednak innej kwestii – uzbrojenia społeczeństwa, ale to chyba temat na inną rozmowę.

Jesteśmy w momencie historii, w którym krew przelewana tuż przy naszych granicach w konflikcie z Rosją powinna nas obudzić i spowodować, że zaczniemy mądrze przygotować się na scenariusz, w którym przelać może się także polska krew. Historycznie wiemy, że jest to możliwe, ale chyba wciąż jesteśmy przekonani, że to się nie powtórzy. A apetyty imperialne na Wschodzie są niezwykle rozbudzone. Czas najwyższy potraktować polskie społeczeństwo poważnie.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Krzysztof Kuczyński – pasjonat broni palnej i instruktor strzelectwa. Zawodowo zajmuje się szkoleniem w zakresie prawa broni palnej, a także – jako адвокат – reprezentuje posiadaczy broni w postępowaniach sądowych i administracyjnych. Ukończył studia prawnicze na Wydziale Prawa i Administracji Uniwersytetu Gdańskiego, podyplomowe studia prawnicze (LLM) na Uniwersytecie Heinricha Heinego w Düsseldorfie oraz studia uzupełniające Anglo-American Law (Uniwersytet Heinricha Heinego w Düsseldorfie we współpracy z Harvard Law School). Właściciel Gdańskiej Szkoły Strzelectwa.

Nienaprawialni?



Łukasz Zboralski

Coraz więcej nieletnich opuszczających ośrodki wychowawcze wchodzi ponownie w konflikt z prawem. Od wielu lat postulowano zmianę w działaniu tych placówek. I wreszcie nastąpi

Młodzieżowe ośrodki wychowawcze, które nie są jeszcze poprawczakami (czyli takimi więzieniami dla nieletnich), mają naprowadzać na dobrą drogę dzieci, nad którymi nie udało się zapanować w rodzinach – takie, wobec których wszystkie metody wychowawcze zawiodły i które sądy rodzinne decydują się umieścić w specjalnych placówkach. Problem w tym, że resocjalizacja przebiega tam mało skutecznie. Wiemy o tym zresztą od lat.

Już w 2009 r. Najwyższa Izba Kontroli wskazywała, że system resocjalizacji nieletnich jest w Polsce drogi i nieskuteczny. Prawie 60 proc. podopiecznych tych ośrodków wracało na drogę przestępstwa, a w samych ośrodkach zachowania stawały się coraz bardziej brutalne. Dekadę temu brakowało zarówno miejsc dla nieletnich, jak i obsady kadrowej. Co trzeci człowiek prowadzący tam zajęcia dydaktyczne nie miał wymaganych kwalifikacji. A to nie najgorsze – wielu opiekunów świadczyło „usługi” kurierskie, dostarczając podopiecznym np. papierosy. Zakłady dla nieletnich były też przepełnione.

Po ośmiu latach – gdy NIK ponownie zajrzała do młodzieżowych ośrodków wychowawczych – niewiele się zmieniło. Wprawdzie kadra już miała wymagane prawem dokumenty o koniecznych kursach i nie było już tak dużego problemu przepełnienia, ale najważniejsza rzecz – resocjalizacja – nadal nie istniała. Około 30 proc. wychowanków, którzy opuszczali MOW, wchodziło w konflikt z prawem. A biorąc pod uwagę okres pięciu lat od opuszczenia ośrodka, odsetek ten wzra-

stał do 60 proc. Dlaczego resocjalizacja nie funkcjonowała właściwie? Między innymi z tego powodu, że do ośrodków trafiały dzieci o różnym stopniu zdemoralizowania. W jednych murach zamykano zarówno tych, którzy przestawali chodzić do szkół, nadużywali alkoholu czy innych środków, jak i tych, którzy uprawiali nierząd albo byli już mocno agresywnymi członkami grup przestępczych.

Najnowsza kontrola NIK wskazuje, że nic się w tej sprawie nie zmieniło.

WRACAJĄCY NA ZŁĄ DROGĘ

W Polsce są dziś 94 młodzieżowe ośrodki wychowawcze, w których (stan na 30 września 2020 r.) przebywało 4357 wychowanków. Zajętych jest w nich zatem ponad 86 proc. miejsc.

Co roku sądy dla nieletnich wydają ok. 23 tys. orzeczeń. Zdecydowanie najczęściej wobec chłopców (70 proc. orzeczeń) i w większości dotyczy to demoralizacji (59 proc. przypadków – demoralizacja, pozostałe to czyny karalne). Spośród tych wszystkich orzeczeń średnio niecałe 5 proc. młodych ludzi



FOT. ADRIAN STOLIK

wawczego w Szczecinie (dziewczyna na szczęście się odnalazła). Jej matka w liście upublicznionym w mediach społecznościowych ujawniła wówczas powody tej ucieczki: „Marysia od tygodnia była katorwana przez dwie inne wychowanki... Nie pobita raz czy dwa, ale maltretowana nocami, o czym wychowawcy rzekomo nie mieli pojęcia... Biły i kopały ją w brzuch, głowę i po plecach... dusiły poduszkami, żeby nie krzyczała... Koleżanki z pokoju zastraszone milczały aż do dziś... powiadomiono policję, ofiar zgłosiło się więcej, a agresorki przyznały się do winy... Najgorsze jest to, że nikt nie wie, gdzie jest Marysia... pobita, głodna i sama w totalnie nieznanym wielkim mieście... uciekła z piekła, tak jak stała – w kapciach i koszulce...”

Zdaniem NIK skupianie w jednych ośrodkach młodych ludzi o różnym stopniu zdemoralizowania to największy powód resocjalizacyjnej porażki MOW. Liczby pokazują skalę tej porażki. Opuszczenie ośrodka dzięki zakończeniu procesu resocjalizacji przed ukończeniem 18. roku życia dotyczy zaledwie 3,4 proc. wychowanków. Główne przyczyny skreśleń wychowanków z ewidencji (42,3 proc. wszystkich skreśleń) to ucieczki, brak powrotu z przepustek, przeniesienia do innych ośrodków z przyczyn wychowawczych.

NIK sprawdziła też dokładniej, co działo się z 336 podopiecznymi kontrolowanych MOW, skreślonymi z ich ewidencji w latach 2018–2020 (połowa z powodu długotrwałej nieobecności, połowa po ukończeniu 18. roku życia). Okazało się, że więcej z nich wchodziło w konflikt z prawem w porównaniu z latami 2015–2018. Teraz na złą drogę powróciło 23 proc. z nich, wcześniej było to 21 proc.

Oczywiście problemów w MOW jest więcej – np. Ministerstwo Edukacji i Nauki, któremu podlegają ośrodki, nie monitoruje, co dzieje się z nieletnimi w okresie po wydaniu orzeczenia sądu o umieszczeniu w MOW a chwilą, w której tam ostatecznie trafia. To duża luka, bo wielu młodocianych po wyrokach sądów nie stawia się do ośrodków. Brakuje też m.in. odpowiedniej liczby psychologów w ośrodkach.

ZANIM TRAFIA DO POPRAWCZAKA

Na szczęście po latach zaniedbań teraz jest szansa na zmianę. Sejm przegłosował już przygotowany przez Ministerstwo Sprawiedliwości projekt ustawy o wspie-

raniu i resocjalizacji nieletnich. Od 1 września wprowadzi on poważne zmiany.

Przede wszystkim nowe prawo pozwoli rozdzielić w młodzieżowych ośrodkach wychowawczych dzieci o różnym stopniu zdemoralizowania. Chodzi o oszacowaną przez resort sprawiedliwości liczbę 300–400 nieletnich, którzy w ogóle odmawiają podjęcia pracy nad sobą. W efekcie takie dzieci pozwalają sobie wciąż na więcej, bo dobrze wiedzą, że sąd wyczerpał już wobec nich swoje narzędzia i że do przekroczenia pewnej granicy nie grozi im pobyt w zakładzie poprawczym. W pewnym sensie czują się więc bezkarne.

Resort Ziobry postanowił wprowadzić specjalnie dla nich pośrednie ogniwo pomiędzy młodzieżowymi ośrodkami wychowawczymi a poprawczakami. Będą to okręgowe ośrodki wychowawcze. Ustawa pozwoli tam przenosić nieletnich, którzy nie kwalifikują się do poprawczaków, a jednocześnie nie poddają się „procesowi resocjalizacji w młodzieżowym ośrodku wychowawczym, czego wyrazem są ucieczki, pogłębiająca się demoralizacja czy popełnianie kolejnych drobnych czynów karalnych”. Od 1 września sądy rodzinne będą badać takie przypadki nieletnich z MOW i decydować o kierowaniu ich do nowych placówek.

To oczywista szansa na lepszą resocjalizację dla innych trudnych dzieci, które chcą współpracować z pedagogami i wychowawcami. Pytanie brzmi: Jak będą działać nowe placówki wobec dzieci trudniejszych do zresocjalizowania? Jeśli nie uda im się praca z nimi, to ostatecznie będą one trafiać do zakładów poprawczych. A tam też wydłuża się droga dla najbardziej krnąbrnych – wydłuży się maksymalny wiek przebywania w poprawczaku z 21. roku życia do 24. roku życia, jeśli resocjalizacja nie będzie przynosić skutku.

Nowelizacja wprowadza też narzędzia, które mogą pomóc w tym, że dzieci w ogóle nie trafią nawet do młodzieżowych ośrodków wychowawczych. Te mają dostać dyrektorzy szkół, którzy mogliby – w porozumieniu z rodzicami – karać uczniów za występki, np. pracami na rzecz szkoły. O dziwo, właśnie te propozycje stały się w Polsce jednymi z najbardziej dyskutowanych w tej nowelizacji i to możliwość lepszego kształtowania postaw w szkole została najbardziej zaatakowana m.in. przez polskich karnistów, którzy uznawali to wręcz za próbę orzekania kar bez procesów sądowych.

– czyli ok. 1,1 tys. – jest kierowane do ośrodków.

Inspektorzy NIK wskazują, że po pięciu latach od ostatniej kontroli w Polsce wciąż mieszka się w jednych ośrodkach groźnych nastolatków z dziećmi, które np. tylko uciekały ze szkół.

„Kontrole w poszczególnych ośrodkach wykazały m.in., że do tej samej placówki kierowani byli nieletni o bardzo różnym stopniu zdemoralizowania, a także o zróżnicowanych potrzebach wychowawczych (np. w związku z: nierealizowaniem obowiązku szkolnego, wykazywaniem względem innych osób dużej agresji werbalnej i fizycznej, uzależnieniem od alkoholu lub środków odurzających, dopuszczaniem się kradzieży z włamaniem, bójek i rozbojów, wchodzeniem w kontakty ze światem przestępczym). Prowadziło to do aktów agresji, przemocy zarówno fizycznej, jak i psychicznej, a finalnie do porażki całego systemu wychowawczego w części ośrodków” – czytamy w raporcie NIK.

Jak dramatyczne są to sprawy, pokazał przypadek 16-letniej Marii, która w 2019 r. uciekła z Młodzieżowego Ośrodka Wycho-

Moralność pani Dulskiej 2.0



Tomasz Rowiński

To, co wychodzi na jaw o pracy w „Newsweeku”, pokazuje kołtuńską moralność tych, którzy cały czas pouczali innych Polaków z wyższościowych pozycji

Naprawdę trudno się nie uśmiechnąć ironicznie, patrząc na to, co się wyprawia wokół skandalu, który wywołał Tomasz Lis, były już naczelny tygodnika „Newsweek”. Zwolnienie przez koncern Ringier Axel Springer Polska (RASP) tego – jak powiedział kiedyś Wojciech Jaruzelski – „arystokraty dziennikarstwa” uruchomiło niesamowitą lawinę wzajemnych oskarżeń dziennikarzy związanych teraz lub w przeszłości z „Newsweekiem”. Fala oskarżeń już zresztą zaczęła się przenosić na inne redakcje.

Skąd ten ironiczny uśmiech? Trochę z rzeczywistości, a trochę z literackich skojarzeń. Zapewne długo nie będzie lepszego momentu, by przypomnieć klasyczny tekst Gabrieli Zapolskiej „Moralność pani Dulskiej”, traktujący przecież o mieszczańskim zakłamaniu. Pani Dulska to postać – mogłoby się zdawać – karykaturalna,

gotowa zrobić wszystko, by utrzymać nieskazitelny wizerunek swojej rodziny w oczach otoczenia, choćby w tej rodzinie miały miejsce nie wiadomo jakie dramaty. Dulska poucza, oskarża, sama jednocześnie nieustannie intrygując w jednym tylko celu – by wszystko w jej domu szło „normalnie”, choćby musiało stać się to kosztem niegodziwego traktowania innych ludzi. Co gorsze, Dulska nie widzi sprzeczności pomiędzy przyjmowaną przez siebie postawą moralnego nauczyciela a budzącym obrzydzenie sposobem postępowania. Ostatecznie też niczego się na własnych perypetiach nie uczy.

MORALIZATORZY

Liberalni i lewicowi publicyści tyle już razy przypisali „dulszczyznę” czy „kołtuństwo” swoim pravicowym czy katolickim adwersarzom, nie mogąc znieść ich oglądu świata, że prawie w zapomnienie poszło, o czym traktuje sztuka Zapolskiej. A jest ona przecież opisem specyficznej mieszczańskiej moralności, której tradycje – jak widać, bezbłędnie – reprodukuje i mieszczaństwo dzisiejsze. A właściwie jego elity, jego dziennikarze, twórcy wielkomiejskiej, kosmopolitycznej i postępowej opinii trzęsący się z furii, że są „w tym kraju” ludzie, którzy myślą inaczej niż oni sami.

Na czym polega ta niezwykła aktualność dziełka Gabrieli Zapolskiej? Na tym

chyba najbardziej, że dzisiejsze – nomen omen – osoby dramatu jutro prawdopodobnie wrócą do zwykłego moralizowania, jak gdyby żaden mobbing, żadne – a już się o tym pisze – molestowanie, w ogóle nie miało miejsca. Jakby to, co się dzieje, nie dotyczyło w ogóle środowisk, które przecież nieustannie moralizują. Znowu usłyszemy lub przeczytamy, że taka czy inna opinia może faktycznie nieraz nie najgorsza to „w pełnej krasie katolicki głos w twoim domu, głos głupoty, podłości, nienawiści i kołtunerii, echem odbijający się w tylu parafiach i biskupich pałacach”. Ten cytat, rzecz jasna, pobrałem bezpośrednio z krynicy słowa polskiego i publicystycznej mądrości, czyli od Tomasza Lisa.

Właściwie trzeba by było powiedzieć nie, że „znow usłyszemy”, ale że „już słyszymy”. Gdy przez Polskę przechodzi burza dotycząca skandalicznej etyki pracy w jednym z najważniejszych w Polsce tygodników opinii, ten tygodnik – pod nowym kierownictwem Tomasza Sekielskiego – po raz nie wiadomo już który odgrzewa na okładce zestarzały kotlet oskarżeń wobec kard. Stanisława Dziwisza. Sam napisałem kiedyś o tym okładowy tekst w „Do Rzeczy”, jednak warto mieć jakieś wyczucie czasu. Łatwo jest mi teraz wyobrazić sobie liberalnego moralistę, który chciałby napisać ripostę do mojej opinii: „Sprawa Lisa nie może odwrócić naszej uwagi od prawdziwego

problemu polskiego życia publicznego, jakim jest Kościół katolicki”. Po tym, jak cień oskarżeń o mobbing padł na Aleksandrę Klich i środowisko „Gazety Wyborczej”, a dzięki Karolinie Korwin-Piotrowskiej na całą plejadę tzw. pism kobiecych, byłby to prawdziwy głos pani Dulskiej A.D. 2022. Nie jest wykluczone, że ktoś gdzieś już coś takiego napisał.

NIESZCZĘSNY MECHANIZM REAGOWANIA

Tymczasem sprawy idą swoim tempem, zgodnie z logiką, którą znamy z tak wielu innych sytuacji, gdy zamiast podjęcia działań na rzecz zmiany – RASP na razie unika odpowiedzialności – para szła w gwizdek oburzenia. Pojawiają się wezwania do medialnego linczu, podejmowane z bezpiecznych pozycji i zapewniające znaczne przyrosty serduszek na Twitterze. Tak powstaje nieszczęsny mechanizm reagowania, w którym oburzenie pozwala winnym uniknąć konsekwencji.

Powstają bowiem pomiędzy komentującymi frakcje Tomasza Lisa (bo Renata Kim, która miała go zdezwurować w oczach wydawcy, musiała być przecież opłacona przez PiS), Renaty Kim (bo to dzielna kobieta) czy jeszcze może Wojciecha Staszewskiego (ponieważ skompromitował Kim jako współniczkę redakcyjnej przemocy). Tymczasem zaciera się obraz długotrwałej – trochę mocne słowo – patologii toczącej środowisko ludzi, którzy nieustannie niczym rzymscy trybuni pouczają czytelników na łamach swoich pism o sprawiedliwości, ludzkich prawach, o obyczajach, tolerancji, także nieraz o problemach przemocy, jakie pojawiają się w relacjach zawodowych. „Mobbing to [...] choroba całego systemu prasowego w Polsce. Jeśli chodzi o media, tym bardziej potworna, że ja opisuję rzeczywistość pism kobiecych »eleganckich«. Tych, które na okładkach opowiadają o siostrzeństwie, równości, feminizmie i prawach człowieka” – pisze Korwin-Piotrowska. Zapolska znów ironicznie się uśmiecha.

Całe – jak się teraz okazuje, oderwane od rzeczywistości i przesterowane – moralizowanie „mieszczańskich” mediów ma swoje okrutne skutki. Z jednej strony otwiera drogę do zwyczajnej niesubordynacji pracowników, którzy dość łatwo stan zawodowej zależności od przełożonego mogą bezkarnie nazwać przemocą. Z drugiej strony jednak oka-

Czy jest nadzieja, że media wyrwą się z „kołtuńskiej” mentalności? To trochę jakby pytać, czy da się zreformować społeczeństwo

zuje się, że naprawdę można głoszone przez siebie wartości traktować czysto wirtualnie, a w „prawdziwym życiu” niszczyć ludzi i pogardzać nimi w najgorszym korpostylu. Zastanawiam się, jak by nazwać taką postawę? Chyba kpina z czytelników.

ŁAŃCUSZEK OSKARŻEŃ

Obejrzymy pokrótce łańcuszek oskarżeń, który według znacznego prawdopodobieństwa wynikł z długoletniego rozdwojenia jaźni, w którym wszyscy udawali, że sprawy idą w najzupełniej właściwy sposób. Tomasza Lisa wyrzucono ponoć za mobbing, choć pojawiły się też nowe informacje, że za „przytulanie młodszych koleżanek”. Ponieważ – i im dłużej będzie to trwało, tym bardziej sprawa zacznie się uprawdopodobniać – RASP milczy, nie da się wykluczyć, że coś jest na rzeczy. W dodatku na urlop udała się szefowa kadr koncernu, co oczywiście ma nie mieć żadnego związku ze sprawą.

Jeśli potwierdzą się głosy, takie jak Izabeli Michalewicz, byłej dziennikarki „Newsweeka”, że w redakcji tygodnika relacje ludzkie były źle poukładane na długo przed przyjściem Lisa, czy Rafała Kalukina, także związanego niegdyś z tygodnikiem, który napisał, że był mobbowany przez Lisa za wiedzą wydawcy, będzie można ze stuprocentową pewnością powiedzieć, że urlop szefowej HR nie ma kompletnie nic wspólnego ze sprawą. Czytelnicy wybaczają, ale nie da się o tym wszystkim pisać bez ironii. Aha, o chamstwie Tomasza Lisa, które miało być wspierane przez przedstawicieli niemiecko-amerykańskiego przecież koncernu, jakim jest RASP, pisał także Ryszard Holzer, były sekretarz „Newsweeka”.

Wróćmy do wątku. To Renata Kim przyznała się już po zwolnieniu Lisa do bohaterskiej akcji, dzięki której wysadziła szefa z fotela redaktora naczelnego. Jednak pełna chwała pani redaktor nie trwała długo. Wojciech Staszewski, były dziennikarz „Newsweeka”, oskarżył Kim, że sama była częścią systemu nękania członków

redakcji. „To od niej doświadczałem przez wiele, wiele miesięcy ignorowania, odzywiania się tylko zdawkowo, traktowania przez wiele godzin »jak powietrze«, bezpodstawnego i nieustającego krytykowania wszystkich tekstów, poprawiania ich do późnego wieczora w piątek, odrzucania i krytykowania wszystkich tematów przesłanych w niedzielę wieczorem, przymuszania do wymyślania kolejnych o 22, 23 wieczorem” – napisał na Facebooku o sprawie Staszewski. I dodawał: „Fakty, przedstawiane m.in. na spotkaniu zarządu z redakcją, są inne. Renata Kim sygnalizowała sprawę działowi HR, ale z obawy przed Lisem zgłoszenie wycofała. To było parę lat temu. Tomasz Lis został zwolniony po skardze innej osoby. Zarząd nie ujawnia, ani kim ona jest, ani czego skarga dotyczyła. Natomiast nie jest to Renata Kim”.

Kim odpisała w mediach społecznościowych, że Staszewski był po prostu kiepskim pracownikiem. Już samo to, że dziennikarze piorą teraz publicznie w tak żenujący sposób tego typu brudy, wskazuje, że coś w „Newsweeku” nie grało.

Na koniec dodam: jest jeszcze jedno potwierdzenie, że szefowa kadr RASP poszła na urlop „zupełnie bez związku ze sprawą” mobbingu w redakcji. Od jakiegoś czasu trwa przecież kontrola Państwowej Inspekcji Pracy w redakcji tygodnika, jest przecież oczywiste, że to najlepszy moment, by mogła wreszcie odpocząć po dopełnieniu swoich obowiązków. „W firmie huczy, że uciekła na urlop, bo zeznanie prawdy to mogą być kłopoty dla RASP, a zeznanie nieprawdy podlega odpowiedzialności karnej” – mówił kilka dni temu cytowany przez portal salon24.pl dziennikarz „Faktu”. Współgra to w znacznej mierze z dość tajemniczą opinią wspomnianego już Rafała Kalukina o przyczynach usunięcia Lisa: „Na mojego nosa takie historie wcześniej czy później zawsze jednak wychodzą”. I dalej: „Z tego, co wiem, wyleciał za coś znacznie gorszego. Ale nie mnie o tym gadać”.

No właśnie. Kto ma zatem „gadać”, żeby sprawy nie wróciły po prostu na dawne tory? Na to trudno znaleźć odpowiedź. A przecież w kolejce czekają światła ludzi z telewizji czy portali informacyjnych, gdzie pracuje się ciężko i pod presją. Czy jest jakaś nadzieja, że media wyrwą się z „kołtuńskiej” mentalności? To trochę jakby pytać, czy da się zreformować społeczeństwo. Każdy ma inne zdanie na ten temat. © © Wszelkie prawa zastrzeżone



Piotr Semka
z Londynu

Tylko uznanie, że twórca świeci odbitym światłem – darem pochodzącym od Boga, Kogoś znacznie potężniejszego – pozwoliło Rafaelowi dojść do szczytów ludzkich możliwości. Żaden malarz po nim nie dostąpił łaski podobnej biegłości pędzla

W wielkiej trójcy mistrzów włoskiego renesansu Leonardo da Vinci kojarzy się z logiką, ale i z pewną dozą tajemnicy, Michał Anioł z dramatyzmem i cierpieniem tworzenia. Na ich tle Rafael Santi (1483–1520) to spokojne piękno i pełna religijnego natchnienia harmonia. Z tych trzech geniuszy sztuki Rafael żył najkrócej, ale i najszybciej rozwijał swój talent. Postępy w sztuce malarskiej, które innym zajmowały dekady, jemu zajmowały lata. Tak jakby był wyjątkowo miły Bogu – niczym jego patron, archanioł Rafael.

Wielka wystawa w londyńskiej National Gallery pokazuje mistrza włoskiego odrodzenia w całej wszechstronności. Głównie jako malarza, ale i rzeźbiarza, grafika, architekta i prekursora archeologii oraz opieki nad zabytkami.

Brytyjczycy nazywają takie wystawy „Once in a lifetime” – raz w ciągu życia. Istotnie, zgromadzenie większości najważniejszych dzieł wielkich mistrzów pędzla zdarza się raz na 50–70 lat. I jest przywilejem najbogatszych galerii. Tym razem okazją do święta sztuki miała być 500. rocznica śmierci Rafaela. Pandemia spowodowała ponaddwuletni poślizg w otwarciu ekspozycji.

RENEZANS W ROZKWICIE

Dziwne wrażenie robi na widzu oglądanie w oryginale dzieł znanych od dziesiątek lat z reprodukcji. Kiedyś białe-czarne, a potem z czasem coraz lepszych, kolorowych. Rafael królował we wszystkich albumach dotyczących renesansu. Dopiero stykając się z jego płótnami oko w oko, dostrzec można trudne do wyobrażenia bogactwo kolorów i maestrię jego linii. Można sobie wyobrazić, jak wielkie wrażenie musiały

Rafael – ulubieniec niebios



Autoportret Rafaela z 1506 r.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

te obrazy robić w kościołach i pałacach możnych w świecie, który nie znał fotografii. Genialny malarz jawił się jako cudotwórca. Ktoś, kto otrzymał jakąś łaskę od Boga.

Trzydzieści siedem lat życia mistrza rozpisano na londyńskiej wystawie na siedem sporych tematycznych sal. Przerwane przedwcześnie życie, które zainspirowało wielu pisarzy. Czytając daty ważne w historii malarza z Urbino, które otwierają wystawę, przypominała mi się przeczytana kiedyś trafna uwaga prof. Dariusza Karłowicza, znawcy sztuki włoskiego mistrza: „Jest rzeczą zastanawiającą, jak bardzo życiorys Rafaela przypomina baśń, taką zwykłą, z książki dla dzieci, ze wszystkimi obowiązującymi rysami. Oto geniusz rodzi się w skromnej rodzinie, w prowincjonalnym miasteczku, w latach chłopięcych zostaje sierotą, los nie szczędzi mu ani oschłej, złośliwej macochy, ani złego stryja-opiekuna. Jako dziecko jeszcze musi szukać u obcych kawałka chleba. Ale ten chłopak uzbrojony jest w moc – chciałoby się rzec: czarno-księską, w talent, który otworzy mu rychło wszystkie drzwi i zaprowadzi na wyżyny kariery artystycznej, społecznej i finansowej”.

Talent Rafaela zadziwiał i wzbudzał zawiść. I nie przestaje inspirować. Gabriele Finaldi, dyrektor National Gallery, otwiera katalog wystawy cytatem z Giorgia Vasario, najwcześniejszego biografa artysty: „Jak szczodrym i dobrodusznym okazało się Niebo, aby zgromadzić tylko w jednej osobie nieskończone bogactwo swoich skarbów i błogosławieństw”.

Przystaję przed autoportretem Rafaela z 1506 r. Liczył sobie wtedy 23 lata. Już od trzech lat tytułuje się zaszczytnym tytułem „maestro”. Autoportrety najczęściej mówią nam o artyście – w końcu to on sam decyduje, jakim chce zaprezentować się światu. Spokojne spojrzenie kryje pewną dozę melancholii. Czarny strój i ciemny kaszkiet wyjątkowo jasną, urodziwą twarz ozdobioną zielonymi, inteligentnymi oczami. Rafael znał już wtedy arkany dworskiej uprzejmości i światowości, ale ten rys melancholii zauważali jego najbliżsi przyjaciele. Tak jakby malarz ze smutkiem i zdziwieniem obserwował, jak świat ideału rozmija się z ludzkimi namiętnościami, które przyczyniają się do tylu nieszczęść. Czas najwyższego rozkwitu talentu Rafaela to

okres krwawych wojen, które rozdzierała Półwysep Apeniński. Raptem trzy lata wcześniej nastąpił kres rządów papieża Aleksandra VI Borgii, który kazał Tron Piotrowy rozpustą i skrytobójstwami.

Ale Rafael w sztuce znalazł azyl wobec burzliwej epoki. Uciekał od brzydoty życia i krył się w świecie swoich obrazów.

Całą sporą salę autorzy wystawy poświęcili cyklowi obrazów Madonny z Dzieciątkiem. To głównie

w rękach maleńkiego Jana Chrzciciela symbolizuje przyszłą Ofiarę. Krajobraz w tle ma w sobie zawsze coś spokojnego, sentymentalnego i łagodnego. I przypomina rodzinną Umbrię artysty.

Jak wyznawał Rafael kolegom po pędzlu, twarze jego Madonn były syntezą rysów wielu różnych kobiet. W liście do przyjaciela Baldassara Castiglione pisał: „Chcąc wymalować jedną uroczą postać, trzeba mieć kilka przed oczyma.



Madonny Rafaela są niezwykle młode. Oto tzw. Alba Madonna namalowana w latach 1509–1511. Maryja bawi się z młodym Jezusem, troskliwie i dobroliwie nadzorując jego igraszki z maleńkim Janem Chrzcicielem

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

florencki okres w karierze artysty, czyli lata 1504–1508. Rafael potrafił, jak nikt inny, nadać wyobrażeniom Maryi nieziemskie piękno. A jednocześnie, na co zwraca uwagę krytyk sztuki Kia Vahland, jego Madonny są niezwykle młode. Oto tzw. Alba Madonna namalowana w latach 1509–1511. Maryja bawi się z młodym Jezusem, troskliwie i dobroliwie nadzorując jego igraszki z maleńkim Janem Chrzcicielem. Matka cieszy się przyjaźnią dwóch niemowląt – przyszłego krzewiciela Wiary i Człowieka-Boga. Madonna trzyma w ręku księgę, która symbolizuje szacunek dla Bożego prawa. Tylko drewniany krzyżyk

Nie mając modelu, maluje się na pamięć według idei, które do głowy przychodzą”.

Rafael w portretach Madonn skupia się na intymnej więzi między chroniącą małego Jezusa matką a jej synem, którego zbawczą misję Maryja przeczuwa. Jej oblicze uspokaja i przekonuje widza, że dobro zawsze zwycięża nad złem. I znów zacytujmy prof. Karłowicza, który pisząc o rafaelowskich portretach Madonny z Dzieciątkiem, wskazuje: „Zgodnie z powszechnym w renesansie neoplatonickim przekonaniem o istnieniu piękna idealnego Rafael starał się do tego piękna zbliżyć. Pozowała mu zapewne

ta sama modelka, ale jej wizerunek został zupełnie odmaterializowany, pozbawiony cech własnych, rysy twarzy są tylko punktem oparcia dla poszukiwań urody idealnej, wyrazu twarzy nadludzkiego, o wszechogarniającej wiedzy, tak jak miało to miejsce w najlepszych dziełach sztuki antycznej”.

ROMA FINITA

Dla takiego tytana talentu jak Rafael tylko Rzym mógł być w tych czasach odpowiednią areną dla jego sztuki. Nie wystarczały mu już nie tylko prowincjonalne Urbino czy Perugia, lecz także nawet rozkwitająca wtedy Florencja. Potrzebował mecenasa przez duże M. I znalazł go w osobach dwóch kolejnych papieży – Juliusza II, a potem Leona X.

Zwłaszcza ten pierwszy patron był fascynującą postacią. Mąż stanu o żelaznej woli – wywalczył dla państwa papieskiego dominującą rolę na terenie Włoch. Pontifex, który w rycerskiej zbroi potrafił przeprowadzić swoim żołnierzom w zdobywaniu nieprzyjacielskich zamków wrogów, a który jednocześnie cenił sztukę, kochał antyk i miał oko do prawdziwych artystów.

W wypadku Rafaela nie da się oderwać tego okresu od jego najwybitniejszego dzieła w tym czasie – słynnych Stanz Watykańskich. Juliusz II był autorytarnym władcą. Bez wahania kazał skuć już istniejące wcześniej freski w swoich apartamentach – dzieła pędzla Perugina, Sodomy, Barmantina i Peruzziego – aby Rafael miał miejsce na przyszłe prace. I mistrz z Urbino nie zawiódł swego mecenasa.

Autorzy wystawy w tym jednym wypadku zrobili wyjątek i ozdobili spora ścianę na wystawie fototapetą z reprodukcją „Szkoły Ateńskiej”. To dzieło to manifest renesansowej wiary Juliusza II w naturalną syntezę uzupełniania się prawdy odkrytej przez starożytnych mistrzów z prawdą objawioną chrześcijaństwa.

Nauka boska teologia stoi na równi z ludzką mądrością – filozofią, wzajemnie się uzupełniając. Rafael jako neoplatonista eksponuje Platona, który kroczy tuż obok Arystotelesa. Uderza to, z jak matematyczną precyzją jest zaskomponowane to dzieło. Każdy uczoney zajmuje swoje ściśle określone miejsce według sztywnej hierarchii intelektualnej.

Na realistycznym portrecie patrzy na nas ze swego fotela sędziwy papież

Juliusz II. Zielone tło ładnie komponuje się z ciemnokarminowym, papieskim strojem ceremonialnym.

Papież ukazany zostaje jako znużony myśliciel. Patrzy przed siebie, rozmyślając zapewne o wieczności. To poza czy prawdziwe oblicze? Tak czy inaczej, portret ten był elementem kultu władcy państwa papieskiego. Ponoć współczesnych szokował jego hiperrealizm.

Po śmierci Juliusza jego portret zawisł na ołtarzu głównym w kościele Santa Maria del Popolo.

Jego następcę, Leona X, widzimy na szkicu ołówkiem nakreślonym ręką Rafaela. Pontifex niesiony jest w lektyce zwanej sedia gestatoria. Malarz uchwycił ruch ręki papieża błogosławiącego zgromadzone tłumy.



Portret Juliusza II FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Dopiero w Rzymie Rafael ujawnił swoją wszechstronność. Malował na płótnie i był autorem nie tylko fresków, lecz także grafik, projektów tapet, arrasów i rzeźb. To Rafael zaprojektował rzeźby rumaków na Wzgórzu Kwirynalskim. Szkice do tych rzeźb pokazują mistrzostwo jego zmysłu proporcji. Dał się poznać jako architekt. Przejął po zmarłym w 1514 r. Donacie Bramantem kierowanie budową bazyliki św. Piotra. Z nadania Juliusza II został głównym konserwatorem zabytków Rzymu. Na tym stanowisku zajął się ratowaniem dziedzictwa po starożytnym Rzymie. Był pionierem wykopalisk archeologicznych nad Tybrem dwa wieki przed Johannem Winckelmannem. W zachowanym me-

moriale dla Leona X w sprawie idei stworzenia planu antycznego Rzymu pisał: „Praca nad zabytkami Wiecznego Miasta daje mi olbrzymią radość, gdyż pozwala pogłębiać wiedzę o tak doskonałej rzeczy jak architektura antyku”. Ubolewał, że ruiny antyczne są wciąż używane jako rezerwuuar surowca budowlanego. Pisał, że „odczuwa »wielki ból«, widząc, jak wspaniałe miasto, niegdyś władające światem, zostało tragicznie zniszczone”.

To właśnie w czasie długiego przebywania w wykopach archeologicznych zaziębził się i złapał rzymską febrę, która zakończyła jego żywot w Wielki Piątek 6 kwietnia 1520 r. Ten sam symboliczny dzień, w którym przyszedł na świat w 1483 r. „Bóg wezwał go do siebie w dniu swej śmierci” – szeptali Rzymianie, którzy oddawali hołd jego trumnie wystawionej na widok publiczny. Miał pogrzeb godny księcia. Księcia artystów.

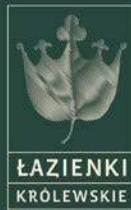
LUX DEI

Dzisiejsze czasy rzadko skłaniają autorów wystaw do refleksji nad wzajemnym wpływem wiary i sztuki. Na londyńskiej ekspozycji próżno szukać uwag, że arcydzieła Rafaela nie mogłyby powstać, gdyby nie jego głęboka wiara. Należał do Bractwa Ciała Chrystusowego w Urbino i do stowarzyszenia ludzi świeckich Oratorium Boskiej Miłości w Rzymie, które postawiło sobie za cel wydzwignięcie Kościoła z moralnego upadku epoki Borgiów. Jego epitafium wyryte na grobowcu w rzymskim Panteonie brzmi: „Tu spoczywa Rafael. Bałem się tego, co niezgłębione, pokonałem zwyczajne, wielkim równy, tylko śmiertelne zmarło ze mną”.

A jednak wystawa uczy pokory wobec światła mądrości Boga, które czyni wybranych artystów depozytariuszami nadziemskiego daru tworzenia piękna. I tylko uznanie, że twórca świeci odbitym światłem – darem pochodzącym od Boga, Kogoś znacznie potężniejszego – pozwoliło Rafaelowi dojść do szczytów ludzkich możliwości. Żaden malarz po nim nie dostąpił łaski podobnej biegłości pędzla, podobnej wyobraźni wizualnej i mistrzostwa kreski. Żaden, choć od śmierci mistrza minęło już 500 lat. Wobec tej tajemnicy maestrii pozostajemy bezradni także po opuszczeniu londyńskiej wystawy.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

„Rafael” – ekspozycja w National Gallery w Londynie potrwa do 31 lipca br.



Królewski **REMBRANDT**

JEŹDZIEC POLSKI ZE ZBIORÓW
THE FRICK COLLECTION W NOWYM JORKU

Muzeum Łazienki Królewskie, Pałac na Wyspie

6 maja – 7 sierpnia 2022 r.



Piotr Gociek

Odpocznijcie latem przy staroświeckiej rozrywce. Coraz trudniej o nią. Subiektywny przegląd przedstawia Piotr Gociek

Dzięki Bogu za lato! Wedle odwiecznej hollywoodzkiej tradycji to czas popcornowej rozrywki dla starszych i całkiem dorosłych chłopców. Także horrorów, ale nie o nich będzie dziś mowa, lecz o produkcjach, które uszyto według dawnych wzorców „zabili go i uciekł”. Staroświecka rozrywka w nowych beczkach. Żadne tam „hokus-pokus, czary-mary, twoja stara to twój stary”, żadne „łzyście nas, białasów, bośmy całymi dziejami cywilizacji zawinili”, żadne „girl power górą, faceci dołem!”. Jeżeli macie już dosyć sporów o trzeci i siódmy rodzaj toalet, to odpocznijcie latem przy filmach i serialach, które w dzisiejszym zideologizowanym świecie są białym jednorożcem.

NAJBARDZIEJ OCIEKAJĄCY TESTOSTERONEM – „LISTA ŚMIERCI”

Najbardziej ostentacyjnie oldskulowa propozycja z omawianych. Serial Amazona inspirowany powieścią Jacka Carra pod tym samym tytułem (w Polsce znamy dwie książki z tego cyklu, drugą jest „Prawdziwy wyznawca”).

Chris Pratt, znany jako Star-Lord ze „Strażników Galaktyki” oraz gwiazda wskrzeszonej serii o dinozaurach („Jurassic World”), dostaje w tym serialu okazję do umocnienia swego wizerunku ekranowego twardziela o złotym sercu oraz pogłębiania prywatnego hobby, jakim jest różnego rodzaju broń palna.

Głównym bohaterem jest James Reece, chluba Navy SEALs, którego oddział bierze udział w niebezpiecznej tajnej misji w Syrii. Misja kończy się fiaskiem, a Reece wraca do kraju pokiereszowany psychicznie. Od tego miejsca pomysł zdaje się ukradziony z „Homelandu”. Tam w pierwszych sezonach bardzo ładnie grano motywem potencjalnej niestabilności psychicznej Carrie Mathison (w tej roli Claire Danes). W „Liście śmierci” też przez pewien czas nie wiemy, czy

„Lista śmierci” to najbardziej ostentacyjnie oldskulowa propozycja z omawianych FOT. MATERIAŁY PRASOWE (X4)



złowroga konspiracja istnieje czy tylko bohaterowi we łbie poprzepalały się styki. Rzecz jednak szybko skręca w kierunku solidnego thrillera spiskowego w starym stylu. Intryga godna powieści Roberta Ludluma plus sprawdzony wątek mściciela doskonale posługującego się każdym rodzajem śmiertelnościowych gadżetów. Czego spodziewać się po takim osobniku? Realizacji hasła rzuconego kiedyś przez Bogusława Lindę: „A zabiję ich wszystkich!”.

NAJBARDZIEJ ORYGINALNY – „OSTATNIA SZANSA” (CINEMAN)

Twórcom filmu „Ostatnia szansa” („Last Looks”) udało się rzecz niezwykłą: nakręcili czarny kryminał, który jest

jednocześnie znaczącym dokonaniem gatunku oraz pastiszem, a zarazem doskonale pasuje do współczesnej, ogarniętej manią postępu Kalifornii. Były gliniarz Charlie Waldo (gwiazda „Synów anarchii” – Charlie Hunnam) porzucił miejskie życie i został minimalistą ratującym planetę. Mieszka w przyczepie napędzanej energią słoneczną, medytuje nad strumieniem i posiada jedynie sto rzeczy. Gdy jego była dziewczyna (Morena Baccarin) wpada w kłopoty, Waldo bierze robotę, przed którą się wzbraniał – to znaczy próbuje odkryć, czy telewizyjny gwiazdor (Mel Gibson) zamordował własną żonę. Pracuje po swojemu, to znaczy jeżdżąc po Los Angeles i okolicach rowerem tudzież strasząc przechodniów brodą dzikiego człowieka.



Hunnam to dobry aktor, który uważnie wybiera role; chwaliłem go choćby za „Zaginione miasto Z” czy „Prawo dżungli”, chwałę i za „Ostatnią szansę”. Ma talent, ma charyzmę, jest na ekranie chemia między nim a Lucy Fry (która gra nietypową femme fatale, bo przedszkolankę). W scenach z Melem Gibsonem nie odstaje, a to naprawdę coś. No i na drugim ekranie dzieje się tu wiele, jest Rupert Friend („Homeland”) jako cyniczny producent filmowy, jest Clancy Brown (pamiętny Kurgan z „Nieśmiertelnego”), raper Method Man, a nawet Dominic Monaghan (Merry z „Władcy Pierścieni”) w przeżabawnej roli prawnika. Ten przegapiony przez krytykę klejnocik znajdziecie w serwisie streamingowym Amazon Prime.

NAJBARDZIEJ WYSTAWNY

– „GRAY MAN”

Każdy chce mieć swoją serię o Bondzie albo przynajmniej o Ethanie Huncie (czyli „Mission Impossible”), w ostateczności Jasonie Bourne. Netflix już jakiś czas temu sięgnął po uznanych reżyserów kina akcji, czyli braci Russo, speców od wysokobudżetowych hitów Marvela („Kapitan Ameryka”, „Avengers”). Przygotowali oni thriller „Tyler Rake: Ocalenie” („Extraction”) z Chrisem Hemsworthem, oddając jednak reżyserię w cudze ręce. Teraz sami stanęli za sterami przedsię-

wzięcia o budżecie ponad 200 mln dol. – rekord w dotychczasowych dziejach Netflixu.

„Gray Man” powstał na podstawie serii powieści Marka Greaney (tom pierwszy już w naszych księgarniach), współpracownika Toma Clancy’ego. Obsada gwiazdorska: Ryan Gosling w roli głównej (spec od mokrej roboty w CIA, pseudo Sierra Six), Chris Evans (Kapitan Ameryka) jako ścigający go psychopata, Régé-Jean Page znany z „Bridgertonów”, a szkodzony ponoć na nowego Bonda, charyzmatyczna jak zawsze Ana de Armas oraz kradnący show hinduski aktor i reżyser Dhanush. Krytyk „New York Timesa” twierdzi wprawdzie, że to najbardziej pusty z gwiazdorskich filmów Netflixu, ale pojawiają się i opinie, że to udane skrzyżowanie Bonda oraz „Szybkich i wściekłych”. Tak czy inaczej, filmu z Ryanem Goslingiem nie wypada ominąć, nawet jeśli poza nim na ekranie zobaczymy jedynie piękne pejzaże i sporo bijatyki w stylu „Johna Wicka”. Nadzieje są wielkie – w Netflixie liczy się po cichu, że „Gray Man” zapoczątkuje nową franczyzę. Jest z czego czerpać, Mark Greaney napisał już 10 powieści o tym bohaterze.

NAJLEPIEJ NAPISANY I ZAGRANY

– „CZARNY PTAK”

Najwyższej jakości niespodzianka na lato. „Czarny ptak” („Black Bird”) to serial stworzony przez znakomitego pisarza Dennisa Lehane’a, o dziwo – nie na podstawie własnej prozy. Lehane, autor „Rzeki tajemnic”, „Wyspy skaźców” czy serii o detektywach Kenziem i Gennaro, zaadaptował książkę „In with the Devil: A Fallen Hero, a Serial Killer, and a Dangerous Bargain for Redemption”, którą James Keene oparł na własnych przeżyciach. Była to swego czasu w USA wydawnicza sensacja, a do ekranizacji kinowej chciał się brać Brad Pitt. Nic dziwnego, historia jest iście hollywoodzka, choć prawdziwa.

James Keene (w serialu gra go wyżyłowany Taron Egerton) był młodocianym królem życia, handlował narkotykami, na ubóstwo nie narzekał, a dla obrony interesów trzymał w domu arsenał. Kiedy przyszło aresztowanie i skazanie, dostał 10 lat bez możliwości skrócenia wyroku. Ale otrzymał też cień szansy na odkupienie: w zamian za skrócenie wyroku miał zaprzysiąc się w utrzymanym w więzieniu o najwyższym rygorze seryjnym



zabójcą. Larry Hall (Paul Walter Hauser) odsiadywał wyrok za jedyne zabójstwo, do którego się przyznał, ale trwała już apelacja i wiele wskazywało na to, że może zostać uniewinniony. Detektywi prowadzący śledztwo (grają ich Sepideh Moafi i Greg Kinnear) mieli pewność, że Hall zabijał wielokrotnie. Brakowało jednak dowodów. Stąd desperacka misja Keene’a.

„Czarny ptak” to serial znakomicie napisany i zagrany, w części poświęconej śledztwu przypominający klimatem słynnego „Detektywa” z HBO. Do wszystkich wymienionych już aktorskich atrakcji dołożyć trzeba jeszcze jedną: po raz ostatni na ekranie widzimy zmarłego niedawno Raya Liottę, który gra ojca Jamesa Keene’a. Muzykę napisał szkocki zespół Mogwai. Warto zwrócić uwagę na tę sześcioczęściową produkcję, to jedna z najlepszych tegorocznych propozycji Apple TV+.

TO, CO WAŻNE

Niezależnie od rozmaitych mód i szaleństw ideologicznych, gust i kieszeń zwykłego konsumenta rozrywki wciąż jeszcze się liczą. Publika sama wybiera filmy, których potrzebuje. Opisywałem niedawno na łamach „Do Rzeczy” kameratele dramat „Pies” z Channingiem Tatumem (DVD i streaming), hołd dla tych, którzy z bronią w ręku narażają życie, by chronić wolny świat. Pisałem o filmie „Stillwater” (jest na platformie Canal+, w Rakutenie i Chili) – tam Matt Damon, bohater pozytywny, jest ciężko pracującym, modłym się, upartym amerykańskim robotnikiem. Krytycy amerykańscy wybrzydali, widzowie byli zachwyceni. Popkultura zbyt rzadko przypomina sobie, że dobry kryminał to opowieść o przywracaniu w świecie równowagi i ładu, a nie odwrotnie. Docenmy tych, którzy pamiętają.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



FOT. MATERIAŁ PRASOWE



PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

Serce i młot



★★★★★
REŻ. TAIKA WAITITI
„THOR: MIŁOŚĆ I GROM” („THOR: LOVE AND THUNDER”)
USA 2022

wyst. Chris Hemsworth, Natalie Portman, Christian Bale, Tessa Thompson

Thor (tradycyjnie Chris Hemsworth) ze złamanym sercem oddaje się medytacjom oraz samobójczym misjom. Jego ukochana Jane Foster (powrót Natalie Portman) jest śmiertelnie chora. Asgard (leżący teraz na Ziemi) stał się wioską dla turystów. Zeus myśli tylko o dorocznych orgiach. Tymczasem w cieniach rodzi się wielkie niebezpieczeństwo – Gorr Bogobójca, który utracił wiarę, utracił także swego boga w sposób bardzo dosłowny: przebił go magicznym mieczem. A teraz chce wykończyć innych bogów.

Zeusem jest Russell Crowe, w rolę Gorra wcielił się Christian Bale. Oba najnowsze dodatki do Marvel Cinematic Universe są udane. Crowe kpi z samego siebie

(znaczy: z własnej opasłości), Bale tworzy postać niejednoznaczną, łotra targanego rozpaczą i gniewem, przywołującego pytanie, z którym od dawna zmagają się filozofowie i teolodzy: Dlaczego Bóg pozwala na zło?

Przed wszystkim jednak „Thor: Miłość i grom” to szalona komedia, podobnie jak nakręcony przez tego samego reżysera (utalentowany Taika Waititi) wcześniejszy „Thor: Ragnarok”. Wszystko jest tu przesadzone, wszystko jest pastiszem, błazenadą, podobnie zresztą jak w innej odnodze kinowej rozrywki Marvela, czyli serii o Strażnikach Galaktyki (pojawiają się zresztą gościnnie w „Miłości i gromie”). Tym trudniej było wyważyć proporcje, a jednak udaje się, to nie jest tylko błazenada, znajdzie się miejsce na wzruszenie. Komikso-

we gagi, żarty à la Monty Python, muzyka Guns N' Roses – zaiste, wybuchowa to mieszanka.

Film Waititego zarobił w ciągu tygodnia na świecie 300 mln dol. i jest na najlepszej drodze do grona najbardziej kasowych premier roku. Nie jest to jednak rozrywka perfekcyjna. Fabuła, w porównaniu z „Ragnarokiem”, jest dość prosta, ukłon w stronę dzieciarni chyba niepotrzebny, a liczba trybutów dla bożków ideologii LGBT irytująca. Walkirie to lesbijki, kamienisty obcy Korg poznany w „Ragnaroku” też nagle okazuje się homo, rośnie liczba sugestii, że mamusie najlepiej czują się w objęciach innych mamusí, a tatu-siowie – innych tatusiów. Nowa postać, syn Heimdalla, strażnika Bifrostu, każe mówić do siebie Axl, ale jego ziomkowie pamiętają, że za poprzednie imię miał Astrid. Czyżby płęć też sobie zmienić? Dla fanów MCU ważna jest wiadomość, że warto poczekać na dwie sceny po napisach końcowych. Jedna ujawnia, kim będzie nowy czarny charakter. Trzeba takiego, gdyż „Thor will return” przypomina nam komunikat końcowy. ©



NOWE SERIALE: „MAN VS. BEE”

Rowan Atkinson jako pechowy opiekun domów prowadzący wojnę z wojowniczą pszczołą? Absurdalne, ale odnotować trzeba, bo to jeden z niespodziewanych hitów Netflixu. I warto się pokłócić: czytałem recenzję brytyjskiego krytyka, który po seansie sugerował rezygnację z subskrypcji Netflixu. Wszystko zależy od tego, czy

zaakceptujemy konwencję zabawy. Jest to seria slapstickowa w stylu kreskówek „Looney Tunes”. Znacnie ten typ budowania gagów – każda z pozorów niewinna czynność prowadzi do kumulacji kłopotów, aż do finalnej i wyjątkowo malowniczej katastrofy. ©

Piotr Gociek

• „Man vs. Bee”, Wielka Brytania 2022

NA MAŁYM EKRANIE TAKŻE:

- reż. Tobi Baumann i Wolfgang Groos „Udając Hitlera” („Faking Hitler”), Niemcy 2021
- reż. Meagen Gibson „Stworzyłem sektę” („How I Created a Cult”), miniseria dokumentalna, USA/Wielka Brytania 2022
- sezon 1 „Yellowjackets”, USA 2022

Między falami

KINO

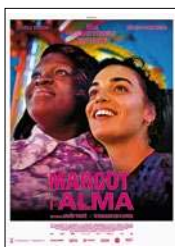
Przyjaźń między kobietami podobno jest niemożliwa, z definicji. Jak zaprzeczyć owej seksistowskiej tezie? Kręcąc film o paniach, które są nierozłączne jak siostry syjamskie: razem imprezują, śmieją się, płaczą i żaden przystojniak nie zdoła ich poróżnić. Alma jest czarnoskóra i puszysta – Margot wręcz przeciwnie. Pal diabli wygląd, liczy się przecież charakter, a pod tym względem dziewczyny dobrały się jak w korcu maku. Mają wspólne motto życiowe („Dzisiaj nie umieramy”) tudzież identyczne marzenie: podbić stołeczne sceny jeszcze przed trzydziestką. Talent i odrobina sprytu wystarczą, by wygrać casting. Jedna dostanie rolę, druga z entuzjazmem pełnić będzie obowiązki

dublerki. Monodram opowiada o imigracji, co poniekąd koresponduje z biografiami Almy i Margot. Niestety, ich przyjaźń zostanie wystawiona na bardzo ciężką próbę...

Zaskoczenia brak, ponieważ europejskie kino przyzwyczało nas do słodko-gorzkich narracji. Morał?

Tak oczywisty, że aż wzdriam się o tym pisać: aktorstwo może być formą autoterapii, a sztuka pomaga przetrwać najcięższe chwile. Sprawność ekipy, skrzykniętej przez reżyserkę debiutantkę, nie podlega dyskusji. Gorzej ze scenariuszem. Pod koniec seansu wiemy o bohaterkach tyle samo, co na początku: że się od siebie nie różnią. A powinny, chociaż trochę. ©©

Wiesław Chełmiński



★★★★★
REŻ. ANAÏS VOLPÉ
„MARGOT I ALMA”
(„ENTRE LES VAGUES”)
FRANCJA 2021

wyst. Souheila Yacoub, Déborah Lukumena, Sveva Alviti



FOT. MATERIAŁY PROSOWE

GRA TYGODNIA: „F1 22”

Nikt nie spodziewał się rewolucji, jest jak zawsze ewolucja. Nowa generacja samochodów, nowe zasady, nowa aerodynamika, jeszcze bardziej widowiskowa walka z kierowcami sterowanymi przez adaptive AI. To wszystko na plus. Nowość w postaci F1 Life, czyli modułu pozwalającego

urządzić naszemu kierowcy pewną część prywatnego życia (mieszkanie, „cywilne” stroje itp.), to chyba jednak mało potrzebny dodatek, który niewiele wnosi i w zasadzie stanowi tylko coś w rodzaju naszej wizytówki. Mam jednak przecucie graniczące z pewnością, że będzie zyskiwał na



FOT. MATERIAŁY PROSOWE

znaczeniu, bo to dobra okazja do zarobku na mikropłatnościach. Tak się dziś najlepiej zarabia na grach. ©©

Radosław Wojtas

• **Gatunek:** wyścigowa
• **Platforma:** XSX, XONE, PS5, PS4, PC
• **Producent, wydawca PL:** Codemasters, Electronic Arts

TAKI BYŁ KLIMAT

arte

„Ostatnie tango w Paryżu” nie ma ostatnio dobrej prasy. A jeszcze kilka lat temu mówiono, że to arcydzieło improwizacji, rewolucyjne w formie i brzemienne w treści. Historię sadomasochistycznego związku zbławianego Amerykanki i młodziutkiej Francuzki chwaliły nawet feministki. Bertolucci na starość kajał się za brutalne traktowanie aktorki. Ironia losu sprawiła, że ten występ uczynił z panny Schneider gwiazdę, co na długo zamknęło jej usta. Brando zaczynał mieć problemy z wagą, więc w odróżnieniu od ekranowej partnerki rozebrać się nie dał. Obejrawszy film, poczuł się jednak „zgwalcony” i zerwał kontakty z reżyserem, który zrobił zeń starego satyra. Pół wieku po premierze „Ostatnie tango w Paryżu” jest już tylko eksponatem w muzeum kontrkultury, która w szaleńczej pogoni za wolnością wpadła w pułapkę wulgarności. Autorzy cyklu o kulisach słynnych filmów jeszcze tego nie wiedzieli. ©©



★★★★★
REŻ. SERGE JULY, BRUNO NUYTEN
„OSTATNIE TANGO W PARYŻU”
(„LE DERNIER TANGO À PARIS”)
FRANCJA 2004

Wiesław Chełmiński

OSTATNIA NIEDZIELA

NINATEKA

Wojciech Kilar ozdobił swoją muzyką 170 filmów, w tym „Kronikę wypadków miłosnych”. Na pierwszy rzut ucha dziarski „Marsz kawalerii” niezbyt pasuje do przesyczonej nostalgiją opowieści o gorącym lecie 1939 r. Tadeusz Konwicki wspomina szczeniące lata i Kresy – magiczną krainę, którą z wyroku historii i Stalina spotkał los Atlantydę. Żołnierz na koniu stał się jednak symbolem II RP wcześniej, niż Wajda nakręcił „Lotną”. Niestety, w stanie wojennym nasz eksportowy reżyser zaczął tracić formę. Nastroje w branży też były podłe. Zdawało się, że twórcom nie zostało już nic poza „wewnętrzną emigracją”. Chociaż nie wszyscy młodzi aktorzy stanęli na wysokości zadania, a szlagier „To ostatnia niedziela” zaśpiewał Zbigniew Wodecki, to film się broni. A seans z Kilem można kontynuować, bo do końca lipca dostępne są również „Zazdrość i medycyna”, „Smuga cienia”, „Bilans kwartalny” oraz „Trędowata”. ©©



wyst. Piotr Wawrzyńczyk, Paulina Młynarska, Gabriela Kownacka

★★★★★
REŻ. ANDRZEJ WAJDA
„KRONIKA WYPADKÓW MIŁOSNYCH”
POLSKA 1985

recenzuje Wiesław Chełmiński

KRZYSZTOF
MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Zapomniana **melodia**

Nie ma życiorysów nudnych, są tylko źle napisane czy opowiedziane. Ten jest wyjątkowy, ale nie tylko dlatego, że pojawiają się w nim tak sławne postaci jak stryj autor-ki – Czesław Miłosz czy jej ojciec chrzestny – Leopold Tyrmand, ani też z tego powodu, że ta autobiografia Joanny Miłosz-Piekarskiej jest zarazem historią życia jej ojca, Andrzeja Miłosza, młodszego brata noblisty, pozostającego przez lata w głębokim jego cieniu, a przecież mającego i własne dokonania twórcze (głównie w zakresie filmu dokumentalnego), człowieka zasłużonego, pod wieloma względami wyjątkowego. Autorka wydanej przez PIW książki snuje jednak swoją własną opowieść, o swoim życiu, wcale niełatwym, rozpiętym między odległymi państwami i kontynentami, z różnymi paszportami, choć zawsze z Polską w sercu.

Koneksje rodzinne bywały często w tym życiu pomocne, choć niekiedy utrudniały je. Oczywiście nie w takim stopniu, w jakim stały się udziałem ojca, w końcu przez pewien czas, po tym, jak Czesław Miłosz zdecydował się na emigrację, funkcjonującego jako brat wroga ludu. W dzieciństwie Joanny, córki Andrzeja Miłosza z pierwszego małżeństwa, stryj poeta był osobą mityczną, później, dajmy na to – w trakcie studiów na Uniwersytecie Warszawskim, na które dostała się jako obywatelka Australii, to, że była bratanicą wielkiego poety, na pewno „nie dawało żadnych forów podczas egzaminu z łaciny czy ekonomii politycznej”.

Skądinąd stryj doradzał jej, by raczej nie zajmowała się literaturą, „bo wkrótce nie będzie już czytających, będą sami piszący”. Wcześniej, gdy zastanawiała się nad wyborem studiów, podpowia-

Bracia Czesław i Andrzej
Miłoszowie w Paryżu
w 1979 r. FOT. ARCHIWUM JMP/PIW

dał, by było to „coś praktycznego, co da mi porządną, praktyczną zawód. Chciałam studiować psychologię. Zasugerował, że mając taki zawód jak na przykład лаборантка, zawsze i wszędzie znajdę pracę. Byłam w owym czasie wielce urażona [...]”. Ale w czasie studiów (a jakże, humanistycznych, konkretnie filologii angielskiej zakończonej magisterium z Leonarda Cohena) wspierał ją, pomagając finansowo, przekazyując część swych niewielkich wtedy tantiem z ZAiKS.

Bracia Miłoszowie kochali się, ale i spierali nieraz. Jak np. o ekranizację „Doliny Issy” dokonaną przez Tadeusza Konwickiego. Czesław Miłosz – czytamy – „uważał, że jest niemożliwa do przeniesienia na ekran. Innego zdania był Tadeusz Konwicki. Andrzej poparł Konwickiego i orędowną za filmem u brata, i stryj dał zgodę. Gdy zobaczył ten film na festiwalu w Toronto, wpadł we wściekłość. W liście pisanym do mnie do Australii z 27 kwietnia 1989 roku tak wyjaśnia powody swojego niezadowolenia: »Konwicki wykazał brak inteligencji artystycznej i mojej książki nie zrozumiał, biorąc z niej malowniczość. Nie miałbym o to pretensji, bo to jego sprawa. Ale wprowadził, nie wiadomo

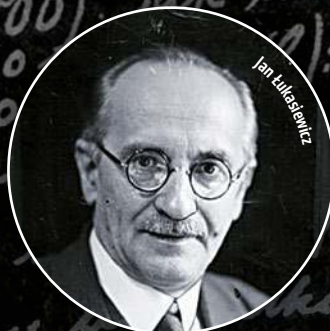
dłaczego, Manhattan (że niby wspomnienia emigranta) i, rzecz absolutnie niedopuszczalna, 6 moich wierszy recytowanych (źle) przez aktorów. Ponieważ sprawcą filmu jest głównie Andrzej, który mnie kłarował, że Konwicki marzy o sfilmowaniu tej powieści, a Konwickiemu tłumaczył, że ja go na reżysera upatrzyłem, Andrzej czuje się w obowiązku filmu bronić i błaga mnie, żebym się odezwał do Konwickiego, który jest chory, etc. No trudno. Gorzej jednak, że to idzie na karb mojego nazwiska (pewne wiersze były takim chwytym) i krytycy w Polsce jednogłośnie film wychwalają zamiast powiedzieć, że chała» [...]”. Do tematu tego będzie Czesław Miłosz powracał, „i później ilekroć rozmowy braci ocierały się o tę sprawę, zawsze wywiązywała się dyskusja, a ciśnienie skakało”.

Joanna Miłosz-Piekarska relacjonuje w książce wydarzenia ze swego życia, pewnie aż za bardzo (stan wojenny!) interesującego, oddaje hołd ojcu, o którym pisze z niezwykłą czułością, a zupełnie kapitalnie pokazuje różnice i kontrasty między światami, które poznała: tu i tam, teraz i wtedy. Ten ostatni jest bodaj ważniejszy. Autorka wspomina np. swoją babcię (ze strony matki, Hannę z domu Goliszewskiej): „Wpoila we mnie tradycje rodzinnego stołu [...], szacunek dla starszych (do tej pory używam zwrotów typu: »Ciociu, czy nalać cioci herbaty?«), to, że nie wolno w dyskusji podnosić głosu. Kiedy traciłam panowanie i zaczynałam coś ostrzej, babcia powtarzała: »C'est le ton qui fait la chanson« – »To melodia tworzy piosenkę«”.

Powiedziećbym, że „Wszystkie czasy przeszłe” mają wyraźną linię melodyczną. I to jest największy atut tej dobrze opowiedzianej autobiografii. ©©



★★★★★
**JOANNA MIŁOSZ-
-PIEKARSKA**
**„WSZYSTKIE
CZASY PRZESZŁE”**
PIW,
WARSZAWA 2022



Piękne umysły, czyli genialni polscy matematycy i informatycy



PROJEKT WSPÓŁFINANSOWANY ZE ŚRODKÓW MINISTERSTWA EDUKACJI I NAUKI W RAMACH PROGRAMU „SPOŁECZNA ODPOWIEDZIALNOŚĆ NAUKI”



Ministerstwo
Edukacji i Nauki



Z prof. Krzysztofem Ciesielskim, wykładowcą z Instytutu Matematyki Uniwersytetu Jagiellońskiego rozmawia Piotr Włoczyk

Uroczystość 25-lecia Towarzystwa Naukowego Warszawskiego (1932). Widoczni m.in. prezes Towarzystwa prof. Wacław Sierpiński (przemawia), były prezes Towarzystwa prof. Kazimierz Żorawski (stoi pośrodku) FOT. NAC

Polska

– potęga matematyczna

PIOTR WŁOCZYK: W jakim stopniu to matematyka uratowała niepodległość Polski?

PROF. KRZYSZTOF CIESIELSKI: Polscy matematycy odegrali w tym kontekście ogromną rolę. Bez ich pracy odparcie najazdu bolszewików w 1920 r. byłoby bardzo trudne, a może nawet niemożliwe.

Mówimy tu oczywiście o zespole kierowanym przez por. Jana Kowalewskiego, który złamał szyfry Armii Czerwonej, pozwalając m.in. na wykonanie decydującego kontruderzenia znad Wieprza, znanego jako Cud nad Wisłą.

W zespole Kowalewskiego pracowali zawodowi matematycy, tacy jak Stefan Mazurkiewicz czy Wacław Sierpiński. Ich zasługą było właśnie złamanie bolszewickiego szyfru. Dziś nie jest to już tajemnicą, ale za czasów PRL był to temat zakazany. Nie wolno było poruszać tego zagadnienia. Złamanie bolszewickiego

szyfru pozwalało wyprzedzać ruchy przeciwnika, w związku z czym nie będzie przesadą stwierdzenie, że polscy matematycy bardzo pomogli utrzymać niepodległość rodzącej się II RP. Tym samym reszta Europy również powinna być im wdzięczna.

Rozgryzanie szyfrów Armii Czerwonej było czystą matematyką?

Jak najbardziej, ale nie tylko. Polecam dostępny w Internecie artykuł prof. Grzegorza Nowika, który ukazał się w 2019 r. w piśmie „Wiadomości Matematyczne”. Dziś kryptografia jest na znacznie wyższym poziomie i deszyfraż wygląda już zupełnie inaczej, ale 100 lat temu kilku zdolnych matematyków mogło rozwikłać system kodowania, który drugiej stronie wydawał się nie do złamania. Wacław Sierpiński



Jan Kowalewski. Obok: bolszewicki szyfrogram z 1920 r.

FOT. NAC, CAW/WIKIPEDIA





Stefan Mazurkiewicz

FOT. NAC

ski, który pracował pod kierownictwem Kowalewskiego, to jeden z największych polskich matematyków w historii.

Tych wielkich nazwisk nie brakuje w polskiej matematyce. Nasz kraj wydaje się prawdziwą potęgą w tej dziedzinie.

Bez przesady można powiedzieć, że Polacy wybitnie się wyróżnili w światowej matematyce. Łamanie szyfrów jest bardzo spektakularne i z przyczyn historyczno-patriotycznych jest dla nas istotne, ale jednak najważniejsze osiągnięcia polscy matematycy odnieśli poza polem walki. Marian Rejewski, Jerzy Różycki i Henryk Zygałski poza złamaniem Enigmy nie mają na swoim koncie wielkich osiągnięć czysto matematycznych. Zrobili oni bardzo dużo dla pokonania III Rzeszy, ale jednak o innych ich rezultatach nie uczymy się z podręczników matematyki.

Z punktu widzenia wyników naukowych dzisiejsza polska matematyka jest na światowym poziomie, lecz jej „złoty wiek” przypadał na okres międzywojenny. Byliśmy wówczas prawdziwą potęgą.

Zdaje się, że jeszcze przed narodzinami II RP Polacy zabłysnęli w tej dyscyplinie.

Tak. Pierwszym rozpoznawalnym polskim nazwiskiem w światowej matematyce był Franciszek Mertens (1840–1927), który – prawdę mówiąc – był polsko-austriackim matematykiem. Natomiast pierwszą światową gwiazdą polskiej matematyki był Stanisław Zaremba (1863–1942). Oprócz tego, że był on wyśmienitym matematykiem, był również wielkim patriotą. We Francji uzyskał doktorat, w którym rozwiązał problem matematyczny, który przez ponad trzy dekady czekał na swoje rozwiązanie. Znacznie upraszczając – chodziło o charakteryzację stanu cieplnego pewnego ośrodka przy zadanych warunkach. Paryska Akademia

Nauk ufundowała za rozwiązanie tego problemu nagrodę. Najwięksi matematycy próbowali uporać się z tym zadaniem, ale dopiero Zaremba tego dokonał.

We Francji dużo łatwiej byłoby mu zrobić karierę, jednak wychodził on z założenia, że na ziemiach polskich należy rozwijać matematykę na światowym poziomie. Dlatego w 1900 r. przyjechał do Krakowa i objął katedrę na UJ. Zaremba wraz z Kazimierzem Żorawskim zaczęli tam rozwijać doskonały ośrodek naukowy. Niektóre wyniki Zaremby są wymieniane wśród najwybitniejszych osiągnięć matematycznych na świecie w okresie pierwszych 15 lat XX w. W 1902 r. Zaremba opublikował pewną pracę naukową, a rok później Henri Poincaré, jeden z najwybitniejszych matematyków w historii, napisał ponad 20-stronicowy artykuł poświęcony omówieniu rezultatów Zaremby! Żadnego innego polskiego matematyka nie spotkało podobnie zaszczytne wyróżnienie.

Często mówi się wręcz o „polskiej szkole matematycznej”. Czy takie uogólnienie ma sens?

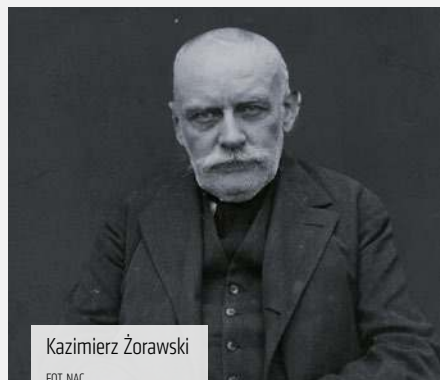
Zgadzam się z tymi historykami matematyki, którzy twierdzą, że nie było



Franciszek Mertens i jedno z jego dzieł

FOT. WIKIPEDIA, BIBLIOTEKA NARODOWA

czegoś takiego jak „polska szkoła matematyczna”. Czym jest bowiem szkoła naukowa? Powinna się ona charakteryzować jednością tematyki badawczej i miejsca. Klasyczne szkoły matematyczne mieliśmy w Polsce tak naprawdę dwie: lwowską i warszawską. We Lwowie zajmowano się analizą funkcjonalną. W Warszawie z kolei matematycy specjalizowali się w topologii. W Krakowie zajmowano się różnymi działami. W Krakowie, który jest ważnym miejscem na mapie polskiej matematyki, nie było więc tej jedności tematyki, która jest charakterystyczna dla szkoły naukowej. Możemy mówić o krakowskiej szkole



Kazimierz Żorawski

FOT. NAC

równań różniczkowych i krakowskiej szkole funkcji analitycznych.

Dlaczego warszawscy matematycy wyspecjalizowali się akurat w topologii?

Na początku XX w. matematycy z Warszawy zauważyli, że mamy bardzo dobrych matematyków i dobrze byłoby, by działali oni w wyspecjalizowanych grupach. Wacław Sierpiński i Zygmunt Janiszewski stwierdzili, że dobrze byłoby zająć się tematyką, która jest we wczesnym stadium rozwoju, ale z dużym potencjałem. Wówczas właśnie krystalizowała się topologia, którą można traktować jako uogólnioną geometrię. W niedługim czasie okazało się, że ta dziedzina rzeczywiście jest wielce perspektywiczna. Warszawscy matematycy skierowali swoje zainteresowanie w tę stronę i bardzo szybko osiągnęli tu znakomite rezultaty na skalę światową. Warszawska szkoła matematyczna opierała się na topologii, ale jednak nie ograniczano się tam do tej jednej dziedziny. Pracowano w stolicy Polski również nad teorią mnogości i teorią liczb. Doskonałe rezultaty w tej tematyce osiągał Wacław Sierpiński.

Często mówi się, że opublikowany w 1917 r. artykuł „O potrzebach matematyki w Polsce” Zygmunta Janiszewskiego to manifest tego środowiska. Czy faktycznie był to tak fundamentalny tekst?

To bardzo ciekawy temat. Wokół tego artykułu narosło wiele legend. Po pierwsze, nie była to własna inicjatywa Zygmunta Janiszewskiego. Wspierająca rozwój polskiej nauki w zaborze rosyjskim Kasa im. Józefa Mianowskiego jeszcze przed zakończeniem pierwszej wojny światowej, gdy pojawiły się szanse na odzyskanie niepodległości, napisała do wielu polskich uczonych, pytając o potrzeby nauki w Polsce. W dwóch pierwszych tomach czasopisma „Nauka Polska, Jej Potrzeby, Organizacja i Rozwój” ukazało się kilkadziesiąt odpowiedzi napisanych przez czołowych polskich fizyków, chemików, astronomów, a także matematyków.

■ Wśród autorów byli Zaremba, Janiszewski i Mazurkiewicz.

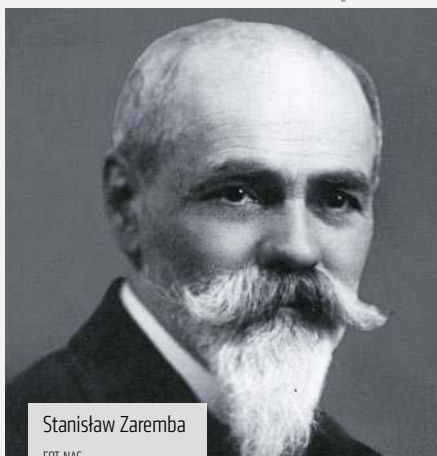
Janiszewski wzywał w swoim tekście do specjalizacji polskich matematyków. Przedstawił w nim również postulat stworzenia polskiego pisma poświęconego konkretnej dziedzinie matematyki. Wezwanie to zostało zrealizowane – zaczęto wydawać „Fundamenta Mathematicae”, do dziś istniejące pismo poświęcone topologii i teorii mnogości, które ukazało się po raz pierwszy w 1920 r. i od początku prezentowało bardzo wysoki poziom. Janiszewski niestety nie zobaczył nawet pierwszego numeru, ponieważ zmarł w wyniku powikłań po grypie hiszpance. Miał wówczas zaledwie 32 lata. Należy jednak też zaznaczyć, o czym dziś się nie mówi, że różne postulaty Janiszewskiego były co najmniej kontrowersyjne – w szczególności proponował on, by w każdej dziedzinie nauki tylko jeden uniwersytet w Polsce miał prawo nadawania doktoratów. Niemniej jego artykuł „O potrzebach matematyki w Polsce” był bardzo ważny i wytyczył kierunek rozwoju dla warszawskiej szkoły matematycznej.



Zygmunt Janiszewski
FOT. INSTYTUT MATEMATYCZNY
POLSKIEJ AKADEMII NAUK

Lwowska szkoła matematyczna najbardziej kojarzona jest oczywiście ze Stefanem Banachem.

Banach powszechnie jest uważany za najwybitniejszego polskiego matematyka w historii. Czy słusznie? Ja osobiście podpisuję się pod tą opinią. W jego karierze niebagatelną rolę odegrał jednak przypadek. W 1916 r. w Krakowie przebywał Hugo Steinhaus, który był wówczas młodym doktorem. Spacerował po Plantach, gdy w pewnym momencie usłyszał słowa „całka Lebesgue’a”. Zwróciło to jego uwagę, ponieważ był to zupełnie nowy termin matematyczny. Słowa te padły w rozmowie, którą prowadzili ze sobą dwaj młodzi



Stanisław Zaremba
FOT. NAC

ludzie – Stefan Banach i Otton Nikodym. Ten ostatni to kolejny gigant polskiej matematyki. Nawiasem mówiąc, od 2016 r. mamy na Plantach ławeczkę z figurami Banacha i Nikodyma, postawioną w setną rocznicę tego spotkania. Steinhaus włączył się do rozmowy i wspominał o problemie matematycznym, nad którym pracował. Kilka dni później Banach przyszedł do Steinhaus z gotowym rozwiązaniem. Wówczas Steinhaus zorientował się, że Banach ma niezwykle matematyczny talent, i otoczył go opieką. Po zakończeniu pierwszej wojny światowej ściągnął Banacha do Lwowa. Steinhaus, który miał naprawdę duże osiągnięcia naukowe, mawiał, że jego największym odkryciem w matematyce było odkrycie... Stefana Banacha.

W jakiej dziedzinie matematyki Banach wyrobił sobie „markę”?

W jego doktoracie – wbrew rozmaitym plotkom uzyskanym jak najbardziej zgodnie z procedurami – wprowadzone jest pojęcie, które dziś znane jest jako „przestrzeń Banacha”. Matematyka wyższa bada struktury ogólne, których szczególnie przypadki poznajemy w szkole. Okazało się, że przestrzenie wprowadzone przez Banachę mają rewelacyjne znaczenie. Wprowadzając to uogólnienie, Banach trafił bowiem w sam środek rzeczy. Z jednej strony te przestrzenie objęły wszystkie ważne przypadki związane z pewną matematyczną tematyką, a z drugiej strony nie były tworem zbyt ogólnym. Okazały się bardzo ważnym obiektem dalszych badań.

Niezależnie od Banacha parę miesięcy później na ten sam pomysł wpadł Norbert Wiener, Amerykanin, który zastąpił jako twórca cybernetyki. Uznał on jednak, że nie jest to nic szczególnie ciekawego, i przestał się tym zajmować. Banach

tymczasem pracował dalej i pod koniec lat 20. udowodnił kilka twierdzeń, które miały niesamowite znaczenie dla rozwoju analizy funkcjonalnej. Na początku lat 30. ukazała się po francusku książka Banacha pt. „Operacje liniowe”. Wtedy świat matematyki zauważył, jak ważną teorię stworzył Banach.

Jak to się konkretnie przekłada na uznanie w świecie naukowym?

Baza referencyjna Zentralblatt für Mathematik zawiera streszczenia właściwie wszystkich matematycznych prac, które ukazały się w ciągu ostatnich 150 lat. Czyje nazwisko pojawia się najczęściej w tytułach prac? Nie Euklidesa, nie Archimidesa, nie Gaussa, ale Banacha! Ponad 27 tys. razy. Nie powinniśmy jednak w związku z tym iść za daleko i twierdzić, że był on najwybitniejszym matematykiem w historii świata. Po prostu w tytułach najczęściej pojawiają się te nazwiska, które mają to szczęście, że wiąże się z nimi jakiś bardzo ważny matematyczny obiekt. Przestrzenie Banacha są tak ważne dla matematyki, że liczne badania dotyczą tych przestrzeni.

A jednak Banach nie został nagrodzony „matematycznym Noblem”. Dlaczego?

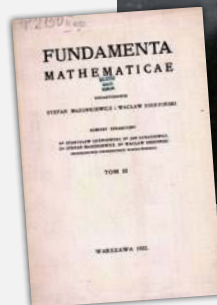
Za najważniejszą nagrodę w świecie matematycznym uważany jest Medal Fieldsa, któremu jednak nie towarzyszy podobna gratyfikacja finansowa jak Nagrodzie Nobla. Niestety, żaden Polak nie dostał nigdy Medalu Fieldsa. Mimo że jesteśmy tak dobrzy w tej dyscyplinie, to jednak ominął nas ten zaszczyt.

Czym to tłumaczyć?

Zacznijmy od tego, że pierwsze Medale Fieldsa zostały wręczone w 1936 r., następnie była 14-letnia przerwa i kolejne przyznano dopiero w 1950 r.



Waśław Sierpiński oraz „Fundamenta Mathematicae”
FOT. NAC, BIBLIOTEKA NARODOWA



**A „złoty wiek” naszej matematyki to dwudzie-
stolecie międzywojenne...**

Właśnie. Nie pomagało też to, że do 1962 r. przyznawano go tylko dwóm osobom raz na cztery lata; teraz przyznaje się je co cztery lata dwóm, trzem lub czterem osobom. Trudniej było w związku z tym dostać tę nagrodę niż Nagrodę Nobla, którą przyznaje się co roku i to często więcej niż jednej osobie w danej dziedzinie. Od razu odpowiem na pytanie, które samo się tu nasuwa: moim zdaniem Banach nie miałby szans na Medal Fieldsa.

Dlaczego?

Obowiązuje limit wieku: 40 lat. Banach urodził się w 1892 r. Pierwsze medale zostały przyznane, gdy miał 44 lata. Ale – co ważniejsze – waga jego wyników została tak naprawdę zauważona na świecie, gdy ukazała się monografia Banacha „Operacje liniowe”; wtedy właśnie przekraczał

Marcinkiewicz – związany z ośrodkiem w Wilnie – miał potencjał na najwybitniejszego polskiego matematyka. A miał przed sobą jeszcze dekadę, by zasłużyć na Medal Fieldsa...

Natomiast jest inna bardzo prestiżowa nagroda w matematyce, na którą Banach miałby wielkie szanse. Od 20 lat przyznawana jest Nagroda Abela, finansowo porównywalna z Nagrodą Nobla. Jej laureaci to głównie uczeni, którzy zasłużyli się w rozwoju ważnych teorii matematycznych lub wręcz je wprowadzili. Tę nagrodę z kolei dostają osoby starsze. Gdyby Nagroda Abela była przyznawana za życia Banacha, byłby on bardzo mocnym kandydatem.

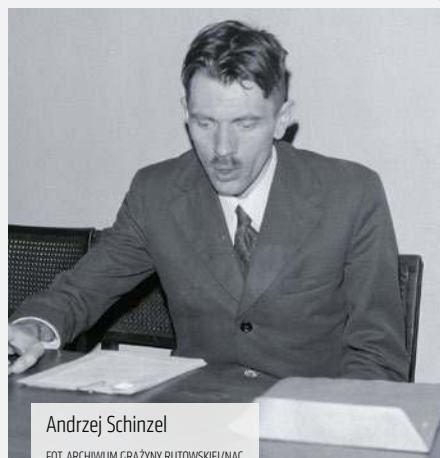
We Lwowie działał również Stanisław Ulam, który odegrał dużą rolę w stworzeniu amerykańskiej broni termojądrowej. Czy jego wyjazd był dużą stratą dla Polski? Czy jego potencjał mógł tu zostać wykorzystany, skoro my nie pracowaliśmy nad bombą?

Nie powinniśmy Ulama kojarzyć głównie z bombami. Miał osiągnięcia w wielu dziedzinach matematyki, zarówno teoretycznej, jak i stosowanej, i to nieraz niezwiązanych ze sobą! Swe główne rezultaty Ulam osiągnął w USA: wyjechał z Polski w wieku 26 lat, gdy o pracy przy bombach raczej nie myślał, zajął się tym kilka lat później, i to nie z własnej inicjatywy... Dla porównania – Banach został „odkryty”, gdy miał lat 28. Co do straty – nie wiadomo, co by było, gdyby Ulam został w Polsce. Czy przeżyłby wojnę? Przy okazji warto wspomnieć, że pod koniec lat 30. Banach chciał na pewien czas wyjechać do USA i Ulam mu w tym pomagał, jednak plany te przekreśliła druga wojna światowa. Może gdyby Banachowi udało się wyjechać i wrócić po 1945 r., losy polskiej matematyki potoczyłyby się inaczej. Gdy po wojnie Lwów został zagarnięty przez Związek Sowiecki, Banach miał przenieść się do rodzinnego Krakowa i objąć na UJ katedrę specjalnie dla niego utworzoną. Nie zdążył, zmarł we Lwowie w sierpniu 1945 r.

Na jakim poziomie polska matematyka funkcjonowała w czasach PRL?

W niektórych dziedzinach nauki po naszej stronie żelaznej kurtyny było znacznie trudniej o rozwój ze względu na utrudniony dostęp do aparatury odpowiedniej jakości, ale w matematyce można się było bez tego obejść. Mieliśmy wielu wspaniałych matematyków, wymienię tu trzy nazwiska.

Stanisław Łojasiewicz rozwiązał problem związany z dystrybucjami. Jego



Andrzej Schinzel

FOT. ARCHIWUM GRAŻYNY RUTOWSKIEJ/NAC

rezultaty stały się podstawą nowego działu matematyki – geometrii semianalitycznej. O Łojasiewiczzu mówi się, że otarł się o Medal Fieldsa, ale takie historie zawsze należy traktować jako niesprawdzone opowieści. Nawiasem mówiąc, gdy pojechałem po doktoracie na rok do Anglii, do Warwick, to okazało się, że o Łojasiewiczzu słyszeli tam praktycznie wszyscy matematycy, niezależnie od tego, jaką dziedziną się zajmowali.

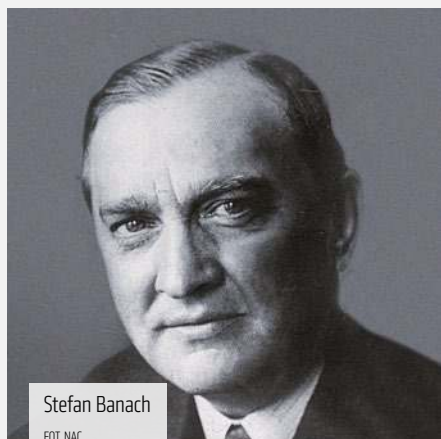
Drugim wielkim nazwiskiem powojennej polskiej matematyki jest Andrzej Schinzel, człowiek legenda, który zmarł rok temu. Miał on niesłychaną wiedzę i pamięć. Zajmował się teorią liczb i miał w tej dziedzinie fenomenalne wyniki.

Trzecia osoba to Aleksander Pełczyński. Osiągnął znaczące rezultaty w dziedzinie Banacha – analizie funkcjonalnej.

A dziś? Czy widać kandydatów na kolejnego Banacha czy Marcinkiewicza?

Z premedytacją wymieniłem nazwiska uczonych, którzy już nie żyją. Obecnie mamy wielu matematyków o światowej randze. Ujmę to w ten sposób: jeżeli chodzi o matematykę, to Polacy naprawdę nie powinni mieć kompleksów. Wspomniany Steinhaus jest autorem zdania: „Za granicą mówią: X to dobry matematyk; z pewnością Polak. U nas mówią: Y to prawdziwy Polak; z pewnością słaby matematyk”. Dużo w tym prawdy, naprawdę możemy być dumni z naszych uczonych, choć wielu z nich pracuje obecnie za granicą. Przed drugą wojną światową byliśmy prawdziwym matematycznym mocarstwem, ale obecnie też się w tej nauce liczymy na świecie. Na medalistę Fieldsa wciąż czekamy. Ale kto wie?

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Stefan Banach

FOT. NAC

czterdziestkę. Uważam jednak, że mieliśmy matematyka, który miał ogromne szanse na Medal Fieldsa. Człowiekiem tym był Józef Marcinkiewicz. Na przeszkodzie stała jednak wojna. Z jednej strony był on rewelacyjnym matematykiem, a z drugiej niezwykle patriotą. W 1939 r. przebywał w Anglii na stypendium. Marcinkiewicz bez problemu mógł pozostać na Wyspach, a jednak widząc, że nad ojczyzną zbierają się czarne chmury, wrócił do Polski i założył mundur oficera rezerwy.

Józef Marcinkiewicz był ofiarą zbrodni katyńskiej, przeżył zaledwie 30 lat. W momencie, gdy został zamordowany, miał opublikowanych 57 niezwykle wartościowych prac. Banach w tym wieku opublikował prac siedem... Wyniki Marcinkiewicza były naprawdę ogromnej wagi i do dzisiaj są przywoływane. Stąd głosy niektórych matematyków, że to właśnie



Profesor Krzysztof Ciesielski
jest matematykiem, profesorem
Uniwersytetu Jagiellońskiego,
kierownikiem Pracowni Historii
Matematyki w Instytucie
Matematyki UJ.

Polscy mistrzowie królowej nauk

Wojciech Simon

Dobry matematyk?

To z pewnością Polak – mówi się wciąż poza granicami naszego kraju. W gronie najśłynniejszych mistrzów królowej nauk obok Archimedesza, Pitagorasa, Pascala czy Gaussa znaleźli się Stefan Banach, Hugo Steinhaus, Stanisław Zaremba, Wacław Sierpiński czy Zygmunt Janiszewski

Już średniowieczny angielski filozof Roger Bacon zauważył, że „matematyka jest drzwiami i kluczem do nauki”. Wiele tych kluczy dali światu matematycy z Polski. Wymieniając tych najwybitniejszych, nie sposób choć krótko nie wspomnieć o Mikołaju Koperniku. Co prawda, nazwisko pochodzącego z Torunia naukowca rewolucjonisty kojarzy się głównie z astronomią, to jego wysiłki, aby „wstrzymać Słońce, a ruszyć Ziemię”, spełniłyby na niczym, gdyby nie doskonała znajomość matematyki. Jego notatki z lat 20. XVI w. uznawane są za najstarszy przykład posługiwania się funkcją trygonometryczną secans. Kopernik przygotował również tablice trygonometryczne jej wartości. Urodzony w 1473 r. Mikołaj w napisał jedną czysto matematyczną pracę i poświęcił ją „Trygonometrii” (wydanej w 1542 r.). Swoje rozważania dotyczące różnych zagadnień matematycznych – zarówno geometrii płaskiej i sferycznej, jak i algebry – opisał w swych najważniejszych pracach astronomicznych. W najważniejszym dziele epoki „De revolutionibus orbium coelestium”

Ławka na Plantach w Krakowie z figurami Stefana Banacha (z prawej) i Ottona Nikodyma podczas słynnej rozmowy o całej Lebesgue’a; autor: Stefan Dousa FOT. D. I. K. CIESIELSCY

(„O obrotach sfer niebieskich”) kilka rozdziałów traktuje m.in. o sposobach obliczania cięciwy stowarzyszonej z dowolnym łukiem okręgu, o bokach i kątach trójkątów płaskich prostoliniowych czy o trójkątach kulistych. Kopernik udowodnił również m.in. twierdzenie geometrii płaskiej, która mówi, że jeśli wewnątrz okręgu toczy się bez poślizgu okrąg o promieniu dwa razy mniejszym, to dowolny, lecz ustalony punkt małego okręgu porusza się prostoliniowo po średnicy okręgu większego.

KRAKOWSKA SZKOŁA STANISŁAWA ZAREMBY

Polskie nazwiska pojawiają się również wśród najwybitniejszych matematy-



ków XIX w. Urodzony w 1840 r. w Środzie Wielkopolskiej Franciszek Karol Józef Mertens, matematyk, w 1865 r. – w wieku zaledwie 25 lat – objął katedrę matematyki na Uniwersytecie Jagiellońskim i kierował nią przez 19 lat. Następnie został rektorem Politechniki w Grazu oraz profesorem Uniwersytetu Wiedeńskiego. Polsko-austriacki matematyk z olbrzymimi sukcesami zajmował się teorią liczb, geometrią, algebrą, analizą matematyczną i teorią potencjału. Wśród ponad 120 napisanych przez niego prac naukowych znalazło się m.in. słynne



tów zagranicznych szkół średnich, którzy zamierzają podjąć studia na Wydziale Matematyki i Informatyki Uniwersytetu Jagiellońskiego.

Polską gwiazdą matematyki na skalę światową był również Stanisław Zaremba. Jeden z czołowych przedstawicieli krakowskiej szkoły matematycznej jako młody człowiek wcale nie planował kariery światowej sławy matematyka. Chciał jedynie, wzorem swego ojca, zostać inżynierem. W tym celu ukończył Petersburski Instytut Technologiczny. Zagadnienia dotyczące matematyki tak bardzo go jednak pochłonęły, że po roku spędzonym u rodziców w Petersburgu kontynuował naukę w murach paryskiej Sorbony.

Na elitarniej francuskiej uczelni uzyskał licencjat oraz dyplom doktora nauk matematycznych. O jego niezwykłym talencie świadczył temat rozprawy doktorskiej zatytułowanej „Sur un problème concernant l'état calorifique d'un corps homogène indéfini” („O pewnym problemie dotyczącym stanu cieplnego ośrodka jednorodnego nieograniczonego”). Praca doktorska stanowiła bowiem rozwiązanie skomplikowanego problemu postawionego przez Paryską Akademię Nauk przed matematykami z całego świata ponad 30 lat wcześniej, fundując za jego rozwiązanie stosowną nagrodę. Polak nie tylko problem rozwiązał, lecz także obronił przewód doktorski, choć nazwiska recenzentów i członków komisji – wśród nich byli tak wybitni matematycy jak Jean Gaston Darboux, Henri Poincaré czy Charles Hermite – z pewnością budziły respekt. Tak wielki sukces młodego matematyka sprawił, że drzwi do wielkiej kariery na Zachodzie stanęły dla niego otworem. Stanisław Zaremba z chęcią publikował w prestiżowych zagranicznych czasopiśmie. Nie chciał jednak na stałe emigrować. Uznał bowiem, że dużo bardziej się przyda polskim studentom, i przyjął ofertę objęcia katedry matematyki na Uniwersytecie Jagiellońskim. Po

„twierdzenie Mertensa” o mnożeniu szeregów. W 1874 r. opublikował również twierdzenie dotyczące gęstości liczb pierwszych. Jego nazwisko nosi też stała matematyczna wykorzystywana w teorii liczb, zwana stałą Meissela-Mertensa (jej przybliżona wartość wynosi 0,2614972 12847642783755426838608695859...). Imię słynnego matematyka nosi również przyznawane od 2017 r. Stypendium im. Franciszka Mertensa przyznawane dla wyróżniających się uczniów i absolwentów



Kopernik w dziele „O obrotach sfer niebieskich” kilka rozdziałów traktuje m.in. o sposobach obliczania cięciwy stowarzyszonej z dowolnym łukiem okręgu, o bokach i kątach trójkątów FOT. BN

pięciu latach pracy nie tylko zyskał tytuł profesora zwyczajnego, lecz także stworzył w Krakowie wybitny ośrodek naukowy, w którym bywali najsławniejsi światowi matematycy.

Zainteresowania naukowe prof. Zaremby koncentrowały się wokół teorii równań różniczkowych cząstkowych, a wyniki jego prac były wielokrotnie cytowane na stronach zarówno „Encyclopedia of Physics”, jak i „Encyclopédie der mathematischen Wissenschaften”. Stanisław Zaremba był jedynym polskim matematykiem, którego pracy obszerny artykuł poświęcił wspomniany już Henri Poincaré. W 1908 r. Zaremba zapisał się na kartach historii jako pierwszy Polak, który został zaproszony do

wyłoszenia wykładu na Międzynarodowym Kongresie Matematyków.

Krakowski matematyk wprowadził do teorii równań metody rachunku wariacyjnego. Był również prekursorem teorii tzw. jąder reprodukcujących się, którą uznano za jedną z przełomowych teorii matematycznych pierwszych dekad XX w.

„Zaremba jest jednym z najznajmienitszych matematyków naszych czasów.



Uroczystość nadania tytułu doktora honoris causa Uniwersytetu Poznańskiego profesorowi Stanisławowi Zarembie. Po lewej: jego praca doktorska. FOT. NAC, BIBLIOTEKA SORBONY

Jego piękne prace z teorii równań różniczkowych i teorii funkcji harmoniczych są podziwiane przez wszystkich zajmujących się analizą – oceniał francuski matematyk Charles-Émile Picard. „W rozwoju różnych gałęzi matematyki zdarzają się okresy pewnego zahamowania, okresy, w których droga naprzód musi być z trudem rąbana w terenie skalistym, a nikłość wyników nie odpowiada ogromowi wysiłków i liczbie pracowników, mimo że cel jest dokładnie określony. [...] Na różnych odcinkach tej samej dziedziny trwa ono niekiedy bardzo długo. Otóż zdarza się, że inwencja twórcza jednego człowieka usuwa od razu trudności. Podaje on nie tylko metody prowadzące szybko do celu, lecz także otwiera często nowe tereny badań i zainteresowań. Pomysł taki zazwyczaj uderza swą prostotą, a tajemnica jego skuteczności polega na ujęciu problemu z niespodziewanej strony. [...] Typowym przykładem tego rodzaju odkrywców i przy tym uderzająco prostych pomysłów na terenie różnych dziedzin matematyki. Otóż w zakresie równań liniowych typu eliptycznego autorem takiego przełomowego pomysłu jest prof. Zaremba” – przekonywał prof. Tadeusz Ważewski.

Stanisław Zaremba był poważany nie tylko w środowisku matematyków.

Zebrał też wiele oficjalnych zaszczytów. Od prezydenta Stanisława Wojciechowskiego otrzymał w roku 1925 Krzyż Komandorski Orderu Odrodzenia Polski, a od prezydenta Francji – dwa lata później – Order Legii Honorowej, w 1936 r. został również wyróżniony Złotym Krzyżem Zasługi. Doktoraty honorowe przyznały mu uniwersytety w Caen oraz w Poznaniu.

W 1919 r. prof. Zaremba był w gronie założycieli Polskiego Towarzystwa Matematycznego i został jego pierwszym prezesem. Do końca życia pełnił również funkcję redaktora naczelnego założonego w roku 1921 Rocznika Polskiego Towarzystwa Matematycznego „Annales de la Société Polonaise de Mathématique”, którego kontynuację stanowi wydawany do dziś „Annales Polonici Mathematici”. Jednocześnie prof. Zaremba podejmował konkretne działania, których celem była reforma sposobu nauczania matematyki w Polsce, pisał również skrypty oraz podręczniki. W 1907 r. opracował „Zarys pierwszych zasad liczb całkowitych” uznawany za jeden z pierwszych podręczników z tej dziedziny dla nauczycieli matematyki. Napisał również „Arytmetykę teore-

tyczną”, „Wstęp do analizy” czy „Zarys mechaniki teoretycznej”.

Wraz z prof. Kazimierzem Żorawskim – specjalistą od geometrii różniczkowej, teorii równań różniczkowych, teorii grup oraz mechaniki – miał również ogromny wpływ na kształtowanie krakowskiej szkoły matematycznej. Jej wybitnymi reprezentantami byli m.in. Stanisław Gołąb (współtwórca teorii obiektów geometrycznych i założyciel polskiej szkoły geometrii różniczkowej), Franciszek Leja (twórca m.in. metody punktów ekstremalnych i funkcji ekstremalnych; wprowadził również do matematyki pojęcie grupy topologicznej), Antoni Hoborski (pierwszy rektor Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie i założyciel czasopisma „Opuscula Mathematica”), Tadeusz Ważewski czy Witold Wilkosz.

Jednocześnie prof. Stanisław Zaremba z ogromną dozą nieskrywanego krytycyzmu podchodził do założeń warszawskiej i lwowskiej szkoły matematycznej, wyróżniających się od krakowskiej tym, że skupiały się głównie na jednej, wybranej dyscyplinie.

PRZESTRZEŃ BANACHA I KSIĘGA SZKOCKA

Do grona najwybitniejszych polskich matematyków oprócz Stanisława

Zaremby należał też Stefan Banach. Urodzony w 1892 r., nieślubne dziecko Stefana Greczka i Katarzyny Banach, wychowywał się w rodzinie zastępczej. Ukończył klasyczne gimnazjum, gdzie perfekcyjnie opanował łacinę oraz grekę.

W latach 1910–1914 zaliczył jedynie egzamin częściowy, uzyskał tzw. półdyplom na Politechnice Lwowskiej, a dalszą naukę uniemożliwił mu wybuch pierwszej wojny światowej. Wiele zagadnień matematyki wyższej opanował więc samodzielnie. W 1914 r. powrócił do Krakowa do przybranej matki. Pewnego razu, gdy na krakowskim Plantach dyskutował z kolegą Ottonem Nikodymem o całce Lebesgue’a, nietypową konwersację usłyszał wybitny polski matematyk Hugo Steinhaus, który namówił młodych matematyków do współpracy.

Za wstawiennictwem Steinhaus Banach znalazł pracę jako asystent na Politechnice Lwowskiej na wydziale mechanicznym u Antoniego Łomnickiego. Warunkiem pozostania w gronie pracowników uczelni wyższej była szybka obrona doktoratu. Barwna anegdota mówi o tym, że genialny matematyk ponoć wcale nie był zainteresowany spełnianiem jakichkolwiek formalnych wymogów. Jego przyjaciele mieli więc namówić asystentów zdolnego samouka, aby po prostu spisywali jego kolejne pomysły, które ten ogłaszał nie tylko na uczelni, lecz także w kawiarniach, knajpach, piwiarniach etc. Dzięki czemu po sześciu miesiącach gotowa była już poważna rozprawa naukowa. Według tej samej legendy genialnego naukowca, aby łaskawie stawił się przed komisją i obronił pracę doktorską, skłoniono podstępem. Jeden z pracowników poprosił w końcu Stefana Banacha, aby ten przyszedł i pomógł zgromadzonemu rozwiązać pewien matematyczny problem. Ten chętnie się zgodził, a po zakończonej rozprawie ze zdziwieniem usłyszał, że wynik obrony jego pracy doktorskiej jest pozytywny. Jak to jednak z barwnymi anegdotami bywa, legenda ta jest bardzo mocno naciągana, a w rzeczywistości doktorat Banacha został uzyskany zupełnie legalnie, o czym świadczą stosowne protokoły.

Był rok 1920. Pracę habilitacyjną genialny matematyk obronił w wieku zaledwie 30 lat. Formalnie został wówczas jednym z twórców nowej dyscypliny matematycznej: analizy funkcjonalnej.

Kawiarniana brać geniuszy przeszła do historii jako lwowska szkoła matematyczna. Zdaniem wielu historyków wkład lwowskiej szkoły matematycznej w rozwój światowej nauki jest porównywalny z odkryciami Marii Skłodowskiej-Curie

W 1928 r. Stefan Banach uzyskał tytuł profesora zwyczajnego Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie. Światową sławę przyniosły mu badania zapoczątkowane w artykule opublikowanym na łamach założonego w 1920 r. w Warszawie czasopisma „Fundamenta Mathematicae” (które istnieje do dziś).



Stefan Banach u progu kariery wielkiego matematyka

FOT. REPOZYTORIUM UNIWERSYTETU JAGIELLOŃSKIEGO

Banach uczył studentów zarówno uniwersytetu, jak i politechniki. Wykładał również m.in. teorię funkcji wielu zmiennych, teorię mnogości, rachunek różniczkowy i całkowy, mechanikę teoretyczną oraz teorię operacji funkcjonalnych. Najzdolniejsi lwowscy matematycy największe zagadki rozwiązywali wówczas jednak nie w murach uczelni, ale w sali Kawiarni Szkockiej. Aby najwybitniejsi geniusze nie mazali po stołach, a sprzętaczkę nie zmywały efektów

wielogodzinnych sesji, żona Banacha zakupiła zeszyt w linie. Z umieszczanych w tymże zeszycie zadań oraz zapisów skomplikowanych rozwiązań powstała tzw. Księga Szkocka, a więc biblia społeczności liczącej ponad 20 matematyków skupionych wokół Steinhaus – zawsze eleganckiego i pedantycznego dżentelmena, który był językowym purystą i błyskotliwym aforystą – oraz Banacha, który był przeciwieństwem starszego o kilka lat kolegi: za kołnierz nie wylewał, lubił się zabawić, a gdy zamykano kolejne lokale, przenosił się do kolejnych.

Kawiarniana brać geniuszy przeszła do historii jako lwowska szkoła matematyczna. Zdaniem wielu historyków wkład lwowskiej szkoły matematycznej w rozwój światowej nauki jest porównywalny z odkryciami Marii Skłodowskiej-Curie. Słusznie bowiem Steinhaus we wstępie do tłumaczonego na wiele języków „Kalejdoskopu matematycznego” napisał, że matematyka jest tak uniwersalna, że „nie ma rzeczy, która byłaby jej obca” – Steinhaus był znanym miłośnikiem wykorzystywania matematyki do rozwiązań życiowych problemów, np. gdy jego córka dostała za zadanie obliczyć na mapie długość rzeki, ojciec matematyk błyskawicznie wymyślił siatkę do mierzenia linii krzywych (tzw. longimet Steinhaus).

Niektóre zadania umieszczone w Księdze Szkockiej były prostsze, a nagrodą była np. kawa, inne czekały na rozwiązania kilkadziesiąt lat. Tak było choćby z zadaniem Stanisława Mazura – obiecał on wręczyć matematykowi, który je rozwiąże, żywą gęś. I słowa dotrzymał: nagrodę 36 lat od wyznaczenia zadania otrzymał od prof. Mazura 28-letni szwedzki matematyk Per Enflo.

Kluczowa dla rozwoju całej matematyki, a zwłaszcza dla rozwoju analizy funkcjonalnej, była idea przestrzeni Banacha. Pojęcia tego jako pierwszy użył dla uhonorowania Polaka francuski matematyk Maurice Fréchet – sam Banach, który badał tego typu przestrzenie od 1922 r. – używał w swoich pracach terminu „przestrzeń typu B”. W 1941 r. izraelski matematyk Israel Gelfand wprowadził również pojęcie algebry Banacha na określenie przestrzeni Banacha, która jest jednocześnie pierścieniem, a mnożenie z tego pierścienia jest ciągłe.

Wcześniej, w 1932 r., ukazało się najśłynniejsze i najważniejsze dzieło Stefana Banacha – „Théorie des opérations

linéaires". W monografii, która przyniosła polskiemu matematykowi międzynarodową sławę, pojawiło się m.in. pierwszy raz twierdzenie Banacha-Stone'a.

W latach 30. XX w. amerykański matematyk pochodzenia węgierskiego John von Neumann – nazywany przez współczesnych Gaussem XX w. – aż trzykrotnie przylatywał do Polski, aby namówić Stefana Banacha do emigracji do Stanów Zjednoczonych. Według jednej z anegdot w 1937 r. Stefan Banach w końcu zapytał gościa z Ameryki, jaką kwotę oferuje mu za zgodę na wyjazd. Zadowolony Neumann miał wówczas wyciągnąć czek, na którym była już wpisana jedynka. – Proszę dopisać tyle zer, ile pan uzna za stosowne – miał stwierdzić gość z Ameryki. Po krótkiej chwili namysłu prof. Banach odpowiedział ponoć: „To za mała suma za zgodę na opuszczenie Polski”.

Ille w tej anegdocie prawdy, a ile fantazji nie wiadomo. Tak czy owak Banach w Polsce pozostał. W 1939 r. wybrano na prezesa Polskiego Towarzystwa Matematycznego.

Podczas okupacji Niemcy zabronili mu – podobnie jak wszystkim matematykom we Lwowie – wykonywania zawodu, pracował więc jako karmiciel wszy. Po zajęciu Lwowa przez Armię Czerwoną zdecydował się na wyjazd do Krakowa i rozpoczęcie pracy na Uniwersytecie Jagiellońskim. Nie zdołał tych planów zrealizować. Zmarł na raka oskrzeli w 1945 r. W roku 2018 prezydent Andrzej Duda odznaczył Stefana Banacha Orderem Orła Białego.

DYWAN, KRATER I TEORIA MNOGOŚCI

Podczas gdy prof. Stanisław Zaremba rozwijał ośrodek w Krakowie, a profesorowie Hugo Steinhaus oraz Stefan Banach rozwijali we Lwowie analizę funkcjonalną, warszawscy matematycy zajmowali się zagadnieniami logiki matematycznej oraz teorii mnogości.

Wyniki swoich prac publikowali w czasopiśmie „Fundamenta Mathematicae” założonym w roku 1920 przez Zygmunta Janiszewskiego, Stefana Mazurkiewicza oraz Wacława Sierpińskiego, a więc słynnych współtwórców warszawskiej szkoły matematycznej. „Fundamenta Mathematicae” – pierwsze na świecie specjalistyczne pismo naukowe – do dziś publikuje oryginalne prace badawcze poświęcone



Wacław Sierpiński

FOT. NAC

teorii mnogości, logice matematycznej, topologii etc.

Zygmunt Janiszewski, urodzony we Lwowie w 1888 r. profesor Uniwersytetu Warszawskiego, był jednym z twórców warszawskiej szkoły topologii, specjalizującym się zwłaszcza w pracach z topologii płaszczyzny. Był żołnierz Legionów Polskich był autorem programu rozwoju matematyki polskiej, który zakładał skupienie wysiłków na kilku wybranych perspektywicznych obszarach, czyli teorii mnogości, logice matematycznej oraz topologii, zajmując się badaniem takich własności, które nie ulegają zmianie nawet po istotnym zdeformowaniu badanych figur geometrycznych czy brył. Stopień licencjata uzyskał na paryskiej Sorbonie. W roku 1911 uzyskał zaś już tytuł doktora, broniąc pracy „Sur les continus irréductibles entre deux points” („O kontinuumach nieprzywiedlnych między dwoma punktami”), w której wybitny polski matematyk pierwszy raz zastosował w tej dziedzinie algebrę logiczną. Tezy zawarte w rozprawie doktorskiej trwale zapisały się w historii matematyki, a zwłaszcza topologii.

W 1911 r. Janiszewski zaczął wykładać w Warszawie na Kursach Naukowych. Rok później – namawiany przez prof. Wacława Sierpińskiego, wybitnego naukowca, badacza największych zagadek nieskończoności i późniejszego twórcę warszawskiej szkoły matematycznej – dr Janiszewski wyjechał do Lwowa, gdzie uzyskał habilitację na

podstawie pracy „O rozcinaniu płaszczyzny przez kontinua”, której twierdzenia stały się klasyczne.

Podobnie jest z rezultatami prac nad teorią mnogości prof. Wacława Sierpińskiego. Nie ma we współczesnym świecie prawdziwego miłośnika królowej nauk, który nie znałby krzywej Sierpińskiego wypełniającej kwadrat czy też dywanu Sierpińskiego (fraktal otrzymany z kwadratu za pomocą podzielenia go na dziewięć mniejszych kwadratów, usunięcia środkowego kwadratu i ponownego rekurencyjnego zastosowania tej samej procedury do każdego z pozostałych ośmiu kwadratów), a także jego modyfikacji. Polski matematyk prowadził badania nad aksjomatem wyboru i hipotezą continuum, teorią liczb i teorią funkcji zmiennej rzeczywistej.

Profesor Sierpiński stworzył na Uniwersytecie Warszawskim – na który przeniósł się w roku 1918 i któremu pozostał wierny do końca kariery naukowej – prężny ośrodek matematyczny. Genialny polski naukowiec wykładał na niemal 50 uniwersytetach świata, a w Polsce wykształcił trzy pokolenia matematyków. Wydał też wiele książek, a w dorobku ma ponad 800 prac naukowych i popularnonaukowych oraz siedem podręczników akademickich. W 1948 r. współtworzył Państwowy Instytut Matematyczny, a pięć lat później został przewodniczącym Rady Naukowej PIM. Zmarł w Warszawie w roku 1969.

O jego międzynarodowej sławie niech świadczy fakt, że w latach 70. XX w. nazwiskiem polskiego naukowca oficjalnie nazwano jeden z kraterów na Księżycu.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Bibliografia:

- Ciesielska D., Ciesielski K., „Stanisław Zaremba i jego działalność na rzecz matematyki”.
- Domoradzki S., „Stanisław Zaremba (1863–1942). Fragmenty biografii w 120-lecie doktoratu”.
- Domoradzki S., Pelczar A., „O założycielach Polskiego Towarzystwa Matematycznego”.
- Encyklopedia PWN
- Kuratowski K., „Pół wieku matematyki polskiej 1920–1970”.
- Opiał Z., „Zarys dziejów matematyki na Uniwersytecie Jagiellońskim w drugiej połowie XIX wieku”.
- Schinzel A., „Teoria liczb w pracach Franciszka Mertensa”.
- Szafranec F., „Przypadek Stanisława Zaremby – oportunizm czy nonszalanca?”.
- Zakrzewski P., „Wacław Sierpiński – badacz nieskończoności”.

Polska robota

Wojciech Simon

Złamanie kodu niemieckiej Enigmy przyspieszyło zakończenie drugiej wojny światowej o dwa, trzy lata. Dzięki polskim matematykom, którzy złamali także szyfr bolszewików, nasze wojska mogły ich zaskoczyć, co zdecydowało o losach przełomowej dla dziejów Polski i Europy Bitwy Warszawskiej

W sierpniu 1920 r. na przedpolach Warszawy zmierzyły się armie polska oraz bolszewicka. Starcie to zostało uznane za jedną z 20 najbardziej przełomowych bitew w całej historii świata. Pozwoliło bowiem nie tylko zachować niepodległość odradzającej się Rzeczypospolitej, lecz także zmusiło Armię Sowiecką do porzucenia planów ofensywy na Europę Zachodnią. Jednym ze sprawców Cudu nad Wisłą był matematyk, kryptolog i podpułkownik Jan Kowalewski. To on w 1919 r. zatrudnił Stefana Mazurkiewicza, Wacława Sierpińskiego i Stanisława Leśniewskiego. Zespół wybitnych matematyków zastosował podwójną metodę łamania szyfrów: lingwistyczną oraz matematyczną, co pozwoliło na szybkie złamanie „rewolucyjnego” szyfru bolszewików, a także dekryptaż nowych kluczy szyfrowych w ciągu zaledwie kilku godzin od ich zmiany przez wroga. I to właśnie dzięki znajomości planów armii Tuchaczewskiego tak znakomicie udał się manewr oskrzydłający Armię Czerwoną przeprowadzony przez Józefa Piłsudskiego, który przesądził o losach ówczesnej wojny.

WOJNA SZYFRÓW

Był rok 1932, gdy oficer francuskiego wywiadu zamknięty w łazience belgijskiego hotelu fotografował wykradzione instrukcje Enigmy – słynnej niemieckiej przenośnej maszyny szyfrującej, która początkowo miała służyć biznesowi, ale szybko przejęła ją niemiecka armia.

Jeszcze w grudniu tego samego roku pracujący w Biurze Szyfrów Sztabu Głównego Wojska Polskiego Marian Rejewski,

wykorzystując dostarczone przez francuskie służby materiały wywiadowcze oraz matematyczną teorię grup permutacji, złamał szyfr, z którego niemieccy kryptolodzy byli tak bardzo dumni, że uważali go za niemożliwy do odkodowania.

Od 1937 r. Enigma była podstawowym używanym urządzeniem szyfrującym, a Niemcy regularnie udoskonalali swój system komunikacji, zmieniając początkowe kodowanie, ustawienia wirników przy szyfrowaniu, format przesyłanych wiadomości etc. Wówczas polscy matematycy – Marian Rejewski, Jerzy Różycki i Henryk Zygalski – postanowili skonstruować specjalną bombę... kryptologiczną. Było to urządzenie mechaniczno-elektryczne służące do automatycznego łamania szyfrogramów Enigmy. Były one skuteczne, ale wraz z kolejnymi modyfikacjami Enigm potrzebna było coraz więcej „bomb”. W ramach współpracy wywiadów Polski, Francji i Wielkiej Brytanii (prowadzonej pod kryptonimem X, Y, Z) polskie służby w przededniu wybuchu wojny przekazały sojusznikom tajemnice Enigmy, dzięki czemu Alan Turing oraz kryptoanalitycy z Bletchley Park zdołali skonstruować wystarczającą liczbę bomb, aby móc odszyfrowywać tajne depesze III Rzeszy. Według historyków złamanie szyfru Enigmy przyspieszyło zakończenie wojny o dwa, trzy lata i pozwoliło uniknąć śmierci 20–30 mln ludzi.

W PRL rozwój polskiej kryptologii utrudniali Rosjanie. Po 1989 r. ta dziedzina nauki znów zaczęła się sprawnie rozwijać, dzięki czemu w 2003 r. to właśnie Polacy – jako pierwsi w Europie Wschodniej – zorganizowali w Warszawie prestiżową konferencję EUROCRYPT z udziałem najznakomitszych kryptologów świata. Polacy nadal tworzą też nowe szyfry oraz z sukcesem łamią obce. Dzieje się tak dzięki temu, że Polska nadal – obok Austrii, Francji czy Wielkiej Brytanii – znajduje



Marian Rejewski, Henryk Zygalski, Jerzy Różycki

FOT. DOMENA PUBLICZNA



się w czołówce krajów, w których wydziały matematyczne stoją na najwyższym poziomie.

LOSY TRZECIEJ WOJNY ŚWIATOWEJ W RĘKACH MATEMATYKÓW

– Mówi się, że pierwsza wojna światowa była wojną chemików – zastosowano gazy bojowe. Druga wojna była konfliktem fizyków – zakończyła ją zrzucone bomb atomowych na Japonię. Natomiast trzecia wojna światowa – jeśli wybuchnie – będzie wojną matematyków kryptologów. Oni władają potężną bronią – informacją – mówił w wywiadzie dla „Polski Zbrojnej” płk rez. prof. zw. dr hab. inż. Jerzy Gawinecki, dyrektor Centrum Doskonałości Kryptologii, szef Instytutu Matematyki i Kryptologii Wydziału Cybernetyki WAT.

I trudno się z nim nie zgodzić. Na szczęście matematyków wciąż mamy dobrych. Zresztą w słynnym Projekcie Manhattan też mieliśmy „swojego człowieka”. Pochodzący z Polski Stanisław Ulam – współpracujący przed wojną z takimi geniuszami lwowskiej szkoły matematycznej jak Stefan Banach, Stanisław Mazur czy Hugo Steinhaus – po dojściu Hitlera do władzy wyemigrował do USA, gdzie obok najlepszych fizyków i matematyków tamtych czasów został zatrudniony w tajnym laboratorium w Los Alamos. To właśnie jego obliczenia pozwoliły Amerykanom skonstruować bombę atomową – której użycie pozwoliło zakończyć drugą wojnę światową. Profesor Harvardu Stanisław Ulam jest też uważany za współtwórcę bomby wodorowej. I chociaż był m.in. osobistym doradcą prezydenta Johna Kennedy’ego, to przez całe życie podkreślał swoją polskość.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Bibliografia:

Goławski A., Gawinecki J., „III wojna światowa będzie starciem matematyków”, „Polska Zbrojna” 2007.

Simon S., „Księga szyfrów”, Albatros 2003.

Turing D., „X, Y, Z. Prawdziwa historia złamania szyfru Enigmy”, Rebis 2019.

Ulam S.M., „Adventures of a Mathematician”, University of California Press 1991.

Najwybitniejsi polscy informatycy

Wojciech Simon

Zanim w 2018 r. młody informatyk Tomasz Czajka wziął udział w pracach nad wyrzuceniem w Kosmos rakiety Falcon Heavy z kabrioletem Tesla na pokładzie, w XX w. pierwsze kroki w polskiej informatyce stawiali Jan Łukasiewicz, Leon Łukaszewicz, Kazimierz Kuratowski czy Jacek Karpiński

Urodzony w 1981 r. Tomasz Czajka – wybitnie uzdolniony mistrz świata w programowaniu, jeden z najlepszych współczesnych programistów na świecie i bohater przedstawianej na wielu memach „imprezy informatyków” – jest jednym z najważniejszych programistów u najbogatszego człowieka świata Elona Muska. Zanim znany polski informatyk dostał pracę w SpaceX – jednej z najsłynniejszych firm świata, w której pracował m.in. nad systemem nawigacji i naprowadzania kapsuły Crew Dragon – Tomasz Czajka został dwukrotnie złotym (w latach 1999 oraz 2000) oraz srebrnym medalistą (w roku 1998) Międzynarodowej Olimpiady Informatycznej. Wygrał również wiele innych prestiżowych konkursów, w tym – w roku 2003 wraz z innymi przedstawicielami Uniwersytetu Warszawskiego – zwyciężył w Akademickich Mistrzostwach Świata w Programowaniu Zespołowym. Polskie Towarzystwo Informatyczne pogratulowało Polakowi jego osiągnięć w SpaceX i nazwało go najlepszym ambasadorem polskiej informatyki na świecie.

Zresztą pozostali bohaterowie kultowego już dziś zdjęcia również są cenionymi programistami i matematykami. O znakomitej renomie współczesnych polskich informatyków świadczy to, że Polacy coraz częściej zajmują bardzo wysokie stano-

wiska w globalnych firmach technologicznych. Znani polscy informatycy, jak Andrzej Grzesik czy Wojtek Ptak, pracują na wysokich stanowiskach (principal backend engineer oraz head of engineering) w Revolut Business.

NOTACJA POLSKA

Ich sporo starsi koledzy, którzy pierwsze kroki w nowej dziedzinie musieli stawiać za czasów PRL, mieli trudniejsze zadanie. W gronie wybitnych umysłów, uznawanych za ojców polskiej informatyki, znaleźli się tak znani naukowcy jak Jan Łukasiewicz, Kazimierz Kuratowski, Leon Łukaszewicz, Stanisław Leśniewski, Marian Rejewski, Stanisław Ulam czy Wacław Sierpiński.



Znakomity naukowiec Jan Łukasiewicz był blisko związany z Uniwersytetem Warszawskim. Urodzony we Lwowie w 1878 r. logik był jednym z najwybitniejszych przedstawicieli lwowsko-warszawskiej szkoły filozoficznej i matematycznej. Współtworzył warszawską szkołę logiczną, przed wybuchem drugiej wojny światowej dwukrotnie pełnił funkcję rektora Uniwersytetu Warszawskiego. W latach 1907–1908 prowadził pierwsze w Polsce wykłady logiki matematycznej. W 1910 r. wydał książkę „O zasadzie sprzeczności u Arystotelesa”, która zapoczątkowała rozwój logiki matematycznej w naszym kraju. Założył Polskie Towarzystwo Logiczne oraz pismo „Collectanea Logica”.

Jest autorem słynnej notacji polskiej (ang. Polish notation), czyli takiego systemu zapisu wyrażeń logicznych i arytmetycznych, który nie wymaga użycia nawiasów. Zapis stworzony przez Jana Łukasiewicza jest współcześnie powszechnie wykorzystywany m.in. w wielu językach programowania, arkuszach kalkulacyjnych, kompilatorach języków programowania czy kalkulatorach naukowych. W roku 1920 Łukasiewicz ogłosił z kolei referat „O logice trójwartościowej”. Szkołki matematyk Eric Temple Bell w książce „The Search for Truth” zaliczył konstrukcję wielowartościowych logik Jana Łukasiewicza do czterech najbar-



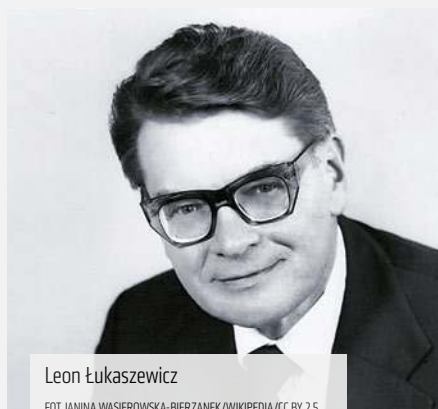
FOT. SPINEX

dziej przełomowych osiągnięć w historii ludzkości w ciągu ostatnich 6 tys. lat. Podczas wojny Łukasiewicz z narażeniem życia wykładał na tajnym uniwersytecie. W 1944 r. wyemigrował z Polski. Dwa lata później objął stanowisko profesora logiki matematycznej w Królewskiej Akademii Nauk w Dublinie. Był też członkiem założycielem powstałego w 1950 r. Polskiego Towarzystwa Naukowego na Obczyźnie.

PIERWSZY POLSKI INFORMATYK

W gronie najsłynniejszych polskich matematyków XX w. znalazł się również Kazimierz Kuratowski. W badaniach naukowych zajmował się głównie teorią mnogości, topologią ogólną i teorią miary, był współtwórcą i redaktorem wydawnictwa „Monografie Matematyczne” oraz członkiem wielu prestiżowych akademii zagranicznych. Autor wielu przełomowych twierdzeń i wybitny reprezentant warszawskiej szkoły matematycznej interesował się również wczesnymi komputerami. To on pod koniec lat 40. XX w. zachęcił trzech ambitnych inżynierów – Krystyna Bochenka, Leona Łukasiewicza oraz Romualda Marczyńskiego – do rozpoczęcia prac nad stworzeniem pierwszego polskiego komputera. Ten ostatni prowadził m.in. prace nad skonstruowaniem rtęciowej pamięci ultradźwiękowej. W 1956 r. w Polskiej Akademii Nauk utworzono Zakład

Aparatów Matematycznych (ZAM) pod kierunkiem Marczyńskiego, a następnie Leona Łukasiewicza, który był uznawany za jednego z najwybitniejszych pionierów informatyki w Polsce. Uczestnik powstania warszawskiego (starszy strzelec Armii Krajowej) ukończył Wydział Elektryczny Politechniki Gdańskiej oraz matematykę na Uniwersytecie Warszawskim. W drugiej połowie lat 50. wraz z grupą kolegów zbudował w 1954 r. lampowy komputer ARR, czyli Analizator Równań Różniczkowych (ważący 1,8 tys. kg maszyna stoi obecnie w Muzeum Techniki w Warszawie). Pod koniec roku 1958 zespół pod kierunkiem Łukasiewicza opracował na podstawie jego pomysłu i projektu technicznego słynny XYZ. To był dopiero przebój. XYZ był pierwszą w Polsce Uniwersalną Maszyną Cyfrową, którą rzeczywiście udało się uruchomić (w przeciwieństwie do komputera EMAL) i z której po zmianach projektowych stworzono serię maszyn ZAM-2, które przez wiele lat były na głowę szybkością inne komputery zbudowane nad Wisłą. Profesor Łukasiewicz – który często określany jest mianem pierwszego polskiego informatyka – nie tylko zajmował się tworzeniem komputerów, lecz także był również współtwórcą Systemu Automatycznego Kodowania SAKO, czyli języka programowania na komputery XYZ



Leon Łukasiewicz

FOT. JANINA WASIEROWSKA-BIERZANEC/WIKIPEDIA/CC BY 2.5

oraz ZAM-2, zwanego też symbolicznie polskim FORTRAN-em, a następnie w drugiej połowie lat 60. języka EOL (Expression Oriented Language). Profesor Leon Łukasiewicz był również założycielem miesięcznika „Informatyka” oraz – przez 20 lat – jego redaktorem naczelnym.

W 1959 r. ogłoszono powstanie Wrocławskich Zakładów Elektronicznych ELWRO, którymi kierował Marian Tarnkowski. W 1961 r. uruchomiono zaś maszynę Odra 1001, a więc pierwszą



K-202. Pierwszy polski mikrokomputer FOT. MERA400.PL/K-202

maszyną cyfrową, która została w pełni wyprodukowana w zakładach ELWRO. W latach 1962–1964 prof. Łukasiewicz zaprojektował zaś maszynę tranzystorową ZAM-41, czyli komputer, który mieścił się w dwóch lub trzech pomieszczeniach, ale który potrafił przetwarzać bardzo duże ilości danych, dzięki czemu nadawał się do zastosowania w bankach czy w dużych magazynach. Jednocześnie powstawały nowe, coraz lepszej jakości odry (Odra 1204, Odra 1325). Opracowane przez Polaków komputery uchodziły za najlepsze i najszybsze w całym bloku wschodnim.

Na początku lat 70. zespół pod kierunkiem Jacka Karpińskiego – nazywanego polskim Billem Gatesem lub polskim Steve'em Jobsem – opracował pierwszy w Polsce 16-bitowy minikomputer K-202. Rewelacyjny jak na ówczesne czasy minikomputer pracował dużo szybciej niż amerykańskie IBM PC i przynajmniej teoretycznie był w stanie zaadresować aż do 8 megabajtów. Już pół wieku temu polski wynalazek umożliwiał wielozadaniowość i wykorzystanie kilku procesorów w celu zwiększenia mocy obliczeniowej. Niestety, wymagał jednak użycia podzespołów z Wielkiej Brytanii, przez co Polska – będąca pod sowieckim jarzmem – nie mogła wykorzystać szansy na zajęcie pozycji lidera w produkcji mikrokomputerów.

W latach 70. utworzono Krajowe Biuro Informatyki i Zjednoczenia Informatyki i rozpoczęto tworzenie Krajowego Systemu Informatycznego. W roku 1975 na uniwersytetach w Warszawie i we Wrocławiu oraz na Politechnice Warszawskiej utworzono instytuty informatyki.

Młodzi polscy studenci informatyki nie mają żadnych powodów do kompleksów, a nasze drużyny programistów regularnie wygrywają mistrzostwa Europy czy wręcz zdobywają tytuły mistrzów świata w prestiżowych Akademickich Mistrzostwach Świata w Programowaniu Zespołowym (ACM iCPC), pokonując m.in. konkurentów z MIT, Cambridge, Oksfordu czy Uniwersytetu Tokijskiego.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Z prof. Ryszardem Tadeusiewiczem, informatykiem, byłym rektorem AGH, autorem książki „Krótka historia informatyki” rozmawia Piotr Włoczyk

W wymyślaniu niestworzonych rzeczy jesteśmy mistrzami świata

PIOTR WŁOCZYK: XYZ to prawdziwy początek polskiej informatyki?

PROF. RYSZARD TADEUSIEWICZ: XYZ był niewątpliwie pierwszą maszyną matematyczną, która naprawdę działała. Uruchomiono ją jesienią 1958 r. To z niej wywodziły się potem komputery ZAM-2, ZAM-3, a także ZAM-21 i ZAM-41 – czyli maszyny mające zarówno charakter konstrukcji eksperymentalnych, jak i produkowane seryjnie – chociaż w krótkich seriach – i używane do celów praktycznych. Jednak początek polskiej informatyki nie wiązał się z tą pierwszą udaną konstrukcją komputera, tylko z pierwszą śmiałą koncepcją zbudowania w Polsce komputera.

Jak do tego doszło?

23 grudnia 1948 r. w budynku Zakładu Fizyki Doświadczalnej przy ul. Hożej 69 prof. Kazimierz Kuratowski zwołał zebranie naukowe, podczas którego opowiedział o amerykańskim komputerze ENIAC i zainspirował trzech młodych inżynierów – Krystyna Bochenka, Leona Łukaszewicza i Romuald Marczyński – do próby zbudowania pierwszego polskiego komputera. Prace były prowadzone w kilku kierunkach, przy czym na początku wysunęła się na czoło grupa Romualda Marczyńskiego, pracująca w Grupie Aparatów Matematycznych Państwowego Instytutu Matematycznego w Warszawie. Budowali oni w latach 1953–1955 komputer o nazwie EMAL (Elektroniczna Maszyna Automatycznie Licząca), którego jednak nigdy nie udało



Stołeczny Ośrodek Elektronicznej Techniki Obliczeniowej. Pomieszczenie z komputerem ZAM-41 Beta. Na pierwszym planie (od lewej): biurko operatora, dziurkarka taśm papierowej firmy Facit i dalekopis firmy Lorenz. W tle pracownicy przy pamięciach taśmowych PT-2 FOT. NAC

się uruchomić. Ich bezowocne wysiłki skwitowane zostały żartobliwym powiedzeniem „EMAL liczy niemal”. Dlatego pierwszym działającym polskim komputerem był wspomniany XYZ, zbudowany w lokalu Biura Obliczeń i Programów Zakładu Aparatów Matematycznych PAN (późniejszego Instytutu Maszyn Matema-

tycznych) przez zespół kierowany przez Leona Łukaszewicza.

Jak ta maszyna przedstawiała się na tle zagranicznych komputerów w tamtym okresie?

Pierwsze polskie komputery powstawały jako naśladownictwo komputerów zachodnich. EMAL naśladował angielską

maszynę EDSAC, a XYZ był wzorowany na komputerze IBM 701. Tak więc trudno byłoby twierdzić, że te polskie konstrukcje wyprzedzały swoją epokę i wytyczały kierunki dla informatyki światowej. Natomiast były one na dobrym poziomie technicznym od strony koncepcyjnej, a ich słabą stroną była kiepska jakość podzespołów (zwłaszcza lamp elektronowych) produkowanych w krajach komunistycznych. Amerykańscy czy angielscy konstruktorzy mieli do dyspozycji o wiele lepszy budulec, natomiast pomysłowi polscy twórcy XYZ nadrabiali braki technologiczne awangardowymi rozwiązaniami, np. przerzutniki (główne elementy komputera) wymagały w polskim rozwiązaniu dwa razy mniej lamp elektronowych w porównaniu z rozwiązaniami zagranicznymi. Komputery ZAM-2, wywodzące się z XYZ i produkowane seryjnie, były chętnie kupowane w krajach komunistycznych, np. dla potrzeb NRD, ponieważ były najlepsze na rynku za żelazną kurtyną.

Wspomnianego prof. Leona Łukaszewicza można chyba śmiało uznać za jednego z nestorów polskiej informatyki?

Do prof. Leona Łukaszewicza mam bardzo osobisty stosunek, ponieważ to on na posiedzeniu Wydziału IV Nauk Technicznych PAN rekomendował moją kandydaturę i doprowadził do tego, że na posiedzeniu Zgromadzenia Ogólnego Członków PAN 23 maja 2002 r. zostałem wybrany na członka Polskiej Akademii Nauk. Żartem mogę więc powiedzieć, że skoro prof. Łukaszewicz był tak dobrego zdania na mój temat, to ja powinienem być dobrego zdania na jego temat. Ale zostawiając żarty na boku – o roli prof. Łukaszewicza w rozwoju polskiej informatyki można mówić wyłącznie w samych superlatywach. Wyżej była mowa o jego osiągnięciu, jakim było zbudowanie pierwszego działającego polskiego komputera cyfrowego XYZ. Mniej znany jest fakt, że wcześniej prof. Łukaszewicz zbudował inny komputer – ARR (Analizator Równań Różniczkowych) – który był pierwszym polskim komputerem analogowym. Potem, gdy na bazie komputera XYZ zaczęły powstawać komputery użytkowe, ZAM-2 i ZAM-41, profesor opracował dla tych komputerów system ułatwiający programowanie, nazwany SAKO (System Automatycznego Kodowa-

nia). Długo mógłbym jeszcze wymienić późniejsze zasługi i osiągnięcia prof. Łukaszewicza, ale poprzestanę na tych, które związane były z początkami informatyki w Polsce.

W porównaniu z dzisiejszymi czasami ówczesne zastosowanie komputerów było dużo węższe, wręcz specjalistyczne.

Na początku nieliczne wtedy komputery na całym świecie wykorzystywane były do celów wojskowych. U nas także pozwalały tworzyć tzw. tablice artyleryjskie, dzięki którym można było celniej ostrzeliwać niewidoczne cele. Potem zalety komputerów docenili inżynierowie i naukowcy, którzy korzystali ze wspomagania komputerowego w pracach projektowych i badawczych. Najliczniej w pewnym okresie wykorzystywali komputery księgowi, gdyż rachunkowość wielu firm (zwłaszcza banków) zaczęła być prowadzona przy wykorzystaniu komputerów, które od 1964 r. były gromadzone w tym celu i udostępniane w tzw. ZETO (Zakładach Elektronicznej Techniki Obliczeniowej). Obecnie komputery odgrywają ogromną rolę w komunikacji międzyludzkiej, a ich rozliczne role trudno wręcz zliczyć.

W swojej książce wspomina pan, że bardzo dużą część produkowanych w Polsce pierwszych komputerów eksportowano do innych demoludów. Czy to oznacza, że polskie komputery generalnie wyróżniały się jakością na tle innych maszyn z bloku wschodniego?

Rzeczywiście, gdy produkcją komputerów na dużą skalę zajęła się firma ELWRO (zlokalizowana we Wrocławiu), polskie



Broшура zakładów ELWRO poświęcona produkcji oraz działalności naukowo-badawczej. Fot. BCPs

komputery osiągnęły bardzo wysoką jakość. Bardzo dobrą jakością charakteryzował się komputer Odra 1204. Wyprodukowano 179 tych komputerów, przy czym 114 wyeksportowano. Kolejny komputer,

Odra 1304, na którym funkcjonowało bardzo bogate oprogramowanie maszyn brytyjskiej ICL 1904, wyprodukowano w liczbie 587 egzemplarzy (wliczając w to rozwojową wersję oznaczoną Odra 1305 i wersję zminiaturyzowaną Odra 1325). Komputery te sprzedawały się znakomicie w kraju i za granicą, ale w 1968 ZSRS nakazał budowę we wszystkich krajach komunistycznych komputerów jednolitego systemu RIAD. ELWRO z konieczności przestało się na budowę komputera RIAD R32 (średniej wielkości) – i tu także okazało się, że polskie komputery są lepsze od innych. W 1973 r. na targach w Brnie porównano wszystkie komputery RIAD budowane w bloku sowieckim i nasz R32 okazał się najlepszy.

Czy polskie komputery mogły stanowić jakąkolwiek konkurencję dla komputerów np. z USA czy jednak żelazna kurtyna sprawiała, że polscy informatycy nie mieli żadnych szans w wyścigu z zachodnimi kolegami?

Niestety, budowane w Polsce komputery, mimo wspomnianej wysokiej jakości, nie mogły konkurować z produktami amerykańskimi, a także brytyjskimi, niemieckimi, francuskimi czy dalekowschodnimi (Korea Północna, Japonia, Singapur, obecnie także Chiny). Budowaliśmy dobre komputery, ale nasze maszyny nigdy nie były awangardowe, nie otwierały nowych trendów, nie powo-
dowały, że to inni musieli się na nas wzorować. Przez chwilę wydawało się, że to „przekleństwo informatycznego zaścianka” zdejmie z nas rewelacyjny mikrokomputer K-202 Jacka Karpińskiego. Jednak ta szansa została zmarnowana. Główny powód związany był z faktem, że do budowy K-202 potrzebne były dobre podzespoły elektroniczne z Anglii i USA, natomiast w krajach komunistycznych wymuszano korzystanie ze znacznie gorszych podzespołów produkowanych w RWPG. Podobnie było w obszarze oprogramowania.



Nasi studenci informatyki zdobywali laury na międzynarodowych zawodach w programowaniu zespołowym i indywidualnym, ale żadnej polskiej firmie nie udało się tego przetworzyć na sukces komercyjny programu „made in Poland”. Owszem, mamy dobre wyniki w produkcji i sprzedaży gier komputerowych, ale to dlatego, że o sukcesie w tej specyficznej dziedzinie decyduje pomysłowość twórcy niezwykle fabuły, a nie sprawność programisty. W wymyślaniu niestworzonych rzeczy jesteśmy naprawdę mistrzami świata, ale do pracownego „grzebania w bitach” trudno nas na ogół zapędzić...

Informatyka zazębia się oczywiście z matematyką. Wybitny polski matematyk Jan Łukasiewicz (1878–1956) stworzył tzw. notację polską. Jak został wykorzystany ten wynalazek?

Jan Łukasiewicz był wybitnym filozofem, matematykiem, a także politykiem. Natomiast wymyślony przez niego w 1920 r. sposób notacji wyrażeń logicznych (a potem także arytmetycznych), nazywany niekiedy notacją polską, miał pewne zastosowanie przy opisywaniu algorytmów, ale stał się naprawdę użyteczny po przekształceniu go przez australijskiego naukowca Charlesa Hamblina do postaci tzw. odwrotnej notacji polskiej (ONP). Metoda zapisu wyrażeń arytmetycznych oparta na ONP sprzyjała ich sprawnemu wykorzystaniu w programach komputerowych tworzonych w takich językach programowania jak FORTH albo Postscript. Zaletą notacji matematycznej wprowadzonej przez Łukasiewicza i rozwiniętej przez Hamblina jest to, że nawet bardzo skomplikowane formuły logiczne lub arytmetyczne można zapisać w jednej linii programu.

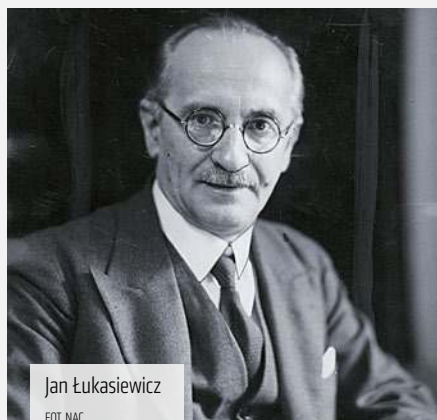
Czy to takie ważne?

Matematycy z upodobaniem stosują zapisy, w których jeden symbol jest wyżej, a inny niżej – i to ma znaczenie. Widać to nawet na przykładzie algebraicznego ułamka, gdzie



Komputer ARR

FOT. NARODOWE MUZEUM TECHNIKI



Jan Łukasiewicz

FOT. NAC

inną rolę odgrywa licznik, a inną mianownik. Piszac równania na papierze, można dzięki temu nadać im ładną formę, ale nie da się tego łatwo umieścić w kodzie programu dla komputera. Zapis Łukasiewicza pozwala to elegancko rozwiązać. Co więcej – zapis ten nie wymaga stosowania nawiasów, z czym w technice komputerowej zawsze były kłopoty. Tak więc odwrotna notacja polska, wywodząca się z prac Łukasiewicza, ma swoje znaczenie. Ale wiedza o tym wyłącznicie programiści tworzący zaawansowane oprogramowanie systemowe.

Po 1989 r. upadła technologiczna bariera oddzielająca nas od Zachodu. Jak wykorzystaliśmy ten czas w informatyce?

Na fali zmian politycznych i gospodarczych po 1989 r. powstało sporo firm informatycznych, które usiłowały wykorzystywać zagraniczne technologie i podzespoły do tego, żeby rozwijać w Polsce rodzimą informatykę. „Żelazna kurtyna” działała w obu kierunkach – hamowała możliwości wychodzenia na zewnątrz polskich firm, a także ograniczała możliwość penetracji polskiego rynku przez zagraniczne firmy. Gdy kurtyna opadła, polskie firmy znalazły się oko w oko z firmami zagranicznymi, które jednak miały z reguły większy kapitał, silniejszy marketing i wieloletnie doświadczenia. Dodatkowo polskie firmy były „na celowniku” urzędu skarbowego, w którym stale dominowało przekonanie, że kapitalista to złodziej.

Ma pan na myśli Optimusa Romana Kluski?

Właśnie fiskus pod fałszywym (jak się okazało) oskarżeniem zniszczył nowosądeckiego Optimusa. Ale takich przypadków było więcej, by wymienić tylko wrocławską firmę ITT Computer, także zniszczoną przez urząd skarbowy na podstawie nieprawdziwych podejrzeń.

Jak wygląda pański osobisty ranking największych osiągnięć Polaków w informatyce?

Podkreślam, że przedstawię mój bardzo subiektywny sąd na temat tego, którzy Polacy najbardziej przyczynili się do rozwoju informatyki. Zapewne inny specjalista podałyby panu inne nazwiska. Ja podam dwa, związane odpowiednio z budową sprzętu komputerowego (hardware) oraz z tworzeniem programów (software).

Zacznijmy więc od sprzętu. Czyżby jakiś Polak zbudował nieznaną światu model komputera?

W zakresie architektury logicznej systemów komputerowych żadnych rewolucyjnych odkryć Polacy nie dokonali. Ale genialny polski metalurg, Jan Czochralski, wynalazł metodę tworzenia monokryształów krzemu, niezbędnych do produkcji układów scalonych. Krzem jako półprzewodnik jest łatwo dostępny – wystarczy garść piasku. Ale żeby w krzemie można było wytworzyć strukturę mikroprocesora lub modułu pamięci komputera, trzeba mieć monokryształ, czyli bryłę krzemu z idealnie uporządkowanymi atomami. Czochralski odkrył metodę formowania takich monokryształów i cała produkcja elektroniki półprzewodnikowej opiera się na jego metodzie.

A co moglibyśmy wskazać jako polski wynalazek w zakresie oprogramowania?

W czasie drugiej wojny światowej matematyk ze słynnej szkoły lwowskiej Stanisław Ulam znalazł się w USA, gdzie dołączył do grupy badaczy pracujących nad stworzeniem bomby atomowej. Ulam pracował nad statystyką powielania neutronów, gdzie tradycyjne metody matematyczne nie dawały dobrych rezultatów. Mając jednak dostęp do jednego z pierwszych komputerów, opracował metodę numeryczną, prowadzącą do poprawnych rozwiązań metodą wielokrotnego powtarzania obliczeń z zastosowaniem czynników losowych. Metoda ta znalazła potem wiele zastosowań przy wykorzystywaniu komputerów do rozwiązywania najtrudniejszych problemów.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



Profesor Ryszard Tadeusiewicz jest informatykiem i automatykiem, byłym rektorem Akademii Hutniczo-Górnictwej w Krakowie (1998–2005), autorem wielu prac popularyzujących naukę (m.in. „Krótka historia informatyki”).



PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Wyjść z mroku

Galwinowie marzyli o wielkim domu i wielkiej rodzinie. Marzenie się spełniło, tyle tylko, że połowa z 12 dzieci dotknięta została straszną chorobą, a dom zamiast symbolem American Dream stał się areną wydarzeń ponurych, przerażających i łamiących serce. „W ciemnej dolinie” to chyba najbardziej poruszający reportaż, jaki czytałem od czasów „Szatana w naszym domu” pióra Lawrence’a Wrighta.

Historia rozgrywa się na trzech poziomach. Korzystając z domowego archiwum, świadectw członków rodziny, przyjaciół i sąsiadów, Kolker odtwarza tragedię Galwinów, których sześciu synów cierpiało na schizofrenię. Wszystko to działo się w czasach, gdy wiedza na temat chorób i zaburzeń psychicznych była w społeczeństwie amerykańskim znikoma. Dla Galwinów ta ciężka próba okazała się próbą o charakterze niszczącym, dla ich dzieci (zarówno chorych, jak i zdrowych) – wrotami do koszmarów i nieszczęścia. Oszczędzę szczegółów, odnotuję tylko, że rozpoczyna się ta opowieść od sceny, w której siostra zamierza przywiązać do drzewa brata spalić żywcem; oboje przyjmują ten pomysł z wielkim entuzjazmem.

Druga warstwa historii (choć nie

tak obszerna) to śledztwo medyczne w duchu opowieści Jürgena Thorwalda. Jak to często bywa, nieszczęście jednych staje się ratunkiem dla innych, a w procesie tym pośredniczy nauka. Tragedia Galwinów oznaczała także niezwykłą szansę dla lekarzy próbujących rozgryźć tajemnicę schizofrenii; oto po raz pierwszy w historii (i kto wie, czy nie jedyny) mogli pracować na tak dużej grupie przypadków z jednej rodziny. Oznaczało to możliwość stworzenia dokładnej mapy czynników genetycznych i środowiskowych, mapy, która prowadziła do przełomu w terapiach.

Warstwa trzecia to ta, która daje nadzieję. Krzepiąca opowieść o wychodzeniu z traumy tych, którzy ocaleli, bój o to, by udowodnić, że nawet w starciu z tak groźnym przeciwnikiem to – jak pisze autor – „inni ludzie czynią nas ludźmi”. Robert Kolker to reporter utalentowany i nagradzany, po przeczytaniu jego książki o Galwinach mam wielką ochotę na więcej. W kolejce do tłumaczenia czeka książka „Lost Girls”, w której opisywał historię łowców na nieuchwytnego seryjnego zabójcę prostytutkę z Long Island. Reportaż stał się podstawą filmu „Zaginione dziewczyny” (2020) w reżyserii Liz Garbus, ale jak to zwykle bywa, książka była lepsza. ©©



★★★★★

ROBERT KOLKER
„W CIEMNEJ DOLINIE. RODZINNA TRAGEDIA I TAJEMNICA SCHIZOFRENII”
WYDAWNICTWO CZARNE 2022

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Zapiski znanego pisarza, poety i tłumacza z lat 2002–2007, opatrzone podtytułem „Apulia, Abruzja, Rzym”. W pierwszej części dziennika Musiał zapraszał na Sycylię, w kolejnej (wkrótce) zaprosi do Toskanii i Umbrii.



GRZEGORZ MUSIAŁ
„DZIENNIK WŁOSKI”
ZYSK I S-KA

Pierwsza w języku polskim biografia etiopskiego monarchy, religijnej ikony ruchu Rastafari, a także mrocznego bohatera „Cesarza” Kapuścińskiego. Prawda jest jednak dużo ciekawsza niż zmyślenia polskiego reportera.



ASFA-WOSSEN ASSERATE
„HAJLE SYLLASJE”
PIW

Debiut powieściowy belgijskiej pisarki. Po śmierci matki Blanche przestaje mówić. Trafia do domu dziwacznej opieki, by stać się katalizatorem zmian w życiu innych ludzi. Proza artystyczna przechodząca w poezję.



VERONIKA MABARDI
„PEWNEGO DNIA ZBIORĘ WSZYSTKIE SŁOWA I WEJDĘ DO LASU”
LOKATOR

Kolejne wakacje, kolejny Coben – mistrz thrillera powraca powieścią o człowieku rozwiązującym zagadkę swego pochodzenia. Jako dziecko znaleziony w lesie, dziś trafia na biologicznego ojca. Co poszło nie tak? ©©



HARLAN COBEN
„BRAKUJĄCY ELEMENT”
ALBATROS

recenzuje Piotr Gociek

KOMIKS TYGODNIA: „DAVID BOWIE W KOMIKSIE”

Pomysł genialny w swej prostocie – jak opowiedzieć o życiu i twórczości artysty kameleona? Oddać każdy z epizodów jego kariery w ręce innego rysownika. Jedenastu twórców stworzyło krótkie komiksy według scenariuszy Thierry’ego Lamy, który zanurzył się głęboko w dzieje Bowiego, by wydestylować z nich to, co najciekawsze i najbardziej zaskakujące. Efekt jest



AUTORZY RÓŻNI
„DAVID BOWIE W KOMIKSIE”
SCREAM 2022

zachwycający, album sprawdza się i jako biografia, i jako oryginalna, efektowna powieść graficzna. Całość uzupełniono dyskografią Bowiego oraz wstawkami czysto informacyjnymi. ©©

poleca Piotr Gociek



RADOSŁAW WOJTAS

DO ZOBACZENIA

Polskie odzyskiwanie

Nie ma w Europie państwa ograbionego podczas drugiej wojny światowej z dóbr kultury tak jak Polska. Utraciliśmy ponad pół miliona dzieł sztuki, obiektów zabytkowych i obiektów kultury, zniszczono ponad 70 proc. naszych bibliotek. Wielu z utraconych dzieł wciąż nie udało się odzyskać (w bazie danych utraconych dóbr kultury MKiDN znajduje się obecnie ok. 65 tys. obiektów).

Ponad 600 obiektów udało się odzyskać w ostatnich sześciu latach, w trakcie jest 125 procesów restytucyjnych w 14 krajach świata. (Na marginesie: 20 wniosków restytucyjnych dotyczy Federacji Rosyjskiej, ale nie są one procedowane od wielu lat. Na nasze pytania „odpowiada” głucha cisza).

Kolejna z cyklu „Utracone/Odzyskane” wystawa, którą oglądać można w galerii NCK Kordegarda, przedstawia dzieła z przedwojennych kolekcji warszawskich. Są wśród nich dzieła prezentowane po odzyskaniu po raz pierwszy: „Most Augusta w Dreźnie” Gottharda Kuehla i „Marchijski wrzosowisko” Karla Kaysera-Eichberga. ©©

GDZIE? Warszawa, Kordegarda, Galeria Narodowego Centrum Kultury
KIEDY? do 31 lipca



FOT. KORDEGARDA, GALERIA NCK



GRZEGORZ BRZOSOWICZ

NA SŁUCH

Chaos w piekle

Ich debiutancki album „Schlagenheim” z 2019 r. zawierał pokręconą mutację matematycznego rocka, jazzu i post-punka. „Cavalcade” był łagodniejszy, bardziej melodyjny. Na trzeciej płycie trio 20-latków zapragnęło połączyć wszystkie gatunki muzyczne.

Najprościej jest ten album opisać jako szaloną operę rockową z nieuporządkowanym librettem. W nagraniu tytułowym teatralny fortepian miesza się z wojskową perkusją, drażniącymi smyczkami i zawodzącym saksofonem. W łączącym broadwayowską teatralność ze speed-metalowym atakiem, „Sugar/Tzu”, trafiamy na mecz bokserski. Po sportowym dramacie przenosimy się do radiowego studia, gdzie słuchamy opowieści o morderstwie. Dzika jazda przypomina z góry

zaprogramowane skakanie po kanałach telewizyjnych. Momentami płyta jest przesadnie bombastyczna, nonsensowna, brutalna, ale też genialna. Choćby „The Race Is about to Begin”, który to utwór brzmi, jakby naraz odtwarzane były trzy piosenki o różnych nastrojach.

Nie ma komentarzy społecznych. Jest tylko wiele dziwnych historii. Autor tekstów Geordie Greep płynnie przechodzi od słowa mówionego, przez szaleńcze krzyki, do czułego śpiewu. W pewnym momencie oświadcza: „Otocza nas nieskończoność idiotów”. Może to jest odpowiedź na ten zamęt. Grupie udało się zmusić chaos do uległości. Sprawić, że to poszarpane doświadczenie słowno-muzyczne przedstawia spójną wizję dzisiejszego świata. ©©



★★★★★
BLACK MIDI
„HELLFIRE”
ROUGH TRADE



FOT. TOMASZ ZWIOLINSKI/HEVELIANUM

SPOJRZENIA W GWIAZDY

AstroCamera to międzynarodowy konkurs astrofotograficzny organizowany przez gdańskie centrum nauki Hevelianum. Do tej pory odbyło się 10 edycji tegoż konkursu. Ten skromny jubileusz stał się okazją do zorganizowania wystawy, na której prezentowane są najlepsze zdjęcia nadesłane na konkurs przez całą dekadę. A było ich dokładnie 2832. 103 z nich zostały nagrodzone, a 150 otrzymało wyróżnienia. ©©

GDZIE? Gdańsk, Hevelianum
KIEDY? do 31 sierpnia



★★★★★
NEIL YOUNG & CRAZY HORSE
„TOAST”
REPRISE

Niewydany album z 2001 r. Cztery piosenki, w innych wersjach pojawiły się na płycie „Are You Passionate?”. Oryginały nagrane z zespołem Crazy Horse są bardziej rockowe, przez co znacznie lepsze. Trzy nieznane utwory to długie jammy w stylu słynnego „Like a Hurricane”.



★★★★★
JAZZY Q
„ŽIVI SE DIVI”
GAD

Najbardziej znana czeska formacja jazz-rockowa z koncertu w Bratysławie w roku 1975. Album nie tak nowatorski jak debiutancki „Pozorovatelná”, ale grupa Martina Kratochvila, nie bez uroku, gra w stylu Mahavishnu Orchestra. Plusem jest świetna atmosfera występu. ©©

Grzegorz
Kondrasiuk

Wśród najciekawszych momentów minionego sezonu, kiedy to teatr odtwarzał swój stan posiadania i przypominał sobie, jak się gra przy pełnych widowniach, umieszczam spektakl skromny, ale w swej skromnej formule znakomity

Krakowski Teatr Ludowy ma, jak wiadomo, scenkę Pod Ratuszem, na krakowskim Rynku, do której wchodzi się przez restaurację po tym, jak już przedrzemy się przez turystyczne tabuny, minie my Mitoraje, dorożki i całą resztę. Na scenie tej niekiedy (trzeba wypatrywać) bywa grywany spektakl „Bezmatek”, adaptacja tak właśnie zatytułowanej książki, wspomnienia, eseju osobistego, autorstwa Miry Marcinów.

Reżyserował Marcin Liber, który lubi ostre efekty sceniczne, smaganie widowni. Smaganie dźwiękiem: krzykami aktorów, przesterami, muzyką noise czy hard core; smaganie obrazem: wizualizacjami drastycznymi albo glitchami, rozpadającymi się na piksele, pełnymi zakłóceń, prześwieleń. No i lubi też prowokacje oraz tematy polityczne, feminizm i satyry na „ten kraj” i jego mieszkańców. Tymczasem, o dziwo, w sercu krakowskiego rynku, na mikroskopijnej scenie, doszło do „zmieszczania” teatru Libera, które przyniosło dobre rezultaty.

„Bezmatek” to opowieść autoironiczna – i brutalna, i ciepła. Pisana w pierwszej

Ciepły, brutalny „Bezmatek”



FOT. KLAUDYNA SCHUBERT

osobie historia o umieraniu matki dzięki znakomitym rolom Mai Pankiewicz i Katarzyny Tlałki przeobraziła się w teatr absolutnie otwarty i teatr bardzo o czymś. W formie teatralnej jest to sztuka tzw. kameralna, na dwie aktorki, z towarzyszeniem muzyka (Adam Witkowski) komentującego akcją dźwiękami gitary i piosenkami. Mieszająca nastroje, tam gdzie trzeba żartobliwa (początek w kostiumach pszczelarskich,

nienachalne ogrywanie poetyki telewizyjnego talk show), gdzie należy – poruszająca (finałowy monolog córki, trudno pozostać obojętnym), gdzie trzeba – dotykająca, wbijająca emocje z literatury w ciało oglądającego (jak w scenie z żelazkiem, okrutnej i zaskakującej). Między reżyserem i ekipą na scenie doszło do porozumienia – czego skutkiem znakomite wycucie dramaturgii, umiejętność zmiany nastroju, wycofania,

zdejmowania napięcia, a czasem – odwrotnie, atakowania znieenacka, na chwilę trudnym, mocnym momentem albo frazą odwołującą się do najtrudniejszych wspomnień.

Spektakl jest króciutki, trwa zaledwie 45–50 minut. Ale „Bezmatek” jest przecież książką krótką, dobitną, zawierającą wiele prostych, trafnych zdań, książką dotykającą tematu. Literatura i teatr spotykają się w takiej lapidarnej, wypełnionej sensem formie. Pankiewicz i Tlałka uciekają tu od łzawej psychologii, od ekshibicjonizmu, podejrzanej psychodramy, hochsztaplerskiej iluzji psychoterapii. Tam gdzie trzeba, potrafią dodać nutkę emocji, pozwoić sobie na kilka sentymentalnych fraz.

Nie grają tylko postaci, z prawdopodobieństwem psychologicznym. Grają relację, stany emocjonalne, cały wachlarz zmiennych, sprzecznych emocji – odtwarzając, jak to jest z miłością rodzicielsko-dziecięcą u dorosłych ludzi. Każdy jest przecież czymś dzieckiem i relacje z rodzicem należą do kwestii domagających się przepracowania.

Powstał jakiś nowy, ciekawy odłam teatru środka – spektakl ostry, ale z zachowaniem granic, bez bałamutnego naciągania na ich przekroczenie, bez nagości, bez scen wzbudzających obrzydzenie, bez obrażania części widowni i bez taniej publicystyki. A także – bez pychy inscenizacyjnej, traktujący z powagą autorkę, umocowany w literaturze intymnej, który może doprowadzić do głębszego wewnętrznego zrozumienia. Trzymam kciuki za to, żeby „Bezmatek” wrócił na scenę w przyszłym sezonie. ©©

**MIRA MARCINÓW, „BEZMATEK”,
TEATR LUDOWY W KRAKOWIE
REŻYSER: MARCIN LIBER**



Dyrektywa z opóźnionym zapłonem

W Międzynarodowym Dniu Kobiet 8 marca kolegium unijnych komisarzy przyjęło propozycję dyrektywy Parlamentu Europejskiego i Rady w sprawie zapobiegania i zwalczania przemocy wobec kobiet i przemocy domowej. Od dawna domagał się jej PE, który jeszcze we wrześniu ubiegłego roku przyjął raport dotyczący uznania przemocy ze względu na płeć za nową dziedzinę przestępstw wymienionych w art. 83 Traktatu o funkcjonowaniu UE. Chodziło o to, by uznać je za szczególnie poważną przestępczość o wymiarze transgranicznym. Zadowolony z propozycji dyrektywy nie krył przewodniczący Komisji Praw Kobiet i Równouprawnienia PE Robert Biedroń. I trudno mu się dziwić. Okazuje się, że pełna jest ona ideologicznych wrzutek.

PATRIARCHAT PRZYCYNĄ PRZEMOCY

Z dyrektywy możemy się dowiedzieć m.in., że przyczyną przemocy wobec kobiet „jest zróżnicowanie sytuacji kobiet i mężczyzn, które jest przejawem strukturalnej dyskryminacji kobiet, która wynika



Karol Gac

Kiedy oczy całego świata zwrócone są na Ukrainę, eurokraci w Brukseli, pod pozorem walki z przemocą wobec kobiet, kolejny raz próbują wprowadzić tylnymi drzwiami pojęcia „płci społeczno-kulturowej” i „mowy nienawiści” do prawodawstwa państw członkowskich. Czy im się to uda?

z nierównych stosunków władzy między kobietami a mężczyznami na przestrzeni wieków”, a kobiety padają jej ofiarami „ze względu na leżące u ich podstaw wzorce przymusu, władzy lub kontroli”. Dalej jest jeszcze ciekawiej. Zdaniem autorów dokumentu w Internecie kobiety „systematycznie stają się celem ataków ze strony brutalnych pravicowych ugrupowań ekstremistycznych i grup terrorystycznych, które chcą szerzyć nienawiść wobec nich”. Ostatecznie uznano, że przyczyną przemocy jest „zakorzeniona w społeczeństwie skonstruowanych rolach, zachowaniach, działaniach i atrybutach, które dane społeczeństwo uznaje za odpowiednie dla kobiet i mężczyzn i które ogólnie

określa się terminem »płeć społeczno-kulturowa«”. I tu dochodzimy do jednego z głównych problemów.

Dyrektywa wprost odwołuje się do pojęcia „płci społeczno-kulturowej” i wyraźnie odróżnia ją od płci metrykalnej. I tak już w definicji „ofiary” możemy przeczytać, że uznaje się za nią „każdą osobę, bez względu na płeć metrykalną lub społeczno-kulturową”. Z kolei w innym miejscu dyrektywa wskazuje na potrzebę przeciwdziałania „nawoływaniu w Internecie do przemocy i nienawiści ze względu na płeć metrykalną lub społeczno-kulturową, w szczególności mizoginicznego podburzania do nienawiści lub przemocy”.

To oficjalny dokument unijny, który – w założeniu – ma być obowiązującym prawem. Gdyby tak się stało, Polska byłaby zobowiązana do wprowadzenia zmian w swoim Kodeksie karnym w duchu dyrektywy.

To nie pierwszy raz, gdy próbuje się takiego rozwiązania. W czasie, gdy Francja sprawowała prezydencję unijną, miały miejsce próby wpisania mowy nienawiści jako przestępstwa, i to bez jej wyraźnego zdefiniowania. Wówczas Polska skorzystała z prawa weta, co zaproponowało Ministerstwo Sprawiedliwości. – PE i Rada w drodze dyrektywy mogą większością kwalifikowaną ustanowić kryteria minimalne odnoszące się do przestępstw i kar w przestępczości o charakterze transgranicznym. Obecnie KE zakwalifikowała sobie te przestępstwa jako traktatowe, które nie wymagają jednomyślności. To absurd – tłumaczy „Do Rzeczy” informator z rządu.

Trzeba zaznaczyć, że kwestie prawa karnego każdorazowo wymagają jednomyślności państw członkowskich. Tymczasem Komisja Europejska próbuje to obejść, bo jest grupa państw, które sprzeciwiają się tym zapisom. – Organy unijne zdecydowanie promują pojęcie „płci społeczno-kulturowej” i celowo zamieszczają je w oficjalnych dokumentach. Ma to prowadzić do społecznej akceptacji konstruowania gender, tj. uznawania rzekomego istnienia wielości płci. Gender ma swoje korzenie w ideologii marksistowskiej, gdzie „walka klas” została zastąpiona „walką płci” i koniecznością obalenia rzekomego patriarchy i ucisku kobiet przez mężczyzn. Jest to o tyle niebezpieczne, że ma głęboko destrukcyjny charakter, podważa integralne pojmowanie natury człowieka, prowadzi do dysfunkcji w relacjach międzyludzkich i życiu społecznym – mówi nam Paweł Ozdoba, prezes Centrum Życia i Rodziny.

KONWENCJA STAMBULSKA I MOWA NIENAWIŚCI

Ideologicznych odwołań w tej dyrektywie jest o wiele więcej. Inspiracją dla niej stała się m.in. tzw. konwencja stambulska, czego autorzy w ogóle nie kryją. „Ważnym punktem odniesienia dla wniosku jest Konwencja Rady Europy o zapobieganiu i zwalczaniu przemocy wobec kobiet i przemocy domowej” – czytamy. O zagrożeniach i negatywnych konsekwencjach konwencji pisaliśmy w „Do Rzeczy” wie-

lokrrotnie. Przypomnijmy, że upatruje ona źródła przemocy w rodzinie i opierając się na założeniach teorii gender, uderza w tradycyjne wartości. Choć PiS obiecywał jej wypowiedzenie, to do dzisiaj tego nie zrobił. Od dwóch lat w Trybunale Konstytucyjnym czeka za to na rozpatrzenie wniosek premiera Mateusza Morawieckiego o zbadanie zgodności konwencji stambulskiej z konstytucją. I nic się w tej sprawie nie dzieje.

Na dyrektywę nie chciał się zgodzić resort sprawiedliwości – z obawy, że to prosta droga do zablokowania pieniędzy dla Polski

W unijnej dyrektywie zawarto także kwestie dotyczące tzw. mowy nienawiści. „Państwa członkowskie zapewniają, aby umyślne nawoływanie do przemocy lub nienawiści skierowanej przeciwko grupie osób, którą definiuje się według płci metrykalnej lub społeczno-kulturowej, lub przeciwko członkowi takiej grupy [...] podlegało karze jako przestępstwo”. W praktyce oznacza to, że definicja „mowy nienawiści” zostałaby ustalona w Brukseli, a nie Warszawie. – KE stoi na stanowisku, że mogą nam narzucić definicję przestępstwa mowy nienawiści. Zdefiniują ją sobie, jak chcą, i wiemy doskonale, jak się to skończy – dodaje nasz rozmówca z rządu. Rzeczywiście, lewica od dawna podejmuje próby kryminalizacji „mowy nienawiści” w Polsce oraz stosowania maksymalnie szerokiej definicji. Skutki można zaobserwować np. w Wielkiej Brytanii, gdzie tamtejsze prawo skutecznie zakneblowało debatę publiczną. Unijna dyrektywa przewiduje zresztą konkretną wizję mowy nienawiści. Gdyby weszła w życie, to np. krytyka konceptu gender w Polsce będzie mogła być karana.

SPÓR W RZĄDZIE

Instytucje unijne przekazały Polsce dyrektywę 23 marca. Jej treść wywołała spór wewnątrz rządu. Wydawać by się mogło, że naturalną decyzją dla Zjednoczonej Prawicy powinna być ta o zawetowaniu dyrektywy. Tymczasem Ministerstwo Rodziny i Polityki Społecznej nie wyrażało sprzeciwu, by weszła

ona w takiej formie w życie. Upoważniona do prezentowania stanowiska rządu została Anna Schmidt, czyli pełnomocnik ds. równego traktowania, a zarazem wiceminister RiPS. – Próbowała przekonywać, że przecież i tak obowiązują nas zapisy konwencji stambulskiej. Padły nawet argumenty dotyczące sfery wizerunkowej i PR – relacjonuje nam jedna z osób znająca kulisy sporu.

Na dyrektywę nie chciało się za to zgodzić Ministerstwo Sprawiedliwości, które wskazywało m.in. na negatywne konsekwencje związane ze zmianami w prawie, ale nie tylko. Resort zwracał także uwagę na kwestie związane z pieniędzmi unijnymi. Mówiąc wprost, wyrażono obawy, że przyjęcie dyrektywy to prosta droga do zablokowania pieniędzy dla Polski. W jaki sposób? – Nie wykonamy dyrektywy, a więc nie ścigamy przestępstw, czyli nie mamy skutecznej ochrony sądowej, a to oznacza brak praworządności i zablokowanie funduszy. Proste. Zwracam też uwagę na koincydencję czasową. Fakt, że przedstawiono to w marcu, niedługo po wyroku w sprawie praworządności, nie jest przypadkiem. Doskonale wpisuje się to w scenariusz – mówi nam jeden z polityków Solidarnej Polski, którego pytamy o zdanie. Ostatecznie sprawa trafiła na Radę Ministrów, ale stanowiska wciąż nie ma. Informatorzy „Do Rzeczy” twierdzą, że argumenty resortu sprawiedliwości trafiły na podatny grunt, bo w pewnym momencie, dość nieoczekiwanie, Anna Schmidt zmieniła swoje podejście o 180 stopni.

Obecnie sprawa jest w zawieszeniu. Ostatecznie rząd prawdopodobnie wyrazi negatywne stanowisko w sprawie dyrektywy. Trudno jednak przewidzieć, jaki będzie los tego dokumentu. Czesi, którzy zaraz przejmą prezydencję, mają podobny pogląd do polskiego rządu. Jednak Komisja Europejska chce zamknąć sprawę jak najszybciej. – Kilka państw wskazało, że najpierw trzeba te przestępstwa zakwalifikować jako europ przestępstwa, co wymaga jednomyślności, a dopiero potem można przejść do dyrektywy. To, czy tak będzie, zależy od tego, czy Polska zbuduje mniejszość blokującą – analizuje nasz rozmówca. Ważne tu będą polityczne realia, a te bywają dla nas trudne. Nie można więc wykluczyć, że dyrektywa, nawet przy sprzeciwie Polski, ostatecznie zostanie przyjęta, a następnie będzie podstawą do kolejnego unijnego szantażu.

Kuchenny rasizm, czyli wokersi w walce z „białością”



Wojciech Golonka

Celem ataków na białego człowieka może być nawet rzekomo rasistowska kuchnia, czyli nawyki ich podniebienia. A wszystko to pod pozorem nauki z prawdziwego zdarzenia, przy udziale elitarnych uczelni

Jak daleko można posunąć się w walce z kulturą Zachodu? To znaczy: W jakie absurdy gotowi są popaść „badacze” wynajdujący kolejne powody do grillowania i potępienia w czambuł białego człowieka w dobie wokeizmu? W Wulgacie Eklezjastes już na wstępie swej księgi przestrzega, że „głupich jest poczet niepoliczony”, obcowanie z głupotą ludzką nie powinno więc być w sumie zbyt dużym zaskoczeniem. Jednak obserwując kolejne wyspy „przebudzonych”, pragnęłoby się uzupełnić natchnionego przez Boga eklezjastę: „A zasoby ich głupoty są zaiście niezgłębione”. Oto bowiem celem ataków na białego człowieka może być nawet... jego kuchnia, rzekomo rasistowska kuchnia białych, czyli nawyki ich podniebienia. A wszystko to pod pozorem nauki z prawdziwego zdarzenia, przy udziale elitarnych uczelni.

Nie chodziło przy tym o odizolowany przypadek wokerskiej kuchniofobii, a o pewien wysyp badań naukowych nad kuchennym rasizmem, czyli nad kuchniami z natury rasistowskimi, służącymi dominacji białego człowieka nad innymi rasami. Na celowniku znalazły się do tychczas USA i Francja, choć dobrą wiadomością jest to, że podobne manifestacje szaleństwa spotkały się w przypadku Francuzów z bezpardonową, ogólną

narodową krytyką. Zresztą, cokolwiek by powiedzieć, to właśnie ograniczenia dostępu do restauracji i kawiarni tylko dla zaszczepionych, na szczęście już były, wywoływały nad Sekwaną masowe, cotygodniowe protesty – widocznie naród francuski miłuje swą rasistowską kuchnię do tego stopnia, że dla tej przyjemności gotowy był ryzykować sanitarnym armagedonem i zbiorowym samobójstwem. Przypomnijmy pokrótce fakty.

RASISTOWSKA KUCHNIA

W maju 2021 r. oksfordczyk Raj Patel zaatakował na łamach „The Guardian” amerykańską szarlotkę – znak par excellence anglosaskiego kolonializmu, eksterminacji Indian oraz zniewolenia Afroamerykanów. Bo jabłka przybyły do Ameryki wraz kolonistami, jabłonie sadzono na znak podbicia ziem Indian, cukier – jak wiadomo – był efektem niewolniczej pracy Afroamerykanów, podobnie jak bawełna, z której szyje się tradycyjne ściereczki, służące do przechowywania i serwowania amerykańskiej szarlotki. American pie, jeden z głównych symboli Ameryki, zakrawa więc oczywistym rasizmem. Quod erat demonstrandum. Równolegle Mathilde Cohen, była badaczka francuskiego CNRS (odpowiednik PAN), obecnie wykładowca prawa na Uniwersytecie w Connecticut, dzieliła się swoją analizą francuskiej kuchni, dochodząc do nie mniej makabrycznych wniosków. Na wirtualnej konferencji naukowej, zorganizowanej w czerwcu ubiegłego roku przez elitarny paryski Instytut Nauk Politycznych – Sciences Po – z nieukrywaną powagą wyznała: „Chciałabym przedstawić ideę białości jedzenia we francuskiej kulturze. Mam przez to na myśli wykorzystywanie jedzenia w celu wzmocnienia białości jako dominującej tożsamości rasowej. Francuski posiłek jest często przedsta-

wiany jako narodowy rytuał, w którym wszyscy obywatele mogą brać równy udział. Jednakże francuskie zwyczaje żywieniowe są ukształtowane przez normy średnich i wyższych białych klas społecznych. Istnieje podobieństwo między jedzeniem halal a kwestią [muzułmańskiej] chusty. Obydwie rzeczy są uważane za niekompatybilne z francuskością i jej rasową ideologią uniwersalistyczną. Tymczasem kontury białości podtrzymywane są poprzez codzienne praktyki żywieniowe. Na przykład dieta żywieniowa ludzi, których statut rasowy jest niejasny, jak Arabowie czy Maghrebańczycy, a w przeszłości Żydzi, jest skrupulatnie badana pod kątem zgodności z białymi normami”.

Jako przykłady badaczka wskazała następnie francuskie epatowanie wieprzowiną (wyraz białej, chrześcijańskiej kuchni), „neutralność” szkolnych stołówek, które przestały się kajać i ulegać presjom mniejszości i zaczęły z powrotem serwować wieprzowinę w ramach dań do wyboru, czy kryteria przyznawania w dalekiej przeszłości francuskiego obywatelstwa (nadmierne wcinanie ryżu zamiast bagietki było według autorki rzekomo kryterium eliminującym).

OBALIĆ BIAŁĄ SUPREMACJĘ

Żeby nie było wątpliwości, wirtualne wystąpienie na Sciences Po nie było jednorazowym upustem delirium, a podsumowaniem 42-stronnicowej pracy pt. „Białość francuskiej kuchni: prawo, rasa i kultura żywieniowa we Francji” na łamach czasopisma „French Politics, Culture, and Society”. We wspomnianym artykule biogram Cohen zwięźle, lecz wymownie opisuje jej zainteresowania: „prawo konstytucyjne, komparatystyka prawnicza, prawo żywieniowe, rasa, gender i prawo”. Kończówka mówi sama za siebie, przy czym na wspomnianej konferencji, w rozmowie z koleżanką

Sarą Mazouz z CNRS, autorka doprecyzowała swoje intencje w ogóle:

„Francja jest narodem [...], gdzie instytucje bezpośrednio utworzyły trwałe hierarchie i opresje rasowe”, stąd prace obu pań „wnoszą spojrzenie na białą tożsamość [...] celem obnażenia i krytyki białej dominacji”.

W ich przypadku można by nawet mówić o awangardzie wokeizmu we Francji, ponieważ już w 2018 r. zorganizowały one sympozjum pt. „Stan białości”, któremu zresztą, jak wskazywała wówczas Mazouz na łamach „Libération”, nie chciały dawać rozgłosu w związku z potencjalną krytyką. Ówczesne „przebudzenie” było zatem celebrowane jedynie na łamach tej lewicowej gazety; gdy jednak Cohen podniosła rękę na narodową kuchnię, jej wystąpienie odbiło się echem we wszystkich francuskich mediach, które nie omieszczały go wyśmiać, mniej lub bardziej bezlistnie.

Pod naporem krytyki tłumaczyć musiała się również paryska uczelnia Sciences Po, organizator wspomnianej konferencji. W lakonicznym komunikacie zaznaczono, że wystąpienie Cohen było tylko jednym z 50 referatów na sympozjum, że Cohen i Mazouz nie są pracownikami szkoły, a ich poglądy były przedstawione w ramach naukowej debaty, czytaj: wolności akademickiej, bo ta jest zawsze święta, gdy idzie o wysyp lewackiego delirium. Pytanie jednak (retoryczne), na ile kolejne odsłony „antybiałej” obsesji francuskich wokerek mają cokolwiek z nauką wspólnego, nie mówiąc o twardej rzeczywistości. Pomijając bowiem wpływy obcych kuchni na francuską (np. arabski kuskus jest jednym z bardziej popularnych dań), sporo restauracji kuchni francuskiej prowadzonych jest w ścisłym centrum Paryża, w Dzielnicy Łacińskiej, przez przybyszów z Maghrebu i Egiptu, którzy najwyraźniej dobrowolnie, a nierzadko i z pasją utrwalają we Francji rasizm i dominację białej rasy.



FOT. ADRIEN BISTON

Co więcej, w większości byłych francuskich kolonii możemy znaleźć spory przekrój lokalnej gastronomii francuskiej, co musi być przejawem masochizmu czy nieprzezwycięzonego syndromu sztokholmskiego wobec dawnej rasy panów. Co z turystami zjeżdżającymi z całego świata do Francji, kuszonymi bogactwem jej kultury, gotyckimi katedrami, zamkami ancien régime'u... i właśnie wyborną gastronomią? Czy wszyscy ci przyjeźdźni, w tym Azjaci i Saudyjczycy, to rzeczywiście zagorzali zwolennicy białej supremacji?

PRZELICYTOWAĆ STAWKĘ ABSURDU

Próżno jednak szukać granic absurdu tam, gdzie zamiast rozumu rządzi obsesja. Elukubracje badaczek były w rzeczywistości wyrazem stanu umysłu sformatowanego wokerskimi kategoriami, dla których przypadłość, jaką jest kolor skóry, jest najwyraźniej czymś substancjalnym. Konsekwentnie wszystko, co ma jakikolwiek związek z białym człowiekiem, stanowi „białość” do odstrzału, choćby była to najpospolitsza rzecz, jaką jest kultura kulinarna danego kraju, w tym wypadku doceniana na całym świecie, ponieważ w 2010 r. Unesco wpisało te rasistowskie „francuskie posiłki gastronomiczne” na listę niematerialnego dziedzictwa kulturowego ludzkości.

Ponadto, choć tezy i popierające je argumenty są absurdalne, mają one za cel podważyć obiektywny dorobek, jeśli nie wręcz wyższość – choćby materialną – danej cywilizacji. Skoro przejawem rasizmu ma być fakt jedzenia przy stole, a nie jedzenia na ziemi, to w takim razie za przejaw rasizmu należy uznać także używanie sztućców i naczyń do posiłków, mycie rąk, naczyń itd.

Rasistowska rzeczą była zapewne także radykalna ingerencja Francuzów w kulinarne zwyczaje podbijanych ludów, kładąca kres praktykom kaniba-

lizmu w Afryce i w Polinezji (Bóg jeden wie, ile w XIX w. białych misjonarzy skończyło jako przysmak w brzuchu niektórych z tych ludów), a także budowa szpitali, szkół, dróg i ogólnej infrastruktury, które umożliwiły tamtejszym ludom cywilizacyjny przeskok o tysiąc lat, a w konsekwencji także ich silny wzrost demograficzny. Nie chodzi bynajmniej o wybielanie ciemnych wątków kolonizacji czy przeszłości w ogóle; jest jednak rzeczą oczywistą, że ataki wokersów są wymierzone nie w miszkę, a w samą tożsamość narodów Zachodu, w ich osiągnięcia, w ich atrakcyjność i przewagę historycznych dokonań. W ich założeniu Europejczyk jest z natury rasistą, jeśli tylko akceptuje swoją tożsamość, kulturę, cywilizację i ich wyjątkowość na tle historii.

Co ciekawe, analogiczny do wokersów tok myślenia przedstawił i wykił w 1914 r. Chesterton w „Latającej gospodzie”. W tej futurystycznej, proroczej wręcz powieści islam jawiący się jako postępową religię dominuje angielskie elity, a jego agenci wpływu obsesyjnie reinterpretują historię i symbolikę Anglii według jedynego słusznego klucza islamskiego postępu. Powodem do „przebudzenia” oślepianego przez władzę ludu okazuje się właśnie kuchnia – wiodącym wątkiem książki jest prohibicja alkoholu i reakcja w postaci lotnej gospody, która na przekór władzom sieje zamęt w kraju, przywracając Anglikom dostęp do bimbru, a przez to do ich narodowej tożsamości, zdolnej ostatecznie odeprzeć wroga inwazję.

Otóż uderzając w podstawową potrzebę człowieka, jaką jest zaspokojenie apetytu, uderzając w tradycję podniebienia, we francuską świńską kiełbasę wokersi nie tylko przekroczyli kolejną granicę absurdu, lecz także z płaszczyzny odległej, nieuchwytnej dla wielu, a przez to pozornie nieszkodliwej teorii przeszli do odczuwalnego i zrozumiałego dla wszystkich ataku na bliskie ludziom konkrety.

Ludzie nie będą klękać, by przeproszać za zawartość ich talerza i kieliszka, za słynącą w świecie gastronomię, która w dodatku napędza im gospodarkę. Pozostaje żyć wokersom, aby w podobny sposób zawsze przelicytowywali stawkę, podważanie przez nich prozaicznych rzeczy okazuje się bowiem najbardziej kontrproduktywne.



Z prof. Janem Pisulińskim,
historykiem, nauczycielem
akademickim
rozmawia Piotr Zychowicz

Tajemnica Bandery

PIOTR ZYCHOWICZ: Premier Jan Olszewski na krótko przed śmiercią udzielił wywiadu, w którym powiedział, że Stepan Bandera nie miał nic wspólnego z Wołyniem. Miał rację?

PROF. JAN PISULIŃSKI: Bandera rzeczywiście nie był bezpośrednim inicjatorem rzezi Polaków na Wołyniu. Kiedy doszło do tej tragedii, siedział w niemieckim obozie koncentracyjnym Sachsenhausen. Oczywiście w znacznie lepszych warunkach niż większość więźniów tej placówki. Jako współpracownik Abwehry miał tam uprzywilejowaną pozycję. Jego sytuacja była znacznie lepsza niż choćby gen. Stefana Grota-Roweckiego, który został zamordowany w Sachsenhausen. Bandera wyszedł z niemieckiego obozu w dobrym zdrowiu.

Może w takim razie wydawał swoim ludziom rozkazy z więzienia?

Część historyków uważa, że Bandera utrzymywał kontakty z Organizacją Ukraińskich Nacjonalistów za pośrednictwem swojej żony. Pytanie tylko, czy mógł podejmować tak kluczowe decyzje pozbawiony informacji na temat sytuacji w terenie. Czy mógł wydawać rozkazy? Wydaje mi się to mało prawdopodobne. Niemieckie służby więzienne utrudniały mu kontakt ze światem.

Czy historycy mają jakieś dowody potwierdzające, że to Bandera wydał rozkaz zagłady Polaków?

Nie, nie mają. Ale pamiętajmy, że w przypadku Holokaustu również nie ma

rozkazu Hitlera. Nie jest to więc argument rozstrzygający. Możemy natomiast bez wątpliwości mówić o odpowiedzialności moralnej. Bandera był przywódcą radykalnej frakcji OUN. To on był współtwórcą jej szowinistycznej ideologii, która zakładała użycie przemocy na wielką skalę. Bandera stworzył więc grunt pod zbrodnię. No i jeszcze jeden ważny aspekt. Bandera zginął w 1959 r. i nigdy nie potępił mordów na Polakach.

To kto wydał ten rozkaz? Część badaczy ukraińskich twierdzi, że to było działanie oddolne, chłopska żakeria.

Nie. To była akcja przeprowadzona w sposób zorganizowany. Wszystko wskazuje na to, że rozkaz wymordowania Po-



Pomnik Stepana Bandery
w Iwano-Frankiwsku
na Ukrainie FOT. ADOBE STOCK

kłeski ukraińskiego zrywu niepodległościowego. Przypominam, że w 1918 r. proklamowana została Zachodnioukraińska Republika Ludowa, która miała objąć wszystkie ziemie zamieszkane przez Ukraińców w granicach byłych Austro-Węgier.

Plany te pokrzyżowali Polacy.

Tak, doszło do wojny, którą wygrała Polska. I Galicja Wschodnia została włączona do Rzeczypospolitej. Był to zaś teren, gdzie ukraińska świadomość narodowa była rozwinięta najsilniej. Centrum ruchu narodowego. Przegrana z Polską wywołała olbrzymią frustrację wśród Ukraińców.

Trudno im się dziwić.

Spójrzmy na to z punktu widzenia Ukraińców. Znacznie mniejsze narody – Litwini, Łotysze, Estończycy czy Finowie – wybiły się na niepodległość. Swoją państwowość zbudowała Czechosłowacja. Młode pokolenie ukraińskich nacjonalistów zadawało sobie pytanie: Co poszło nie tak? Jakie błędy popełnili przywódcy starszego pokolenia? Doszli do wniosku, że byli zbyt rycerscy wobec wrogów. Nie byli dostatecznie bezwzględni.

To była kwestia pokoleniowa?

To widać nawet w rodzinie Bandery. Bandera urodził się w Uhrynowie Starym w pobliżu Stanisławowa. Jego ojciec był duchownym grecko-katolickim bardzo zaangażowanym w działalność polityczną. Był deputowanym do parlamentu ZURL, a potem kapelanem ukraińskiej armii galicyjskiej. Co ciekawe, potem razem siedzieli w polskim areszcie.

Na czym polegał ten pokoleniowy rozdziewiek?

Starzy działacze wierzyli, że zachodnia Ukraina jednak uzyska niepodległość. Zgodnie z decyzją mocarstw podjętą na paryskiej konferencji pokojowej Galicja Wschodnia miała być tylko tymczasowo okupowana przez Polskę. W marcu 1923 r. Rada Ambasadorów zgodziła się jednak na przyłączenie jej do Polski. To był kolejny szok, który pokazał młodemu pokoleniu, że pokojowe metody walki są nieskuteczne. Że trzeba przejść do czynów.

Trzy lata później Bandera wstąpił do Ukraińskiej Wojskowej Organizacji (UWO).

Dla Bandery i członków jego pokolenia Polska nadal była okupantem. Ukraińcy uważali, że decyzja mocarstw została podjęta bez poszanowania ich prawda

do samostanowienia. Bandera w 1927 r. zasilł więc szeregi zbrojnej konspiracji UWO założonej przez Jewhena Konowalca. W 1929 r. grupa ta przeobraziła się w Organizację Ukraińskich Nacjonalistów. Bandera był w niej od początku.

A więc Bandera postanowił zostać terrorystą.

Ukraińcy mieli dwie drogi. Jedni skupiali się na pracy organicznej, drudzy decydowali się walczyć. Co ciekawe, w obu tych przypadkach wzorowali się na Polakach. Widzieli bowiem, że Polacy osiągnęli sukces i zbudowali niepodległość. Bojownicy UWO mówili otwarcie, że robią to samo, co niegdyś robili bojownicy Organizacji Bojowej PPS walczący z caratem. Dowodzili, że ich akcje niczym nie różnią się od napadu na pociąg pod Bezdanami czy zamachów na rosyjskich dygnitarzy podczas rewolucji w 1905 r.

Czy zgadza się pan z opinią, że Bandera był przedstawicielem straconego pokolenia? Że II RP nie stworzyła młodym Ukraińcom możliwości do życiowej samorealizacji?

Ukraińcy w II RP mieli mniejsze możliwości na prowadzenie pracy organicznej niż Polacy w zaborze austriackim. W II RP dla młodego Ukraińca kariera w wojsku była właściwie zamknięta. Podobnie w administracji publicznej – szczytem możliwości dla Ukraińca było stanowisko sołtysa. W II RP był tylko jeden ukraiński wójt. W dodatku Hucuł. Nawet w rejonach, w których Polacy stanowili kilkanaście procent mieszkańców, obsadzali oni wszystkie wyższe szczeble urzędnicze. W Galicji nie było ukraińskiego uniwersytetu ani katedry z ukraińskim językiem narodowym. Jedyne sposoby na awans społeczny była zmiana wyznania na katolickie. Ale to było traktowane jako zdrada. To wszystko dodatkowo radykalizowało młode pokolenie.

Wróćmy do Bandery. Od kul zamachowców OUN ginęli ukraińscy działacze opowiadający się za współpracą z Polską. A także polscy dygnitarze: poseł Tadeusz Hołówkó (1931) i minister spraw wewnętrznych Bronisław Pieracki (1934). Jaka była w tym rola Bandery?

Po zabójstwie Pierackiego Bandera – wraz z towarzyszami z OUN – stanął przed sądem. Prokurator przypisał mu zorganizowanie 11 zabójstw, m.in. polskiego ministra. Skazano go na karę śmierci, zamienioną na mocy amnestii na dożywotnie więzienie.

Podobno wstawili się za nim starzy bojownicy PPS.

laków na Wołyniu wydał szef tamtejszych struktur – Dmytro Kłaczkiwski „Kłym Sawur”. Potem mordy przeniosły się do Galicji Wschodniej, co świadczy o tym, że organizacja to aprobowała. Wskazuje się tu na kolejnego prominentnego działacza OUN – Romana Szuchewycza.

Co się stało z tymi ludźmi?

Zginęli potem w walce z Sowietami. Przez co na Ukrainie – szczególnie zachodniej – mają dziś status bohaterów.

Bandera to rocznik 1909. A więc był za młody, żeby wziąć udział w wojnie polsko-ukraińskiej.

Tak, ale ta klęska go uformowała. On był dzieckiem swoich czasów. Przedstawicielem pokolenia wychowanego w cieniu

■ Nie ma na to dowodów. Kto zresztą mógłby się wstawić? Walery Sławek? To wygląda na plotkę. Sprawcy zamachu na Tadeusza Hołówkę zostali przecież przez polskie władze straceni. I pośmiertnie stali się bohaterami dla ukraińskiej młodzieży. Możemy więc przyjąć bardziej prozaiczne wytłumaczenie: polskie władze zrezygnowały z powieszenia Bandery, bo nie chciały tworzyć nowego męczennika.

I tak stał się idolem młodych Ukraińców.

To wynikało z jego postawy na sali sądowej. Nie zgadzał się na odpowiadanie po polsku na pytania prokuratora. Wygłaszał płomienne, patriotyczne mowy. Trzeba przyznać, że był to człowiek o dużej charyzmie i zdolnościach przywódczych. Ale również o olbrzymich ambicjach. To – odpowiednio spreparowane – stworzyło legendę Bandery.

Bandera ze swojego dożywocia odsiedział tylko pięć lat. Został wypuszczony z więzienia podczas kampanii 1939 r.

I od razu wrócił do szeregów OUN. Jej przywódcą był wówczas Andrij Melnyk, bo w 1938 r. Konowalec został zamordowany przez agenta NKWD przy pomocy bomby ukrytej w pudełku czekoladek. Bandera rzucił wyzwanie Melnykowi i w 1940 r. doprowadził do rozłamu w organizacji. Powstały OUN-B (od nazwiska Bandery) i OUN-M (od nazwiska Andrija Melnyka). Banderowcy byli znacznie bardziej radykalni od melnykowców.

W 1941 r. wybuchła wojna między Hitlerem a Stalinem. Ukraińscy nacjonaliści opowiedzieli się po stronie III Rzeszy. Dlaczego? Zdecydowała bliskość ideologiczna z NSDAP czy względy pragmatyczne?

Te związki były znacznie starsze. UWO już na początku lat 20. nawiązała współpracę z wywiadem niemieckim. Niemcy mocno wspomagali ukraińskie podziemie, przez Gdańsk szedł jeden z najważniejszych szlaków łącznikowych. Zasada była prosta: wróg mojego wroga (czyli Polski) jest moim przyjacielem. Ukraińcy pamiętali również o tym, że w 1918 r. Ukraińska Republika Ludowa powstała dzięki państwom centralnym, które okupowały Rosję. Liczyli, że to się powtórzy. Było to o tyle prawdopodobne, że jeden z mentorów Hitlera – Alfred Rosenberg – podobnie jak Piłsudski był zwolennikiem rozprucia Związku Sowieckiego po szwach narodowościowych. Opowiadał się za stworzeniem niepodległej Ukrainy.

Dla Ukraińców nadzieje te skończyły się wielkim rozczarowaniem.

Hitler odrzucił koncepcję Rosenberga. Kierował się swoją obłądną rasistowską ideologią i nie zamierzał się z nikim dzielić zdobyczami na Wschodzie. W połowie lipca 1941 r. podjął decyzję, że jednak nie odbuduje Ukrainy.

Bandera próbował postawić go przed faktem dokonanym.

Tak. W 1941 r. do Lwowa wraz z Niemcami wkroczył utworzony przez banderowców batalion „Nachtigall”. Pod jego ochroną powołany został ukraiński rząd Jarosława Stečki, bliskiego współpracownika Bandery. 30 czerwca 1941 r. ogłosił on powstanie niepodległej Ukrainy. Hitler tego nie uznał. Gestapo aresztowało kilkuset działaczy OUN, którzy trafili do więzień i obozów koncentracyjnych. Jednym z nich był Bandera.

Po zdobyciu Lwowa doszło na ulicach do pogromu Żydów.

Przed wycofaniem się ze Lwowa NKWD wymordowało ludzi osadzonych w miejskich więzieniach. Niemcy ogłosili, że winę ponoszą za to Żydzi pracujący w bezpiece. To było zgodne z powszechnym stereotypem o żydokomunie. W efekcie doszło do pogromu, w którym wzięli udział członkowie OUN. Warto w tym miejscu dodać, że Holocaust na Wołyniu i w Galicji Wschodniej został dokonany rękami ukraińskiej policji pomocniczej. A spora część jej funkcjonariuszy należała do struktur podziemia nacjonalistycznego. OUN kierowała swoich członków do policji, żeby zdobyli wyszkolenie i w odpowiednim momencie uciekli z bronią w rękę do lasu. Tak też się stało.

Swoje doświadczenia w mordowaniu Żydów ukraińscy nacjonaliści wykorzystali w 1943 r., mordując Polaków. A czy zgadza się pan z opinią, że gdyby Hitler uznał banderowską Ukrainę, powstałaby kieszonkowa III Rzesza? Mała faszystowska dyktatura?

To rozważania z gatunku historii kontrfaktycznej. Wiemy, że Hitler na gruzach podbitych przez siebie państw pozwolił na utworzenie dwóch takich państewek: Słowacji i Chorwacji. Oba z nich brały udział w Holocaustu, a Chorwaci dokonali czystek etnicznych również w innych narodach. Przede wszystkim na Serbach.

W Galicji Polacy mogliby zostać potraktowani jak Serbowie. Może więc – z polskiej perspektywy – Hitler zrobił dobrze, że spacyfikował rząd banderowców.

Trudno to ocenić. Bałkany były na uboczu. A Galicja znajdowała się na zapleczu frontu wschodniego. Wielkie mordowanie Polaków wiązałoby się z destabilizacją terenu. Niemcy tego nie chcieli. Zajmował się pan Wołyniem i wie pan, że lokalne niemieckie władze okupacyjne w 1943 r. wydawały broń Polakom, żeby bronili się przed Ukraińcami. Trudno więc wyobrazić sobie, żeby rząd Stečki mógł podejmować poważniejsze działania na własną rękę.

Wspominał pan, że Bandera w obozie był trzymany w ciepłarnianych warunkach. Jego bracia mieli mniej szczęścia. Osadzono ich w Auschwitz, gdzie podobno zostali zakatowani przez polskich kapo.

Nie weryfikowałem tej wersji. Ale taka plotka była na rękę wszystkim. Polakom – bo pokazywała, że braci Bandery spotkał zasłużony los. Ukraińcom – bo dowodziła, że Polacy są okrutnym, nieprzejednanym wrogiem. Na rodzinę Bandery spadły również represje sowieckie. Jego ojciec został zamordowany w 1941 r. przez NKWD, a siostry wywiezione do łagrów.

I siedzieli tam do lat 80.! A kiedy Bandera wyszedł z Sachsenhausen?

W 1944 r. III Rzesza, gdy w oczy zajaśniało jej widmo klęski, zaczęła podejmować desperackie próby naprawienia błędów Hitlera z 1941 r. Starła się nawiązać porozumienie z narodami Wschodu. Powołano Ukraińską Armię Narodową, ale nigdy nie weszła do akcji. Było za późno.

Co Bandera robił po wojnie?

Zamieszkał w Monachium, gdzie był działaczem emigracyjnym. Utrzymywał kontakt z konspiracją w Sowietach i w Polsce, nawiązał współpracę z wywiadem brytyjskim MI6. Był żywą legendą ukraińskiego ruchu nacjonalistycznego, ale z czasem został odsunięty na boczny tor. Ukraiński obóz niepodległościowy w obliczu klęski państw Osi zaczął się bowiem odżegnywać od faszystwu i przebierać w strój demokratów. Bandera nie był do tego skłonny.

Jak zginął?

W 1959 r. został zamordowany na klatce schodowej swojego domu przez

agenta KGB Bohdana Staszynskiego. Zamachowiec użył specjalnego pistoletu z pociskiem z cyjanku. To był jeden z licznych podobnych pomysłów Moskwy. Potem pojawiły się zatrute parasole czy polon dosypywany do herbaty.

Bandera był tak groźny dla Sowietów?

UPA była formacją, która walczyła z Sowietami najdłużej. A co za tym idzie, stanowiła spory kłopot dla Moskwy. W grę mogła wchodzić również osobista zemsta Nikity Chruszczowa, który zanim został przywódcą Związku Sowieckiego, był przecież przywódcą sowieckiej republiki ukraińskiej.

Bandera był faszystą?

Poglądy i działania sytuują go blisko faszyzmu. To był nacjonalizm w wersji skrajnej. Bandera wyznawał charakterystyczny dla faszyzmu kult przemocy. Do tego należy dodać wodzowski charakter jego ruchu, fascynację Mussolinim i Hitlerem, współpracę z III Rzeszą i antysemityzm. Masowe zbrodnie. Myślę więc, że banderowców można nazwać faszystami.

Dlaczego faszysta, człowiek odpowiedzialny moralnie za rzeź Polaków na Wołyniu, ma na Ukrainie status bohatera?

Tu chodzi o tradycje walki UPA z Sowietami. A także to, że Ukraińcy nie mają w swojej historii najnowszej innych tradycji, do których mogliby się odwoływać. Stąd powszechna amnezja w sprawie mordowania Polaków na Wołyniu, próby zamazywania tego wydarzenia. UPA dla Ukraińców – szczególnie z Zachodu – to symbol oporu wobec moskiewskiego okupanta.

Kult UPA dla Ukraińców jest odpowiednikiem kultu Wyklętych w Polsce?

Z tą różnicą, że Żołnierze Wyklęci nie dokonali masowego, zorganizowanego ludobójstwa tak jak UPA. Choć niektórzy z nich oczywiście mają na swoim koncie zbrodnie wojenne. Poza tym Wyklęci byli spadkobiercami państwa polskiego. A UPA była de facto bojówką polityczną. Dopiero teraz nadaje się jej ogólnoukraiński, niepodległościowy wymiar.

To jak mamy się dogadać z Ukrainą? Kiedyś Jarosław Kaczyński powiedział, że Ukraina z Bandera nie wejdzie do Europy.

Jestem szczęśliwy, że nie jestem doradcą obecnych władz w sferze polityki historycznej. Bez wątpienia mamy z Bandera olbrzymi problem. Jego kult jest dla nas nie do zaakceptowania. Ale z drugiej strony – niewpuszczenie Ukrainy do Unii z powodu Bandery byłoby niesprawiedliwością dla milionów współczesnych Ukraińców, którzy walczą z Rosją i giną za Europę. Również za nas. Miejmy więc nadzieję, że z czasem stosunek Ukraińców do Bandery się zmieni. Panteony bohaterów narodowych nie są przecież stałe. Spójrzmy choćby na Belgię. Dopiero niedawno Belgowie stracili z piedestałów pomniki króla Leopolda II, odpowiedzialnego za koszmarnie zbrodnie w Kongu. Może z Bandera będzie podobnie.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

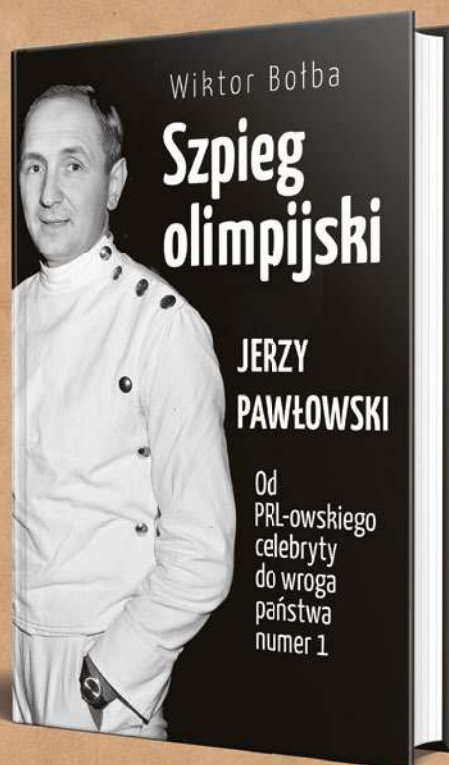


prof. Jan Pisuliński – znawca relacji polsko-ukraińskich. Pracuje na Uniwersytecie Rzeszowskim. Autor książek m.in. „Akcja »Wisła«”, „Nie tylko Petlura”, „Przesiedlenie ludności ukraińskiej z Polski do USRR w latach 1944–1947”.

REKLAMA

SZOKUJĄCE
ŻYCIE
Jerzego
Pawłowskiego
– medalisty
i szpiega.

Odkryj jego
tajemnice.





PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

Bunty w Gułagu

Sowiecki łagier był jednym z najpotworniejszych miejsc, jakie człowiek stworzył w celu dręczenia bliźniego. Permanentny głód, mróz, katorżnicza praca, bestialstwo strażników i więźniów kryminalnych, choroby. Lodowe karcery.

Czytając liczne wspomnienia łagrowe – Szałamowa, Sołżenicyna, Ginzburg czy Margolina – zawsze trapiła mnie jedna myśl. Przecież zeków były tysiące! A strażników ledwie garstka. Dlaczego ci nieszczęśni ludzie nie chwycili za siekiery i nie rozsiekali na kawałki swoich oprawców?

Niestety, system Gułagu był skonstruowany w taki sposób, aby zapobiegać buntom. Terror strażników, szpicle wśród więźniów, surowe kary za najmniejsze wykroczenie. A za próbę ucieczki – kula w łeb. A jednak zekowie się buntowali!

Do wielkich buntów w łagrach doszło w 1953 r., po śmierci Stalina.

Wówczas do rebelii przystąpili więźniowie wielkich łagrowych kompleksów przemysłowych – Gorłagu i Rieczłagu. Wśród zbuntowanych zeków znaleźli się Polacy, wysłani do łagrów po 1944 r., gdy Polska znalazła się pod okupacją sowiecką.

Wydana przez ośrodek Karta książka

„Bunty w łagrach” zawiera unikalne relacje żołnierzy Armii Krajowej, którzy znaleźli się w centrum tych dramatycznych wydarzeń. Po latach opowiadali, jak wojska NKWD bestialsko pacyfikowały łagry.

„Przerznąli druty i idą z automatami – relacjonował Hipolit Suchocki. – Jeden Litwin nie wytrzymał, nerwy czy co, i prętem wałnął żołnierza. Wtedy rąbnęli z automatów – siedemdziesięciu ludzi polecało.

Przybiega do mnie Marian Nadziejko: »Patrz, paluszek!«. Oberwało mu palce. A ja w takim cholernym naprężeniu, prosto, do duszy – może po zwierzęcemu – »W dupę paluszek! Do cholery!«. Biedny, zgarbił się i poszedł.

Zawierucha, strzelają, z wyszek wałą naokoło, tylko słycać zzzziuu... Koło mnie stał były sekretarz komitetu partii w Leningradzie. Patrząc – on błędnie. Dostał w pierś. My w nich kamieniami – odebraliśmy automaty. Wystrzelaliśmy na nich wszystkie naboje. Zaczęli ściągać trupy na samochody”.



★★★★★
AGNIESZKA KNYT
(OPRAC.)
„BUNTY
W ŁAGRACH”
KARTA

Wstrząsająca książka. W całym tym koszmarze jest jedna pocieszająca sprawa. Więźniowie łagrów niezależnie od swojej narodowości, wiary i przekonań potrafili zjednoczyć się przeciwko uciskowi władzy totalitarnej. ©



SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Tragedia na Wawelu

Wprawdzie Jadwiga Andegaweńska była bardzo pobożną osobą, jednak nie przypominała cichej i pokornej dziewczyny. Często reagowała bardzo gwałtownie, zdarzało się jej bywać upartą, potrafiła też na zimno i konsekwentnie przeprowadzić swoją wolę. Do tego lubiła zabawę, dobrą muzykę i dobrą kuchnię, zawsze też bardzo elegancko się ubierała. Prowadziła bardzo energiczny tryb życia, często zmieniała miejsce pobytu, uwielbiała łowy na grubego zwierz. Jednocześnie błyszczała intelektem, a posiadaną wiedzę potrafiła zadziwić niejednego dobrze wykształconego duchownego.

Jeżeli dodamy do tego jeszcze jej urodę i wdzięk, to zrozumiałe stanie się uwielbienie, jakim otaczano ją w kraju. Jadwiga faktycznie nie przypominała żadnej współczesnej sobie władczyni. Była osobą zupełnie wyjątkową. Na swoim dworze skupiła elitę kulturalną kraju i to na jej zlecenie po raz pierwszy przetłumaczono Księgę Psalmów na język polski. Ufundowała też wiele kościołów i dzięki niej powstał szpital w Bieczu, a odnowiła też podobne placówki w Sandomierzu i Sączu.

Zupłyłem lat Jadwiga coraz bardziej angażowała się w politykę. Mediowała pomiędzy skłóconymi książętami litewskimi, osobiście spotkała się też z wielkim mistrzem zakonu krzyżackiego, aby omawiać z nim sprawy wzajemnych stosunków. Wiedziała, że prędzej czy później wybuchnie wojna z Krzyżakami,

starła się jednak odwlec ten moment, aby kraj był do niej jak najlepiej przygotowany.

Innym celem Jadwigi było odnowienie Akademii Krakowskiej, która podupadła po śmierci Kazimierza Wielkiego. Królowa zabiegała na dworze papieskim o zgodę na powstanie wydziału teologicznego, co umożliwiłoby podniesienie uczelni do rangi uniwersytetu. Starania Jadwigi zakończyły się sukcesem, papież Bonifacy IX ogłosił specjalną bullę, zezwalając na wykładanie teologii.

Niestety, los nie okazał się łaskawy. W styczniu 1399 r. ogłoszono, że królowa spodziewa się dziecka, co

**Jadwiga nie
przypominała
żadnej współczesnej
sobie władczyni**

spotkało się z ogromną radością w kraju. Jadwiga wpadła jednak w depresję, dręczyły ją złe przeczucia. I miała rację. Wprawdzie urodziła córkę, której nadano imiona Bonifacja Elżbieta, ale dziecko zmarło po trzech tygodniach, a wkrótce po nim matka. W chwili śmierci nie miała jeszcze 26 lat, a pogrzeb obojga odbył się 19 lipca 1399 r.

W 2004 r. Jadwiga została kanonizowana. Jest też patronką wielu polskich miast. Natomiast przy jej wawelskim grobowcu często zapalają świeczki i modlą się matki dzieci, które mają kłopoty z nauką... ©

UNIA W OBRONIE KALININGRADU

Po rosyjskiej napaści na Ukrainę Litwini zablokowali Rosjanom możliwość transportu towarów do obwodu kaliningradzkiego. Kraj rządony przez Putina wniósł w tej sprawie skargę do władz europejskich. W ubiegłym tygodniu Komisja Europejska poinformowała, że przeprowadziła analizy prawne i zgodnie z prawem UE Litwini mają przestać robić tak na złość biednym Rosjanom. Mają dopuścić przynajmniej transport kolejowy towarów do rosyjskiej enklawy w Europie.

FOT. ADRIAN STOK



czech wyjaśnił tamtejszej prasie, że po prostu kościół został wykorzystany na uroczystości jako „tło”.

PODGRZEWANIE W ABONAMENCIE

BMW próbuje w Korei Południowej nowego modelu zarabiania. No bo po co sprzedawać ludziom auto z podgrzewanymi fotelami, skoro można zrobić podgrzewane fotele na abonament (w przeliczeniu za ok. 90 zł miesięcznie)? Kto chce mieć ciepło w tyłek, może wykupić sobie grzanie na miesiąc albo – ze zniżką – na cały rok.

JAK TO SIĘ ROBI NA ZACHODZIE

Dziennikarze śledczy z Europy ujawnili wyciek dokumentów z firmy Uber. Wynika z nich, że wiceprzewodnicząca Komisji Europejskiej Neelie Kroes rozmawiała o dołączeniu do rady nadzorczej tej firmy w czasie, gdy piastowała stanowisko w UE (potem oczywiście dostała pracę w Uberze). Kroes jako komisarz nadzorowała politykę

cyfrową i zajmowała się zagadnieniami konkurencyjności na rynkach. Naciskała na polityków ze swojego kraju – Niderlandów – w czasie, gdy tamtejsze służby tropiły Ubera. Wyciek dokumentów ujawnił też, że Emmanuel Macron jako minister gospodarki Francji w roku 2014 pomagał otwierać rynek dla Ubera. Do lobbyści tej firmy pisał m.in. takie SMS-y: „[Zbiórę – przyp. red.] wszystkich w przyszłym tygodniu, aby przygotować reformę i poprawić prawo”.

KOŚCIÓŁ JAKO TŁO

Niemiecki minister finansów Christian Lindner wziął ślub z dziennikarką Francją Lehfeldt. Na miejsce wybrali Sylt – wyspę dla bogaczy. Małżonkowie zawarli związek w kościele św. Seweryna w Keitum, towarzyszyła im proboszcz Susanne Zingel. To o tyle zaskakujące, że wcześniej oboje dokonali aktów apostazji, publicznie wyrażając się chrześcijaństwa. Były przewodniczący Rady Kościoła Ewangelickiego w Niem-

POLSKI AKCENT NA WIMBLEDONIE

Polscy gracze nie dotarli wysoko w tenisowym turnieju w Londynie, ale o jednej Polce jest głośno. Zakłócała finał męskiego pojedynku do tego stopnia, że Nick Kyrgios krzyczał, iż wypila z 700 drinków. Pani Anna Palus tłumaczyła w brytyjskich bulwarówkach, że wypila tylko dwa. © © **Łukasz Zboralski**



JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Wszystko po pięć złotych?

Kursy walut oszalały. Frank szwajcarski w czerwcu doszedł do parytetu z euro, po czym jeszcze się umocnił i jego średni kurs pod koniec tygodnia oscylował w okolicach 4,90 zł. Rajd w kierunku parytetu z euro kontynuował również dolar. W efekcie w ubiegłym tygodniu za zielonego trzeba było zapłacić najwięcej w kilkudziesięcioletniej historii wolnej polskiej gospodarki.

Na słabości euro i sile dolara tradycyjnie cierpią waluty naszego regionu: notowania węgierskiego forinta szorują po dnie, w kiepskiej formie jest też nasz polski złoty. Gdy

zamykaliśmy to wydanie „Do Rzeczy”, za euro i dolara trzeba było zapłacić powyżej 4,80 zł. Co dalej? Gdybym wiedział, to nie musiałbym już pisać felietonów. Jedni analitycy optymistycznie sądzą, że ceny euro i franka spadną do 4,60 zł, inni prognozują, że za dolara, franka i euro przyjdzie wkrótce płacić po 5 zł.

Wiadomo za to, jak drogie dolar, frank i euro przekładają się na żywot pocziwego Kowalskiego. W dużym uproszczeniu: wszystko będzie droższe. W dolarach podawane są ceny nie tylko paliw, złota czy miedzi, lecz także wielu innych towarów: pszenicy, ryżu, cukru, kukurydzy, kawy,

bawełny etc. Wyższe ceny hurtowe przekładają się na coraz droższe produkty w sklepach detalicznych. Więcej trzeba będzie też zapłacić za zagraniczne wakacje. Oczywiście drogie waluty to również wyższe koszty obsługi kredytów walutowych, co dotyczy zarówno Kowalskiego, jak i rządu.

Nowy kryzys to raj dla populistów. Przed wyborami – nie tylko w Polsce – można się spodziewać wielu nowych pomysłów, na czyje błędy finansowe tym razem ma się złożyć całe społeczeństwo, względnie tylko przedsiębiorcy, drobni udziałowcy spółek energetycznych, banków etc. © ©



Maciej Pieczyński

Mieszkańcy okupowanych terenów stawiają opór agresorom. Na tyłach Rosjan działa ukraińska partyzantka

Na odcinku południowym wojska rosyjskie od początku wojny notowały największe postępy. W ciągu kilku tygodni na przełomie lutego i marca agresor zajął spore tereny obwodu chersońskiego, a także zaporoskiego i donieckiego. Wyprowadzone z Krymu uderzenie było o wiele bardziej skuteczne niż choćby ofensywa na Kijów. Praktycznie bez walki padły Chersoń, Berdiańsk czy Melitopol. Wyjątkiem była epopeja Mariupola. Niemniej w efekcie pod rosyjską okupacją znalazły się nie tylko liczne miejscowości, lecz także tysiące ich mieszkańców, którzy mieli niewielkie szanse na bezpieczną ewakuację na tereny znajdujące się pod kontrolą Kijowa.

Bardzo szybko okazało się, że większość z nich nie zamierza bynajmniej witać najeźdźców z kwiatami. W Chersoniu i innych miastach odbywały się potężne demonstracje patriotyczne przeciwko okupantom. Rosjanie początkowo byli zdezorientowani, zdziwieni takim przyjęciem i nie decydowali się na krwawe stłumienie protestów. W końcu jednak zaczęli rozpędzać demonstracje za pomocą granatów hukowych i gazu łzawiącego, otwierali też ogień do protestujących. Zaczęły się aresztowania proukraińskich aktywistów, weteranów operacji antyterrorystycznej. To jednak nie osłabiło oporu Ukraińców. Sprawilo jedynie, że bierny, pokojowy opór przerodził się w podziemną działalność partyzancką.

CEL – KOLABORANCI

Głównym celem partyzantów ukraińskich są kolaboranci. „Potężny wybuch. Ten wybuch błyskawicznie rozbija poranną sobotnią ciszę w okupowanym przez Rosję Chersoniu. Za kierownicą wysadzonego w powietrze samochodu wykrawa się Jewhen Soboliew, który przeszedł na stronę Rosjan” – tak kolejną akcję ukraińskich partyzantów opisuje ukraińska redakcja portalu telewizji BBC. Zamach miał miejsce 18 czerwca. Kolaborant przeżył. W wyniku



Zamach na jednego z kolaborantów, Jewhena Soboliewa. Był on naczelnikiem chersońskiej kolonii karnej. Pod koniec marca miał przejść na stronę Rosjan. FOT. INSTAGRAM.COM/SUSPILNE.KHERSON

Partyzanci Ukrainy

wybuchu został poważnie ranny w obie nogi. Soboliew był naczelnikiem chersońskiej kolonii karnej. Pod koniec marca miał przejść na stronę Rosjan. Według ukraińskiej prokuratury zmuszał więźniów do pracy przy naprawie sprzętu wojskowego okupantów. Na terenie kolonii, w pokojach przeznaczonych dla odwiedziny, zorganizował miejsca do wypoczynku dla żołnierzy rosyjskich. Ponadto miał im pomagać w kontaktach z innymi przedstawicielami lokalnych władz.

Na stronę Rosjan przeszedł też Ołeksij Kowaliow, deputowany do Rady Najwyższej z ramienia Sługi Narodu. Gdy tylko okazało się, że polityk zdradził swój kraj, został wykluczony z partii Zelenskigo. Kowaliow sam się do zdrady przyznał. 8 czerwca ogłosił na Facebooku, że pojawił się na spotkaniu z zastępcą szefa administracji Putina, który przybył na

Chersońszczyznę, żeby „omówić ważne sprawy dla tutejszych rolników”. Kowaliow w swoim wpisie poparł włączenie regionu – z którego sam pochodzi – w skład Federacji Rosyjskiej. 22 czerwca jego samochód wyleciał w powietrze. O zamachu poinformowały ukraińskie media oraz agent NABU (Narodowego Biura Antykorupcyjnego Ukrainy) Jewhen Szewczenko. „Mogę potwierdzić, że zostało wykonane pewne działanie. Samochód rzeczywiście został wysadzony w powietrze. W jakim stanie znajduje się ten kolaborant i zdrajca, właśnie ustalamy” – komentował szef ukraińskiego wywiadu wojskowego Kyryło Budanow. Ostatecznie Kowaliow przeżył. „Jestem cały i zdrowy [...]. Nie zastraszyli mnie, planuję dalej pracować” – powiedział sam kolaborant w nagraniu wideo, opublikowanym przez RIA Nowosti. Widać

na nim, że leży na szpitalnym łóżku z zabandażowaną prawą ręką.

Pod koniec maja ranny w zamachu został Andrij Szewczyk, mianowany przez Rosjan merem okupowanego Enerhodaru. Na klatce schodowej w jego bloku wybuchła bomba. Oprócz Szewczuka ranni zostali również jego ochroniarze. Według doniesień ukraińskich mediów nie ucierpiał żaden postronny cywil. Przed wojną Szewczuk był lokalnym działaczem prorosyjskiej partii Platforma Opozycyjna – Za Życie. Tuż po inwazji rosyjskiej ogłosił powstanie „rady ludowej” Enerhodaru i został, za zgodą okupantów, którzy sami zaproponowali mu to stanowisko, szefem kolaboracyjnej administracji miasta.

7 lipca w Nowej Kachowce, we własnym samochodzie, zastrzelony został Serhij Tomka. Jego zgon potwierdziła strona rosyjska. Przed wojną służył w lokalnej policji. Po zajęciu Nowej Kachowki przez Rosjan namawiał innych funkcjonariuszy do przejścia na stronę okupantów. Za zdradę dostał nagrodę. Rosjanie mianowali Tomkę zastępcą naczelnika policji w Nowej Kachowce. 24 czerwca partyzanci zlikwidowali Dmitrija Sawłuczenkę. Był działaczem prorosyjskiej Partii Szarija. Sawłuczenko już w 2014 r. otwarcie opowiadał się za panowaniem Moskwy w tej części Ukrainy. Występował wówczas na demonstracjach separatystów w Chersoniu, który ostatecznie nie stał się stolicą kolejnej republiki ludowej. Założył młodzieżową organizację prorosyjską Nowa Ruś. Właśnie dlatego w okupacyjnych władzach dostał fotel naczelnika wydziału rodziny, młodzieży i sportu administracji obwodu chersońskiego. Sawłuczenko wyleciał w powietrze wraz z samochodem pułapką. Śmierć kolaboranta potwierdził zastępca szefa okupacyjnej administracji wojskowo-cywilnej obwodu Kyryło Stremousow – również prorosyjski polityk, który po wkroczeniu Rosjan przeszedł na ich stronę.

30 maja ok. godz. 8 rano w centrum Melitopola doszło do potężnej eksplozji. Początkowo media informowały, że ciężko ranna została Jewhenija Zajcewa, pracująca w kolaboracyjnej administracji miasta bratanica Jewhena Balickiego, mianowanego przez okupantów na stanowisko gubernatora obwodu zaporoskiego. Te doniesienia się nie potwierdziły. Ucierpiało dwóch kolaborantów. Ukraiński mer Melitopola Iwan Fedorow wysunął dwie hipotezy – jego zdaniem albo zamachu dokonali partyzanci, albo to okupanci zaczęli czystkę wśród kolaborantów.

Tak czy inaczej, zdrajcy się przestraszyli. Mianowana przez Rosjan p.o. merem Melitopola Hałyna Danylczenko (przed wojną związana z prorosyjskim Blokiem Opozycyjnym) w obawie o swoje życie poprosiła o dymisję. Rosjanie zgodzili się pod jednym warunkiem – że zaraz po odejściu ze stanowiska Danylczenko odda się w ręce Służby Bezpieczeństwa Ukrainy. Kolaborantka pozostała więc na stanowisku. Z kolei Balicki poprosił o przeniesienie na Krym. Przekonywał, że kierować obwodem może również dobrze z terytorium półwyspu. On również spotał się z odmową.

NIE TYLKO POŁUDNIE

Na Krymie oraz w okupowanych Chersoniu i Melitopolu zaczęła działać podziemna organizacja Żółta Wstążka. O jej powstaniu 11 lipca poinformowało przedstawicielstwo prezydenta Ukrainy w Autonomicznej Republice Krymu. Na półwyspie aktywiści ruchu oporu rozklejają plakaty ze zdjęciami przedstawiającymi masowe antyrosyjskie protesty, do których doszło na Krymie w lutym 2014 r. W Sewastopolu rozpowszechniane są ulotki ostrzegające Rosjan, że miasto jest przeciwko wojnie, a „miejscowi partyzanci wiedzą, gdzie mieszka każdy okupant”. „Rosyjskich żołnierzy i ich lokalnych współpracowników ostrzega się, że czeka na nich odpowiedzialność za zbrodnie wojenne w Buczy, Mariupolu, Irpieniu i innych miejscach na Ukrainie” – czytamy w oświadczeniu. Przedstawicielstwo prezydenta podziękowało też „świadomym obywatelom ukraińskim na okupowanym Krymie za sprawne informowanie na temat sytuacji na półwyspie [...] na temat przemieszczania się wojsk rosyjskich itd.”.

Zdrajcy giną nie tylko na południu kraju. 11 lipca rosyjskie media poinformowały o udanym zamachu na szefa administracji osiedla miejskiego Welykyj Burłuk w obwodzie charkowskim. Jewhen Junakow został zlikwidowany za pomocą ulubionej broni ukraińskich dywersantów – samochodu pułapki. „To był zaplanowany akt terrorystyczny, zorganizowany przez tych faszystów, którzy siedzą w rządzie ukraińskim” – komentowały władze okupacyjne obwodu, potwierdzając w komunikacie dla mediów śmierć Junakowa. Zamachu dokonano zaledwie cztery dni po tym, jak Rosjanie ogłosili utworzenie administracji okupacyjnej w zajętych miejscowościach obwodu charkowskiego.

Oprócz likwidacji zdrajców ukraińska partyzantka zajmuje się również dywersją na tyłach wroga. Wysadzane są mosty i tory kolejowe. Lokalni mieszkańcy informują władze o ruchach rosyjskich wojsk i miejscach składowania sprzętu. Partyzanci działają w ścisłej koordynacji ze służbami specjalnymi. Jedną z najważniejszych operacji na tyłach Rosjan było wysadzenie mostu kolejowego koło wsi Akimowka 28 kwietnia. Tą drogą agresor przewoził amunicję i sprzęt wojskowy z Krymu na front w Donbasie.

PRZYGOTOWYWANI OD DAWNA

Ukraińska partyzantka nie jest spontanicznym, nieskoordynowanym odruchem zwykłych patriotów, którzy nagle postanowili wziąć do ręki broń. Kijów do nieregularnej walki z potencjalnym agresorem i okupantem przygotowywał się od dawna. Już w maju 2021 r. Rada Najwyższa uchwaliła ustawę regulującą „podstawy oporu narodowego”. Przewiduje ona trzy formy walki poza szeregami oddziałów regularnych. Po pierwsze – obrona terytorialna, działająca na terenach niezajętych przez agresora. Po drugie – ruch oporu, czyli specjalnie wyszkoleni partyzanci z doświadczeniem wojskowym, którzy mogą dokonywać aktów dywersji na tyłach wroga. Po trzecie – pokojowy sprzeciw ludności cywilnej. Wszystkie te trzy metody zostały aktywne w momencie wybuchu wojny. Mieszkańcy terenów okupowanych o tym, jak należy realizować „pokojowy opór”, mogą się dowiedzieć ze strony internetowej Centrum Oporu Narodowego. Ponadto ukraińskie służby przesyłają partyzantom podręczniki sabotażu i dywersji drogą e-mailową.

Skala działalności partyzanckiej wciąż jest stosunkowo niewielka. Często również jest to działalność nieskuteczna, co widać po nieudanych zamachach. Niemniej daje się we znaki okupantom. Spełnia kilka celów. Po pierwsze, walka z dywersją odciąga uwagę i siły Rosjan od linii frontu. Po drugie, sama dywersja utrudnia agresorom logistykę. Po trzecie, i tak nieliczni kolaboranci, w obawie o własne życie, coraz mniej chętnie wysługują się okupantom. Po czwarte wreszcie, Rosjanie wciąż nie mogą się pewnie czuć na okupowanych terenach. A to z kolei sprawia, że po raz kolejny Moskwa odkłada w czasie referendum na temat włączenia południa Ukrainy w skład Federacji Rosyjskiej.



Conor Murphy, Mary Lou McDonald i Michelle O'Neill z Sinn Féin w Hillsborough przed rozmowami z Borisem Johnsonem, 16 maja 2022 r. FOT. PETER NICHOLLS/REUTERS / FORUM

Sinn Féin na nowej drodze



Teresa Stylińska

Sukces w ostatnich wyborach Sinn Féin zawdzięcza temu, że skoncentrowała kampanię wokół zwykłych ludzkich spraw, takich jak wzrost kosztów utrzymania

Dawno temu, zanim jeszcze zawarto porozumienie pokojowe (i zanim Internet uprościł wszelkie poszukiwania), starałam się w Irlandii o kontakt z główną kwaterą partii Sinn Féin w Belfaście. Okazało się to niewykonalne. Na dźwięk słów „Sinn Féin” każdy – i w irlandzkim MSZ, i w ambasadzie polskiej w Dublinie – truchlał, zapewniając, że nikogo tam nie zna i w żaden sposób pomóc nie może. Argument, że Sinn Féin jest partią legalną i naprawdę nie ma się czego bać, trafiał w próżnię. A gdy w desperacji udałam się do dublińskiego biura Sinn Féin (bez skutku, bo akurat było zamknięte), podjechała policja i zostałam poproszona o wyjaśnienie, co tam właściwie robię.

Zadziałał, jak to bywa, szczęśliwy przypadek. Conor Lenihan, znany dziennikarz radiowy, a później minister, był w stałym kontakcie z Sinn Féin. To on przeprowadził w radiu pierwszy wywiad z Gerrym Adamsem, liderem partii, gdy władze brytyjskie uchyliły zakaz emitowania głosu ludzi z grup ekstremistycznych (ich wypowiedzi czytali aktorzy). Od Conora dostałam telefon rzeczniczki Adamsa i dzięki temu mogłam zrobić wywiad z człowiekiem, który, zanim stanął na czele Sinn Féin, był członkiem Rady Wojskowej IRA.

Czy komukolwiek mogło wówczas przyjść do głowy, że Sinn Féin, otoczona istnym kordonem sanitarnym, stanie się pierwszą partią Irlandii Północnej? Nie ma mowy o unikaniu kontaktów – byłoby to zresztą niemożliwe, skoro od ponad 20 lat zasiada ona w ulsterskim rządzie. W dodatku partia – jedyna działająca w obu częściach Irlandii – ma wszelkie widoki na jeszcze większy sukces w republice. Najnowsze sondaże dają jej poparcie na poziomie 36 proc., więcej, niż mają razem Fianna Fáil i Fine Gael – dwie główne partie, które od zawsze w Dublinie wymieniają się u steru rządów.

Do 2025 r., gdy w Irlandii przypada termin wyborów, wiele oczywiście może

się zmienić. Już teraz jednak niejednego obserwatora nurtuje pytanie, co będzie, gdy obie części wyspy mieć będą premierów z ugrupowania, które dąży do zjednoczenia Irlandii. Czy podziela to jak akcelerator?

WROGOWIE MUSZĄ BYĆ RAZEM

Zjednoczenie to kwestia fundamentalna, na razie jednak jest to melodia przyszłości, i to raczej dalszej niż bliższej. Irlandia Północna ma dziś inne problemy. Jest w stanie zawieszenia. Choć minęły ponad dwa miesiące od wyborów regionalnych, to nowego rządu nie ma, stary rząd działa w ograniczonym zakresie, a wybrany parlament nie przystąpił do pracy. Trzęsienie ziemi w Londynie – proces ustępowania premiera Borisa Johnsona, nowy minister ds. Irlandii Północnej Shailesh Vara, tymczasowy jak obecnie wszystko – tylko to pogłębia, bo Ulster nie jest teraz priorytetem.

Zawierania wokół rządu Ulsteru to nic nowego. Szczególny charakter prowincji, którą obowiązkowo muszą wspólnie rządzić partie sobie wrogie (choć dziś już mniej wrogie niż dawniej), nieraz powodował, że gdy o zgodę było trudno, władzę przejmował rząd w Londynie. Tym razem jednak nie o to chodzi.

Tworzenie rządu stało się środkiem nacisku w rękach Demokratycznej Partii Unionistycznej (DUP), największej partii protestantów. Unioniści chcą zmusić władze brytyjskie do zmiany tzw. protokołu północnoirlandzkiego. DUP grozi, że jeśli protokół nie zostanie uchylony, to nie wejdzie do rządu. A bez niej rząd nie powstanie.

Tu słowo wyjaśnienia: protokół to ta część umowy brexitowej, która miała zapobiec przywróceniu ścisłej granicy między republiką a Irlandią Północną. Przez ponad 20 lat pokoju granica się zatarła, bo obie części wyspy połączyły liczne więzy – na polu handlu, pracy, edukacji czy leczenia. Aby tak było nadal, postanowiono utrzymać Ulster w ramach wspólnego rynku europejskiego, a granicę celną ustanowić na Morzu Irlandzkim. To jednak, zdaniem unionistów, grozi rozpadem Zjednoczonego Królestwa. Boris Johnson zamierzał to zmienić i w tym kierunku idą też kandydaci na jego następcę.

Wyjaśnienie drugie: rząd Irlandii Północnej nie powstaje tak jak wszędzie. Nie chodzi tu o zbudowanie większości, lecz o zachowanie równowagi. Rząd muszą wspólnie stworzyć partie protestanckie i katolickie, czyli unioniści i nacjonaliści. Stanowisko premiera przypada największej partii, wicepremier – pierwszej partii drugiej społeczności. Premier i wicepremier, mimo formalnej terminologii, de facto są sobie równi. Jeśli zatem jednego elementu zabraknie, to rząd powstać nie może.

Taka sytuacja wytworzyła się teraz. Do tej pory premierem zawsze był protestant. Po zwycięstwie Sinn Féin powinna nim zostać Michelle O'Neill, wiceprzewodnicząca partii i jej szefowa w Irlandii Północnej. I nie byłoby z tym żadnych problemów, bo unioniści to akceptują, gdyby nie dostrzegli oni okazji, by wymusić odstąpienie od niebezpiecznego protokołu.

MY SAMI

My Sami – nazwa partii to jednoznaczna deklaracja. Sami – bez angielskiego najeźdźcy, wolni i na własnej ziemi. Gerry Adams we wspomnianym wywiadzie tłumaczył, jak bardzo jest to ważne. Dobrobyt i potęga Ameryki – mówił – zrodziły się stąd, że Amerykanie chcieli zostać sami i wypędzili Anglików ze swej ziemi...

Sinn Féin, najstarsze z irlandzkich ugrupowań, założone w 1905 r. przez

Arthura Griffitha, jednego z przywódców ruchu niepodległościowego, to partia walki – najpierw o wyzwolenie Irlandii, później o jej zjednoczenie. W jej działaniach jednak od początku spletały się ze sobą walka zbrojna i działania polityczne. Z jednej strony mamy więc powstanie wielkanocne i udział w wojnie domowej z początku lat 20., z drugiej zaś powołanie irlandzkiego parlamentu i udział w wyborach do parlamentu brytyjskiego (choć deputowani Sinn Féin zadowalali się uzyskaniem mandatu i nigdy w Izbie Gmin nie zasiadali, by nie składać przysięgi na wierność monarsze). Najbardziej prominentnym członkiem partii był bez wątpienia Éamon de Valera, kilkakrotny premier i prezydent suwerennej Irlandii. De Valera rozstał się jednak z Sinn Féin po rozłamie z początku lat 20.

Drugie życie Sinn Féin zyskała pod koniec lat 60., gdy doszło do nasilenia konfliktu między protestantami i katolikami, w połączeniu z falą zamieszek ulicznych i terroru w wykonaniu starych i nowych grup paramilitarnych. Wiele z nich, po obu stronach, miało swe przybudówki partyjne. Sinn Féin jak dawniej była związana z Irlandzką Armią Republikańską. Chociaż przywódcy partii niezmiennie temu zaprzeczali, to więzy personalne między Sinn Féin i IRA nie stanowiły tajemnicy. W gronie przywódców IRA był nie tylko Gerry Adams, który od 1983 r. przez 35 lat kierował Sinn Féin, lecz także jego zastępca Martin McGuinness, późniejszy wicepremier, i Danny Morrison, redaktor naczelny partyjnego pisma „An Phoblacht” („Republika”).

Cel republikanów (jak określa się katolickie ugrupowania skrajne, w przeciwieństwie do umiarkowanych, czyli nacjonalistów – co przeczy potocznym wyobrażeniom) nigdy się nie zmienił. To zjednoczenie Irlandii. Zmienił się natomiast sposób działania. W pewnym momencie uznano, że walka zbrojna nie wystarczy. Na konferencji Sinn Féin w grudniu 1981 r. nową strategię „urny i karabinu” ujął w słowa Danny Morrison, proponując, by do celu zdążać „z kartką wyborczą w jednej ręce i z karabinem Armalite w drugiej”.

NIE BUDZIMY SIĘ Z MYŚLĄ O ZJEDNOCZENIU

Strategia równoległego prowadzenia walki zbrojnej i politycznej okazała się nad podziw skuteczna. Zagrożenie terrorystyczne skłoniło władze do nawiązania

rozmów, a struktury polityczne mogły wystąpić w roli rozmówcy. Gdyby nie to, trudno byłoby o porozumienie pokojowe, zwane wielkopiątkowym, bo zawarto je w Wielki Piątek 10 kwietnia 1998 r.

Sukces w ostatnich wyborach Sinn Féin zawdzięcza jednak temu, że skoncentrowała kampanię wokół zwykłych ludzkich spraw, takich jak wzrost kosztów utrzymania. „Ludzie, gdy budzą się rano, nie zaczynają od myśli o zjednoczeniu Irlandii” – tak to lapidarnie ujęła Michelle O'Neill, dziś kandydatka na premiera. Przyszło to partii tym łatwiej, że od zawsze deklarowała się jako ugrupowanie lewicowe, co widać było jak na dłoni w jej siedzibie w Belfaście. Budynek pełen był ludzi, którzy przychodzili po pomoc w różnych życiowych sprawach, na kursy języka irlandzkiego czy choćby po to, by pobyć razem. Sinn Féin umiała skupić ulsterskich katolików.

To nie znaczy, że zjednoczenie zniknęło z pola widzenia. Mary Lou McDonald, przewodnicząca partii, chciałaby, by referendum w tej sprawie mogło się odbyć w ciągu najbliższych dziesięciu, może nawet pięciu lat. Nie zależy to jednak ani od Sinn Féin, ani od żadnej innej irlandzkiej partii, lecz od rządu w Londynie. Decyzja spoczywa w rękach ministra ds. Irlandii Północnej, który może ogłosić referendum, gdy uzna, że „istnieje większość”, która może pragnąć zmiany przynależności państwowej prowincji. Skąd minister ma wiedzieć, że tak właśnie jest? Porozumienie o tym nie mówi, dlatego kwestią tą zajęli się naukowcy z University College London. Sporządzone przez nich 259-stronicowe opracowanie mówi, że da się to ocenić na podstawie wielu elementów, takich jak wyniki wyborów, badania opinii publicznej i dynamika zmian demograficznych. Pewnej dowolności w ocenie nie da się jednak wyeliminować.

Zmiany demograficzne zawsze uchodziły za aspekt kluczowy. Gdy 101 lat temu powstawała Irlandia Północna, dwie trzecie jej mieszkańców stanowili protestanci; dlatego zresztą wydzielono ją z katolickiej Irlandii. Od tego czasu jednak proporcje ludnościowe zmieniały się stopniowo na korzyść katolików. Najbliższy spis powszechny po raz pierwszy może pokazać, że stanowią większość. Brama do zmian zostanie wówczas uchylona – stabilność Ulsteru jednak po raz kolejny może stanąć pod znakiem zapytania.



Maria Kądziańska

Japończycy zamarli w szoku, pełni żalu i niedowierzania po tym, jak były premier Shinzō Abe – jeden z najważniejszych przywódców w powojennej historii kraju – zmarł po postrzeleniu przez zamachowca w mieście Nara

Były premier wygłaszał mowę w ramach kampanii wyborczej przed stacją Yamato Saidaiji w małym mieście Nara. Około godz. 11.30 strzelił do niego mężczyzna. Atak został uchwycony na nagraniu wideo, na którym wyraźnie słychać dwa oddane strzały. Były premier był już nieprzytomny, kiedy został przetransportowany helikopterem medycznym do Szpitala Uniwersyteckiego w mieście Kashihara. 8 lipca po południu stwierdzono jego zgon.

Zabójstwo Abe zaledwie dwa dni przed wyborami do Izby Wyższej wstrząsnęło narodem, a politycy wszystkich opcji potępił atak jako obrazę demokracji.

– Jestem głęboko zasmucony i nie mogę znaleźć odpowiednich słów – powiedział premier Fumio Kishida. – Straciliśmy wielkiego przywódcę, który kochał naród, patrzył w przyszłość i dokonał wielkich osiągnięć w różnych dziedzinach dla dobra Japonii – mówił. Zamach przyczynił się do zwycięstwa koalicji rządzącej pod wodzą Kishidy, która w niedzielnych wyborach zdobyła zdecydowaną większość miejsc w parlamencie i może mieć wystarczającą liczbę głosów, by doprowadzić do zmian konstytucyjnych.

Motywy morderstwa nie są jasne. Policja ujęła podejrzanego o zamach 41-letniego Tetsuyę Yamagamiego. Przyznał się do popełnienia zarzucanego mu czynu. Dlaczego strzelił? Jedna z teorii mówi, że jest on przeciwnikiem Federacji Rodzin na rzecz Pokoju i Zjednoczenia Świata, znanej powszechnie jako Kościół Zjednoczeniowy lub sekta Moona. Został on założony w 1954 r. w Korei przez Sun Myung Moona, któremu w 1935 r. miał się ukazać Jezus. Grupa jednak nie została uznana przez żaden z Kościołów chrześcijańskich. Członkiem tego ruchu jest matka zamachowca, która miała przekazać na jego rzecz ogromną darowiznę, co stało się

Zranione serce Japonii

powodem jej bankructwa. – Uważam, że były premier Nobusuke Kishi przyczynił się do ekspansji grupy, i pomyślałem o zabiciu jego wnuka, byłego premiera Abe – miał powiedzieć zamachowiec policji podczas przesłuchań. Jednakże powiązania samego Abe z sektą Moona są znikome i oparte wyłącznie na jednym wystąpieniu z 2021 r., podczas którego były premier chwalił działania tej organizacji na rzecz pokoju na Półwyspie Koreańskim.

DZIEDZICTWO ABE

Abe był kimś w rodzaju ojca chrześnego nowoczesnej Japonii. To najdłużej urzędujący premier w historii tego kraju. Po raz pierwszy pełnił tę funkcję w latach 2006–2007, a następnie 2012–2020. Podczas drugiej kadencji przywrócił stabilność japońskiej polityce – po okresie, gdy kraj był krytykowany za „obrotowe drzwi” premierów, w których przywódca narodu zmieniał się co roku. Okres jego rządów przyniósł Japonii bezpieczeństwo, umocnił jej pozycję na arenie międzynarodowej i zacieśnił relacje ze Stanami Zjednoczonymi. Polityk dążył do ułożenia współpracy z Waszyngtonem za zasadach partnerskich.

Shinzo Abe jest z pewnością najbardziej znany ze swoich reform ekonomicznych, które zyskały nazwę abenomiki. Kiedy wrócił do władzy po raz drugi, próbował wyprowadzić gospodarkę krajową ze spirali deflacyjnej za pomocą tzw. trzech strzał. Polegały one na poluzowaniu polityki pieniężnej poprzez wprowadzenie ujemnych stóp procentowych oraz na masowych i regularnych zakupach długu korporacyjnego, a nawet akcji (znanych pod nazwą „quantitative easing”, czyli poluzowania ilościowego), a także na wprowadzeniu dużych wydatków fiskalnych, które spowodowały wzrost długu publicznego do 240 proc. PKB, co jest jednym z najwyższych wskaźników na świecie. Trzecią strzałą stały się reformy strukturalne, takie jak obniżenie podatków, aktywizacja akcjonariuszy i równouprawnienie płci. Wciąż trudno w pełni ocenić, czy były skuteczne, ale nie ulega wątpliwości, że wywarły duży wpływ na myślenie ekonomistów i decydentów oraz pomogły w legitymizacji metody luzowania ilościowego na całym świecie.

Abe stał się także propagatorem niezależności militarnej Japonii. Był zdeterminowany, aby budować bezpieczeństwo



Shinzō Abe miał 67 lat

FOT. SAM PANTHAKY/AFP/EAST NEWS

kraju poprzez zwiększenie budżetu na obronę, który obecnie jest siódmym co do wielkości na świecie. Chciał udowodnić USA, że Japonia może być rzeczywistym sojusznikiem w ewentualnej wojnie. Jego wizyta w 2013 r. w sanktuarium wojennym Yasukuni, które zdaniem krytyków jest fundamentalnie związane z japońskim militarystycznym, odbiła się szerokim echem w całej Azji, a zwłaszcza w Pekinie.

Reformy dotyczące obronności wymagały jednak zmian konstytucyjnych. Były premier wielokrotnie próbował – z ograniczonym powodzeniem – zrewidować artykuł 9 pacyfistycznej japońskiej konstytucji, który ogranicza japońskie wojsko nazywane „siłami samoobrony” przed zwiększeniem jego możliwości. Abe był przekonany, że w sytuacji przetarasowania geopolitycznych na arenie międzynarodowej Japonia musi posiadać pełen zestaw opcji rozwoju militarnego, aby uczestniczyć jako aktywny gracz w utrzymaniu globalnego bezpieczeństwa.

Paradoksalnie ta sytuacja może się obecnie zmienić, gdyż po zamachu i wyborczym sukcesie premier Fumio Kishida zadeklarował zajęcie się tym tematem w celu oddania hołdu Abe.

W kampanii wyborczej polityk nie czynił z tej kwestii priorytetu, jednak teraz oświadczył, że temat będzie jak najszybciej poddany rewizji. Opowiedział się również za wzmocnieniem uprawnień rządu w sytuacjach kryzysowych, takich jak duże trzęsienia ziemi. – Myślę, że to są pilne sprawy – powiedział Kishida w wywiadzie dla japońskiej państwowej telewizji. – Chcę skoncentrować wysiłki na jak najszybszym złożeniu konkretnej propozycji – podkreślił.

Możemy zatem doczekać się czasów, kiedy Japonia pierwszy raz po zakończeniu drugiej wojny światowej stanie się potęgą militarną – jej sytuacja ekonomiczna i zdolności technologiczne w pełni na to pozwalają.

KOALICJA ANTYCHIŃSKA

W dobie rosnącej asertywności militarnej i gospodarczej Chin Abe był powszechnie uznawany za kluczowego architekta „Czwórki” – ugrupowania bezpieczeństwa obejmującego Japonię, USA, Australię i Indie. W efekcie od 2007 r. koalicja pod nazwą Quad wspólnie odbywa szkolenia i ćwiczenia wojskowe oraz koordynuje politykę obronną.

Abe był także zwolennikiem kształtowania polityki bezpieczeństwa w regionie Indo-Pacyfiku. Gwałtownie zwiększył zaangażowanie Japonii w sprawy Tajwanu oraz stał się propagatorem dyplomacji opartej na wartościach, promującej demokrację, prawa człowieka i rządy prawa. Uznaje się go za jednego z pierwszych polityków na świecie, który zrozumiał niebezpieczeństwo, które stanowią rosnące ambicje Chin oraz konieczność zjednoczenia państw w regionie w celu zahamowania chińskiej ekspansji. Z pewnością jego postawa miała ogromny wpływ na decyzje podejmowane w czasie prezydentury Donalda Trumpa i rozpoczęcie amerykańsko-chińskiej wojny handlowej.

Nic dziwnego, że duża część chińskiej opinii publicznej, w szczególności frakcja nacjonalistyczna, przyjęła wiadomość o śmierci Shinzō Abe z obojętnością, a w niektórych przypadkach nawet z drwinami. W Chinach japoński przywódca był postrzegany jako prawicowy polityk, który zamierzał przywrócić militarystkę swojego kraju poprzez zmianę jego konstytucji. Władze w Pekinie wyraziły swoje oburzenie po tym, jak wiceprezydent Tajwanu – William Lai – uczestniczył 12 lipca w pogrzebie byłego premiera Japonii.

Przywódcy pozostałych państw Quadu w geście solidarności opublikowali wspólne oświadczenie, oddające hołd zmarłemu politykowi. Premier Indii Narendra Modi, prezydent USA Joe Biden i premier Australii Anthony Albanese zadeklarowali podwojenie wysiłków wkładanych w utrzymanie i rozwój koalicji, a także zabezpieczenie wolnego i otwartego Indo-Pacyfiku.

Shinzō Abe miał 67 lat. W dobie światowych rządów gerontów (Joe Biden ma 79 lat, Narendra Modi – 71, a Xi Jinping – 69) był stosunkowo młodym politykiem, który mógł odegrać jeszcze znaczącą rolę w geopolitycznym rozwoju sytuacji w regionie. Miał wizję uczynienia z Japonii lidera azjatyckiej niezależności wobec Chin w sytuacji, kiedy inne państwa w regionie coraz silniej poddają się ekonomicznej dominacji Pekinu. Azja, stojąc przed tak wielkimi wyzwaniami, które mogą zmienić losy świata, potrzebuje polityków formatu Shinzō Abe, który od czasu śmierci singapurskiego przywódcy Lee Kuan Yewa budził największą szacunek i uznania zarówno na Zachodzie, jak i na Wschodzie.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Z Januszem Kowalskim, posłem Solidarnej Polski
rozmawia Ryszard Gromadzki

Kosztowne błędy Polski

RYSZARD GROMADZKI: Rząd przyjął projekt ustawy, która ma wzmocnić bezpieczeństwo gazowe państwa. Przewiduje on m.in. zwiększenie możliwości magazynowania gazu w kraju i przedłużenie ochrony taryfowej do końca 2027 r. To wystarczy, żeby Polska była realnie zabezpieczona przed niedoborami gazu?

JANUSZ KOWALSKI: Zanim odpowiem na to pytanie, pozwolę sobie wcześniej nakreślić tło sytuacji. W Unii Europejskiej obserwujemy dziś bankructwo polityki Green Deal, która w grudniu 2019 r., po przyjęciu przez Radę Europejską, stała się również filarem polityki budżetowej Unii Europejskiej w latach 2021–2027. Green Deal był oparty na trzech filarach. Pierwszym był gaz ziemny jako koncepcja tzw. paliwa przejściowego. Niemcy chcieli sprzedawać „krwawy gaz” od Władimira Putina z Nord Stream z „uniijną etykietką” innym państwom Unii Europejskiej, w tym Polsce. Miało to wzmacniać, kosztować Polski, Ukrainy i Białorusi, pozycję eksportową Niemiec, które miały stać się ogólnoeuropejskim hubem handlu gazem ziemnym. Drugim filarem Green Deal było wsparcie technologii OZE. Cała ta tzw. zielona transformacja ma służyć przede wszystkim Niemcom, żeby sprzedawały

takim państwom jak Polska swoje zielone technologie. Cała ta egoistyczna polityka była oparta na założeniu, że konkurencyjność niemieckiej gospodarki może bazować na tanim rosyjskim gazie. Powołując się na Green Deal, Unia Europejska wymusiła na Polsce zamknięcie naszych kopalni. Kryzys cen gazu wywołany przez Putina w 2021 r. nie spowodował oczywiście żadnej reakcji Unii Europejskiej. Frans Timmermans stawał murem za Moskwą i Gazpromem. To wszystko nie dziwi, bo Komisja Europejska od ponad dekady realizuje politykę progazpromowską, której matką chrzestną jest protektorka Donalda Tuska Angela Merkel. Bruksela nie nakładała nigdy żadnych poważnych kar na Gazprom, dlatego że Ursula von der Leyen była prawą ręką Angeli Merkel w jej gabinecie.

Architektki tej polityki...

Dokładnie. Von der Leyen w latach 2013–2019 jako minister obrony w rządzie Merkel realizowała proputinowską politykę. W ramach deputinizacji obecna szefowa KE powinna zostać wyrzucona w pierwszej kolejności. Ale to jedna strona

medalu. Druga jest taka, że Polska byłaby bezpieczna na rynku energetycznym, gdyby sama nie popełniła bardzo kosztownych błędów. To, że dzisiaj musimy obserwować sytuację na rynku niemieckim, a ściślej – obserwować, czy Rosja nie odetnie gazu gospodarce niemieckiej uzależnionej od niego w 40 proc., wynika z naszych błędów i braku właściwego nadzoru. Cała istota dywersyfikacji rozpoczętej przez panią premier Beatę Szydło w 2015 r. i wspieranej przez pana prezydenta Andrzeja Dudę opierała się na tym, że Polska miała całkowicie uniezależnić się od dostaw gazu nie tylko z kierunku wschodniego, lecz także z zachodniego i południowego. Wszędzie tam jest gaz rosyjski, zarówno w Niemczech, jak i w Czechach czy na Słowacji. Przecież właśnie w tym celu Niemcy budowali Nord Stream 1, Nord Stream 2 i biegnący wzdłuż naszej zachodniej granicy gazociąg OPAL.

O jakich błędach pan mówi?

Polska popełniła grzech zaniechania. Przez ostatnich siedem lat nie została wybudowana odpowiednia infrastruktura, dająca Polsce bezpieczeństwo



FOT. ADRIAN STOK

2022 r. Niestety, mamy tu roczne opóźnienie. Rozbudowa gazoportu zakończy się dopiero w 2023 r. W efekcie tej zimy w bilansie będzie nam bardzo brakować tych 3 mld m sześć. gazu ze Świnoujścia. Nie musielibyśmy wtedy oglądać się na rynek niemiecki, gdzie dominuje gaz rosyjski, dla niepoznaki nazywany przez niektórych „gazem z giełdy”.

I trzeci projekt, który w ogóle nie ruszył – to jest największe zaniechanie. Od początku było wiadomo, że potrzebny jest drugi, pływający terminal LNG w Zatoce Puckiej jako tzw. backup dla Baltic Pipe, bo przecież ta magistrala mogła nie powstać, jej budowa mogła zostać zablokowana albo zostać opóźniona. Niestety, przez siedem lat w sprawie pływającego terminalu gazowego nie zrobiliśmy nic. Gdyby udało się rozbudować moce gazoportu w Świnoujściu i uruchomić pływający terminal LNG (tzw. FSRU) w Zatoce Puckiej, byłibyśmy dziś całkowicie bezpieczni.

Obecnie z niepokojem patrzymy na to, co dzieje się na rynku niemieckim, bo brak gazu na rynku niemieckim w sytuacji trudnej zimy oznacza, że PGNiG nie będzie mógł kupić gazu z kierunku zachodniego. Niemcy będą musieli uzupełnić swoje niedobory gazu. Ich magazyny wypełnione są w zaledwie 60 proc. Powtórzę: trzeba to powiedzieć jasno, że bezpośrednią przyczyną potencjalnego kryzysu dotyczącego braku gazu ziemnego w Polsce dla części przemysłu jest opóźnienie rozbudowy gazoportu w Świnoujściu i zaniechanie budowy terminala FRSU w Gdańsku.

Co spowodowało to zaniechanie?

To jest pytanie do pana premiera o nadzór nad harmonogramem realizacji strategicznych inwestycji. Moim zdaniem cała strategia bezpieczeństwa energetycznego powinna być budowana w oparciu o to, żeby przede wszystkim opierać się na własnych zasobach i nie zwiększać uzależnienia od importowanego surowca, którym jest gaz ziemny. Niestety, cała „Polityka energetyczna Polski do roku 2040”, z lutego 2021 r., której autorem jest, na szczęście odwołany już, Michał Kurtyka, nastawiona jest na przedstawienie zgodnie z niemieckimi interesami polskiej gospodarki na gaz ziemny. A to jest prezent dla Władimira Putina. Cały czas obowiązują projekcje zużycia gazu Gaz-System SA, które są wielkim zagrożeniem dla Polski, które w istocie wskazują, że w 2040 r. Polska ma być

uzależniona od 37–40 mld m sześć. gazu. To gigantyczny błąd. W tej sprawie w 100 proc. Solidarna Polska miała rację, przestrzegając przed stawianiem na gaz ziemny i walką z polskim węglem.

Teraz wykorzystujemy od 21 do 22 mld m sześć. rocznie...

Polityka Michała Kurtyki wpędziła Polskę w ogromne problemy. Uważam, że Michał Kurtyka powinien ponieść za to odpowiedzialność, ponieważ realizował bezkrytycznie unijną politykę progazpromowską w ramach Green Deal, przestawiał Polskę z węgla na gaz bez żadnych wyliczeń. Mówię szczególnie o decyzji z grudnia 2020 r. o podwyższeniu bez żadnych wyliczeń celu redukcji CO₂ z 40 proc. do 55 proc. do 2030 r. Kurtyka naprawdę uwierzył, że zostanie szefem OECD, jeżeli będzie się przymilał eurokratom w forsowaniu niemieckiego modelu transformacji w Polsce. Przeciwno temu zawsze głosiła Solidarna Polska. Ja za to 19 lutego 2021 r. straciłem stanowisko w rządzie po spotkaniu ze związkowcami w Bogatyni, z którymi rozmawiałem o wsparciu dla polskiego rządu w reformie unijnego systemu handlu emisjami. System EU ETS to największy dziś podatek nakładany na ceny ciepła i energii w Polsce. Polska tylko w tym roku ze względu na deficyt uprawnień CO₂ straci per saldo ponad 20 mld zł. My rozmawiamy o KPO, to jest ok. 100 mld zł, jeśli chodzi o dotacje bezzwrotne, które musimy w całości zwrócić do 2058 r., chociaż nazwa jest myląca. Tylko w tym roku polska gospodarka z tytułu EU ETS straci ponad 20 mld zł. Z powodu braku reformy unijnego systemu handlu emisjami! Czyli w ciągu czterech lat stracimy równowartość KPO z powodu tego, że Polsce zabrakło asertywności i w latach 2019–2020 przyjęła ona agresywnie progazowy model transformacji energetycznej. Autorskie decyzje premiera na szczytach Rady Europejskiej w latach 2019–2020 okazały się błędne. Wtedy należało stawiać weta w sprawach progazowej polityki klimatycznej UE, twardo bronić konkurencyjności polskiej gospodarki.

Chce pan powiedzieć, że to premier ponosi odpowiedzialność za wysokie ceny energii i ciepła?

Dzisiejsze ceny energii i ciepła są pokłosiem trzech decyzji Rady Europejskiej z grudnia 2019 r. (przyjęcie Green Deal), lipca 2020 r. (wpisanie Green Deal w ramy budżetowe UE na lata 2021–2027

w sytuacji kryzysu, z którym mamy do czynienia obecnie. W 2015 r. mieliśmy pełną świadomość, że w 2022 r. musimy być całkowicie gotowi z infrastrukturą na kierunku północnym, ponieważ kontrakt gazowy z Rosjanami miał skończyć się 31 grudnia tego roku. Jak wiemy, wskutek napaści Rosji na Ukrainę 24 lutego skończył się wcześniej.

Ale przecież przed końcem obecnego roku ma ruszyć gazociąg Baltic Pipe. Mamy gazoport w Świnoujściu, zasoby własne. To nie wystarczy, żeby wypełnić lukę po rosyjskim gazie?

Nie. Trzeba jasno powiedzieć, że z trzech postawionych zadań zrealizowano tylko jedno. Jeżeli chodzi o Baltic Pipe, to rzeczywiście zostało zrealizowane. To jest sukces. Teraz chodzi o to, żeby można było norweskim korytarzem tłoczyć do Polski 8 mld m sześć. gazu. To już sprawa PGNiG.

Były jednak jeszcze dwa inne strategiczne zadania do zrealizowania. Do 2022 r. przepustowość gazoportu w Świnoujściu miała zostać zwiększona z 5 do 8 mld m sześć. Możliwością odbioru takiej ilości gazu skroplonego powinien dysponować świnoujski gazoport na 31 grudnia

■ i w ramy mechanizmu Next Generation) i grudnia 2020 r. (zaostreżenie ideologiczne redukcji CO₂). W lipcu 2020 r., kiedy miał miejsce spór z Solidarną Polską w ramach koalicji, żądaliśmy użycia najmocniejszego instrumentu, który mieliśmy do dyspozycji, czyli weta. Mówiłem wtedy: weto albo śmierć. I właśnie widzimy wywołany brakiem weta kryzys gazowy, który rozszerza skalę ubóstwa w Polsce. Wtedy mogliśmy wywalczyć reformę EU ETS i dzisiejszych podwyżek ciepła i energii produkowanych z węgla nie byłoby. Trzeba było wstać od stołu i powiedzieć: „Nie ma zgody na łupienie Polski podatkiem klimatycznym i nie ma zgody na likwidację polskiego górnictwa”. Czas pokazał, że to Solidarna Polska w 100 proc. niestety miała rację.

Polskiego weta nie było...

Nie dość, że nie było żadnego weta, to Polska nie przedstawiała żadnego planu na własną ścieżkę transformacji energetycznej. Jako Solidarna Polska żądaliśmy wtedy jednej rzeczy, skoro już zgodziliśmy się na ten błędny Green Deal, czyli wynegocjowania całkowitego odejścia Polski od unijnego systemu handlu emisjami CO₂ – po to, żeby te miliardy złotych, z tytułu tego szkodliwego paropodatku, zostawały w Polsce na budowę np. elektrowni jądrowych. Drugą fatalną decyzją było podwyższenie w grudniu 2020 r. celu redukcji CO₂ do pułapu 55 proc., bez zgody Rady Ministrów, bez zgody PiS i Solidarnej Polski. W efekcie w 2021 r. ceny uprawnień wzrosły z 25 euro za tonę do 80 euro. Dziś te ceny powodują, że Polska jest w ogromnym kryzysie, jeśli chodzi o ceny ciepła i energii elektrycznej. To były złe decyzje. Trzeba to powiedzieć głośno. Najgorszą rzeczą jest oszukiwanie samych siebie. W następstwie złych decyzji z lat 2019–2020 wydobywaliśmy mniej węgla, inwestowaliśmy w gaz, czyli surowiec zewnętrzny. Nie została przypilnowana rozbudowa gazoportu ani terminala LNG w Gdańsku. A do tego doszło opodatkowanie węgla wykorzystywanego do produkcji energii elektrycznej uprawnieniami do emisji CO₂.

Czy wobec destrukcyjnych skutków tych decyzji dla polskiej gospodarki nie powinniśmy się z nich nieodstrotnie wycofać?

Jeżeli rząd premiera Morawieckiego nie odrzuci polityki klimatycznej i nie wycofa się ze swoich błędnych decyzji z lat 2019 i 2020, to jest jasne, że Polacy w 2023 r. nie wytrzymają podwyżek rze-

du 200–300 proc. za energię elektryczną i ciepło. W mojej ocenie bez cofnięcia tych decyzji, bez radykalnego odejścia od unijnej polityki klimatycznej, Polska na stałe straci konkurencyjność gospodarczą i suwerenność energetyczną. Polacy wyjdą na ulice, przedsiębiorstwa będą upadać, przemysł energochłonny będzie się zwijsać. Naprawdę tego chcemy?

Jakie będą polityczne konsekwencje tych decyzji dla obozu władzy?

Nie mam żadnych wątpliwości, że skutki tych decyzji uderzą w elektorat Prawa i Sprawiedliwości oraz Solidarnej Polski. W miliony polskich rodzin. Już ponad rok temu mówiłem, że prawica przegra wybory przez ceny węgla i energii. Nie zmieniam zdania ani o jotę. To ostatni moment, żeby temu zapobiec. Tymczasem polityka progazpromowska, która była realizowana w Polsce od 2019 r., sprawiła, że cena tony węgla w Polsce przekroczyła 3 tys. zł. Węgla w Polsce brak. Nie wydobywamy własnego węgla, bo przedstawialiśmy się od grudnia 2019 r. na gaz ziemny w ramach realizacji niemieckiego Green Deal.

Czy jesteśmy jeszcze w stanie odwrócić skutki tych decyzji?

Tak, jesteśmy. Potrzebna jest silna wola polityczna. Powtórzę: jeśli nie odwrócimy tych skutków, to stracimy konkurencyjność gospodarczą i suwerenność energetyczną. Na szali są bezpieczeństwo i suwerenność Polski. Całkowite odejście od unijnego systemu handlu emisjami CO₂ obniżyłoby cenę energii. Skierowanie inwestycji na węgiel, zamiast na gaz, sprawiłoby, że zaczęlibyśmy w końcu węgiel w Polsce wydobywać, a nie sprowadzać go z Kolumbii. Jeżeli chcemy wygrać wybory w 2023 r. i nie doprowadzić do tego, żeby skrajnie proniemiecki Donald Tusk wrócił do władzy, to błędne decyzje, które wpisywały się w politykę Angeli Merkel, muszą zostać cofnięte. Tylko odejście od tego modelu zagwarantuje Polsce bezpieczeństwo i suwerenność energetyczną.

Rząd zjednoczonej prawicy jest w stanie zdobyć się na takie „szarpnięcie cugłami”?

Jeśli tego nie zrobi, to prawica przegra wybory. Nie mam wątpliwości, że przez wysokie ceny węgla i energii, które uderzają w nasz elektorat, a więc wieś i małe miasta, przegramy wybory przez skutki nieodwrócenia decyzji z lat 2019–2020.

Nie odgrywa się pan na politycznych oponentach?

W 2019 r. nie obiecywaliśmy likwidacji kopalni, nie obiecywaliśmy przestawienia gospodarki na gaz ziemny, nie obiecywaliśmy podwyżek cen energii o 200–300 proc. w perspektywie najbliższych lat. Nie obiecywaliśmy utraty kilkudziesięciu miliardów złotych rocznie z tytułu unijnego systemu handlu emisjami. Ostatnio premier zaczyna mówić moimi argumentami. Mówi o potrzebie reformy unijnego systemu handlu emisjami, o powrocie do węgla. Jestem z tego bardzo zadowolony, cieszę się z tego. To dobrze, że premier zmienia zdanie. Może liczyć w tej sprawie na moje i całej Solidarnej Polski wsparcie. Ale potrzebne są czyny i słowa. Potrzebne są twarda polityka i podjęcie odpowiednich decyzji. Cofnięcie decyzji na polu unijnym jest niezbędne. Nawet Frans Timmermans boi się, że miliony mieszkańców UE wyjdą na ulice.

Brzmi dobrze, ale polska polityka wobec Unii jest bardzo niekonsekwentna.

Niewycofanie się z decyzji z lat 2019 i 2020 będzie oznaczało oddanie władzy Donaldowi Tuskowi, który skorzysta na tym, że ceny energii i ciepła w Polsce wzrosną o kilkaset procent tej zimy.

Żeby uniknąć scenariusza, o którym pan mówi, te decyzje musiałyby zostać uchylone natychmiast...

Już, natychmiast, wczoraj. Kompletnie nie rozumiem, w jaki sposób możemy dalej realizować niemiecką politykę, proponując liberalizację tzw. ustawy wiatrakowej 10H, która jest niczym innym, jak wzmacnianiem drugiego filaru Green Deal, czyli niemieckiego sektora OZE. Za tą ustawą stoją niemieckie lobby wiatrakowe, postkomuniści oraz całe PO i PSL. Jako przedstawiciel Zjednoczonej Prawicy nie godzę się na to, żeby Polska traciła z powodu politycznej naiwności. Każdy polityk, jeśli popełni błąd, musi umieć się do niego przyznać. Jeśli tego nie potrafi, to powinien zrezygnować. Trzeba zrobić wszystko, aby Donaldowi Tuskowi nie oddać władzy. Oczekuję od rządu skuteczności, że będzie asertywny w obronie interesów Polski. © Wszelkie prawa zastrzeżone



Janusz Kowalski

– poseł Solidarnej Polski, w latach 2019–2021 wiceminister aktywów państwowych.

OKO



na niedzielę
nowy program
w Telewizji Republika

sobota
premiera

21:50

niedziela
powtórka

14:50

zaprasza

ks. prof. Dariusz Oko



RepublikaTV



@RepublikaTV



Telewizja Republika



@RepublikaTV

Telewizję Republika odbierać można drogą satelitarną oraz w internecie na stronie www.tvrepublika.pl.

Zbrojenia na finansowy rekord



Jakub Wozinski

Obecny rok będzie rekordowy pod względem wydatków na obronność nie tylko w Polsce, lecz także na całym świecie. Kto najbardziej zarobi na wielkich zakupach zbrojeniowych?

Rok temu po raz pierwszy w dziejach na wojsko wydanych zostało globalnie więcej niż 2 bln dol., choć przecież Rosja nie przystąpiła jeszcze wtedy do nowego ataku na Ukrainę. Już pierwsza rosyjska agresja z 2014 r. zapoczątkowała wzrostowy trend, a tegoroczna sprawiła, że zwiększone wydatki na obronność stały się jednym z priorytetów nawet w krajach, które nie graniczą bezpośrednio z Rosją. Kraje NATO nagle przypomniały sobie o zobowiązaniu do przeznaczania na armię co najmniej 2 proc. PKB i w tym roku spełni je aż dziewięć krajów członkowskich. Na ostatnim szczycie NATO w Madrycie postanowiono o zwiększeniu liczebności sił szybkiego reagowania wschodniej flanki z obecnych 40 tys. żołnierzy do 300 tys. Aby temu sprostać, konieczne będą jeszcze większe wydatki, które po latach marazmu wreszcie stają się faktem. Same tylko Niemcy uchwałyły w marcu dodatkowe 100 mld euro na modernizację i rozwój swojej armii.

SETKI MILIARDÓW NA STOLE

Polska od lat zaliczała się do ścisłej czołówki sojuszu pod względem środków przeznaczanych na obronność, lecz w ciągu ostatnich miesięcy przechodzi samą siebie. Biorąc pod uwagę wielkość wydatków w stosunku do PKB, więcej na wojsko wydają jedynie Stany Zjednoczone i Grecja. Plan modernizacji polskiej armii przyjęty na lata 2021–2035 zakłada

wydatki aż 524 mld zł, a docelowo na armię państwo ma przeznaczać aż 3 proc. PKB (w tym roku 2,42 proc.). Aby sprostać temu zadaniu, powołano obsługiwany przez Bank Gospodarstwa Krajowego specjalny Fundusz Wsparcia Sił Zbrojnych, który będzie m.in. emitował własne obligacje. Dzięki temu dodatkowe wydatki na armię nie będą także brane pod uwagę przy obliczaniu konstytucyjnego limitu zadłużenia.

Zakupy dokonywane przez Ministerstwo Obrony Narodowej już teraz są imponujące, podobnie jak imponujące są przedstawiane przez nie plany. Na ich podstawie można już określić, kto najwięcej zarobi na rozbudowie i modernizacji polskiej armii. Bodajże najbardziej kosztowny zakup to system obrony powietrznej bazujący na wyrzutniach Patriot, którego koszt szacowany jest na 60 mld zł. Ich producentem jest druga największa na świecie firma zbrojeniowa Raytheon Technologies. Drugi pod względem wielkości zakup na liście to eksponowane ostatnio przez prezesa Kaczyńskiego w czasie konwencji PiS w Białymstoku zestawy wyrzutni

Zakupy dokonywane przez Ministerstwo Obrony Narodowej już teraz są imponujące, podobnie jak imponujące są przedstawiane przez nie plany

rakietowych HIMARS produkowane przez światowego lidera w zakresie produkcji uzbrojenia, czyli Lockheed Martin. Gdyby do skutku miał dojść zakup aż 500 sztuk, przeznaczyc na ten cel trzeba byłoby co najmniej 45 mld zł. Kolejny na liście wielki kontrakt to produkowane również przez Lockheed Martin 32 myśliwce F-35, które mają trafić do Polski za dwa lata. Ich koszt to ok. 20 mld zł. Jeśli dodatkowo uwzględnimy kontrakt na 250 czołgów Abrams na ok. 4,7 mld dol. podpisany z firmą General Dynamics, to wnioski nasuwają się same. Nawet uwzględniając opiewający na 8,2 mld zł kontrakt na 32 śmigłowce AW149, budowane przez PZL-Świdnik, czy też wart 8 mld zł kontrakt na trzy fregaty Miecznik realizowany przez Polską Grupę Zbrojeniową we współpracy z Brytyjczykami, bezsprzecznie najwięcej pieniędzy zostanie wydanych w Stanach Zjednoczonych.

POLSKA ZBROJENIÓWKA LICZY NA ZYSKI

Wielkie zakupy dokonywane w USA nie powinny z jednej strony dziwić, gdyż kraj ten od lat jest głównym eksporterem nowoczesnego uzbrojenia, a jednocześnie najważniejszym sojusznikiem Polski w kontekście zagrożenia ze strony Rosji. Pięć największych firm zbrojeniowych Stanów Zjednoczonych to jednocześnie pięć największych firm zbrojeniowych na świecie. Ogromny wzrost nakładów na obronność powinien jednak posłużyć jako okazja do wzmocnienia rodzimego przemysłu obronnego.

Liderem polskiego sektora obronnego jest bezapelacyjnie Polska Grupa Zbrojeniowa (PGZ), która jako jedyna od kilku lat mieści się w zestawieniu 100 największych firm zbrojeniowych świata (obecnie zajmuje 69. pozycję). Jej roczne





mogłaby nawet
zać współpracę ze
swoim ogarniętym wojną
sąsiadem, szczególnie w zakresie
produkcji lotniczej.

Wspólne przedsięwzięcie z Ukrainą może mieć sens biznesowy o tyle, że w najbliższych latach będzie ona dysponowała znacznymi kwotami przekazywanymi jej przez USA. Według danych amerykańskiego Departamentu Obrony od momentu wybuchu wojny wartość amerykańskiej pomocy dla naszego sąsiada wyniosła już 6 mld dol., a łącznie amerykański Senat wyraził zgodę na przekazanie aż 40 mld dol., z czego ponad

przychody wynosiły dotąd ok. 5–6 mld zł, lecz mają szansę znacząco wzrosnąć m.in. za sprawą bardzo sprawdzających się na Ukrainie przenośnych zestawów przeciwlotniczych Piorun oraz karabinków Grot. Pioruny zyskały tak spore uznanie, że zostały nawet zamówione przez Amerykanów. Wielkie nadzieje związane są także z bojowym wozem piechoty Borsuk, którego wielkość produkcji ma wynieść 100 sztuk rocznie (docelowo może ich powstać nawet tysiąc).

Oprócz zamówień realizowanych przez PGZ godny odnotowania jest niestety wart jedynie 2 mld zł kontrakt na drony Gladius produkowane przez firmę WB Electronics z Ożarowa pod Warszawą. Poza tym największe szanse na wykorzystanie wielkiego deszczu pieniędzy przeznaczanych na obronność mają jedynie mniejsze firmy obsługujące armię w innych obszarach (m.in. dostarczające hełmy, obuwie, mundury, oprogramowanie). Wartość tego rodzaju kontraktów jest jednak nieporównanie mniejsza i nie decyduje o losach krajowego przemysłu zbrojeniowego.

KIJÓW NA WIELKICH ZAKUPACH

Stosunkowo duże nadzieje w kontekście losów polskiej zbrojeniówki wiązać można natomiast z zamówieniami od Ukraińców. Rząd z dumą obwieszczał niedawno wart ok. 3 mld zł kontrakt na zakup produkowanych przez Hutę Stalowa Wola 50 armatohaubic Krab, określany mianem „kontraktu trzydziestolecia”. Umowa ta ma stanowić pierwszy etap długofalowej współpracy, której fundamentem ma być wspólne polsko-ukraińskie przedsiębiorstwo wojskowe. Podpisane na początku czerwca memorandum w tej sprawie przewiduje, że Polska

**Pragnąc zapewnić Polsce
bezpieczeństwo, trzeba
budować fundamenty pod
możliwie jak największą
niezależność w zakresie
produkcji broni i amunicji**

31 mld ma zostać przeznaczonych na armię (dla porównania: polski budżet obronny w tym roku to ok. 12,5 mld dol.). Kijów będzie przeprowadzał w najbliższym czasie zakupy na ogromną skalę, dlatego warto wykorzystać tę sytuację do tego, aby możliwie jak najwięcej sprzętu zostało zakupionego w Polsce.

Nie ma się przy tym co łudzić, że Amerykanie nie będą naciskali na to, aby Ukraina najwięcej środków wydatkowała za oceanem (część pomocy jest przekazywana zresztą w formie uzbrojenia). Wybór amerykańskich dostawców w większości przypadków będzie oczywiście jak najbardziej zrozumiały, gdyż okazał się niezwykle przydatny na polu walki. Dotyczy to choćby wspólnego produktu amerykańskich gigantów Raytheon i Lockheed Martin, czyli wyrzutni rakiet

Javelin. Kosztujący ok. 178 tys. dol. sprzęt, który z wielkimi sukcesami niszczy rosyjskie czołgi, będzie trafiał nad Dniepr w tysiącach sztuk, jeszcze bardziej pompując zyski amerykańskich producentów.

OKAZJA DO ROZWOJU

Spółki produkujące uzbrojenie i sprzęt dla wojska niemal zastąpiły w ostatnich miesiącach „covidowe spółki” pod względem zainteresowania inwestorów na giełdzie. Na warszawskiej giełdzie wciąż jasno błyszczą gwiazda spółki Lubawa SA, produkującej hełmy i kamizelki. Na największych parkietach świata naprawdę wielkie pieniądze inwestowane są jednak w producentów myśliwców, rakiet, wyrzutni czy śmigłowców. W ubiegłym roku Lockheed Martin i Raytheon osiągnęły przychody na poziomie odpowiednio 67 i 64 mld dol., a obecny rok nie powinien być dla nich gorszy. Amerykańscy producenci sprzętu wojskowego z pewnością zyskają także na tym, że uznawana dotąd za dostawcę taniego i rzetelnego sprzętu wojskowego Rosja zalicza właśnie na Ukrainie wielką wizerunkową porażkę i straci zapewne znaczny udział w rynku.

Specyfika obecnej sytuacji polega na tym, że Polska została zmuszona do pospiesznego rozbudowania swojego potencjału militarnego, co w znacznej mierze uniemożliwia podejmowanie decyzji nastawionych na długofalowe wzmacnianie rodzimego przemysłu obronnego. Czołgi, wyrzutnie czy myśliwce potrzebne są właściwie od zaraz, dlatego bezprecedensowo wielkie pieniądze przeznaczone na armię tylko w ograniczonym stopniu przyczynią się do wzmocnienia potencjału polskiej zbrojeniówki.

W tym kontekście dobrze by się stało, aby możliwie jak najwięcej pieniędzy z zaplanowanych przez resort podległy ministrowi Błaszczakowi wielkich wydatków zostało przeznaczonych na rozwój i badania. Pragnąc zapewnić Polsce bezpieczeństwo, trzeba zawsze myśleć w dłuższej perspektywie i budować fundamenty pod możliwie jak największą niezależność w zakresie produkcji broni i amunicji. Praktycznie wszystkie liczące się armie świata opierają się na rodzimym przemysle zbrojeniowym i jeśli rząd ma naprawdę ambicję, aby uczynić polskie wojsko znaczącą siłą, nie może koncentrować się tylko na doraźnych zakupach i zwiększaniu liczebności armii.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Im szybciej,
tym lepiej?

Usłyszałem niedawno niedorzeczną opinię, że jeśli bankructwo Polski jest nieuchronne, a niestety coraz więcej na to wskazuje, to może lepiej, by do niego doszło jak najszybciej. A w każdym razie – wcześniej niż później. Po co bowiem męczyć się jeszcze długie lata, jeśliliby można to było załatwić w rok czy w dwa lata?

Jakoś bowiem – perorował mój rozmówca – nie mogę sobie przypomnieć przypadku, żeby jakiś naród – bez bankructwa własnego państwa albo naprawdę bardzo realnej jego groźby – nawet wobec niezwykle trudnej sytuacji finansów państwa, a po prostu w wyniku debaty publicznej, dał się przekonać liberałom gospodarczym, że drastyczne oszczędności są absolutnie niezbędne, by tego bankructwa uniknąć – i bez owej presji postępującego bankructwa państwa wybrał właśnie tę drogę, domagając się od rządu (tego lub tamtego) wprowadzenia owych koniecznych, drastycznych cięć wydatków publicznych.

A skoro tak – perswadował mój rozmówca – to może niech już dziś – z największą możliwą mocą, jeszcze większą niż obecnie – największa partia opozycyjna prześciga się z największą partią rządzącą w pomysłach na rozdawnictwo publicznych pieniędzy. Niech obie te główne partie,

jedna przez drugą, wymyślają – i realizują – podwyżkę pensji po podwyżce pensji dla budżetówki – a choćby i o 100 proc., powiększenie jednego zasiłku po drugim, jeden nowy zasiłek po drugim nowym zasiłku, 16. emeryturę w roku po 15., a zaraz potem 17. i 18. Niech natychmiast – jak grzybów po deszczu – przybywa programów wsparcia „wakacjami kredytowymi” Polaków zadłużonych w złotych, we frankach, w euro i w dolarach, a także niezliczonych dożywotnich etatów dla górników, kolejnych programów socjalnych dla rolników itd., itp.

I niech to wszystko – nie ustawał mój rozmówca – zamiast trwać – jak przy obecnym tempie rozdawnictwa publicznych pieniędzy i wyścigów w tymże rozdawnictwie – jeszcze np. pięć lat, tak przyspieszy, że doprowadzi do i tak nieuchronnej katastrofy finansów publicznych Polski, wskutek narastającego zadłużenia – jak najszybciej, już za dwa lub trzy lata. Po to, żebyśmy jak najszybciej mogli zacząć wracać do równowagi – do na powrót zrównoważonych finansów publicznych, do znów niskiej inflacji i do silnego złotego.

Doprawdy? Przecież wszystko to, co powyżej, jest jedną, wielką, wierutną bzdurą, a zawsze katastrofalne dla narodu bankructwo wcale nie jest nam dziś do niczego potrzebne, bo nareszcie – po wiekach poddawania się dyktatowi nieroztropności – „jeszcze nowszą przypowieść Polak sobie teraz kupi, że i przed szkodą potrafi być niegłupi”. Nieprawdaż? ©©



ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Zamykanie
oczu

Czasami zastanawiam się, czy członkowie elity władzy widzą las spoza drzew. Każdy obrabia swoje poletko, a ci, którzy teoretycznie powinni widzieć szerzej, bo są na samym szczycie, wydają się zafiksowani albo na opanowaniu partyjnego chaosu, albo na ratowaniu własnej pozycji. Państwo tymczasem pogrąża się w największym kryzysie od upadku komunizmu. Polacy już to odczuwają, a to dopiero pierwsze kroki. Prawdziwa jazda czeka nas jesienią i zimą.

**Będziemy
mieć szczęście,
jeśli w jakości
życia
i zamożności
obywateli
cofniemy się
nie więcej
niż o dekadę**

Opowieść o Polsce rychło doganiającej zamożniejsze kraje UE można już włożyć między bajki. Będziemy mieć szczęście, jeśli w jakości życia i zamożności obywateli cofniemy się nie więcej niż o dekadę. Uderza natomiast całkowita, jak się zdaje, beztroska władzy. Czternasta emerytura? Ależ bardzo proszę, na stałe. Zielony Ład? No, może coś tam pomarudzimy, ale jednak wdramy, bo i tak

się już zgodziliśmy, nie ma odwrotu. Wszelkie możliwe świadczenia socjalne dla ukraińskich uchodźców za kilkadziesiąt miliardów złotych rocznie? Ależ oczywiście, bez żadnego ograniczenia czasowego, może na lata. Polski Ład z radykalnie zwiększoną składką ZUS? Przecież to samo dobro, z niczego się nie wycofujemy. Dodatkowe wobec unijnych sankcje, rozwalające firmy, które z Rosją niewiele mają wspólnego? Wiadomo, przecież walczyliśmy z Putinem. I tak dalej, i tak dalej. Przypomina to zachowanie małego dziecka, które znalazło się w groźnej sytuacji i zamyka oczy w przeświadczeniu, że jeśli strasznych rzeczy dookoła nie będzie widzieć, to one się nie będą zdarzać.

Żeby choćby częściowo osłabić złe skutki sytuacji, w jakiej się znaleźliśmy – w dużej mierze na własne życzenie – trzeba by działać już teraz. Odważnie – przede wszystkim zdejmując z rynku pieniądze. No, ale to przed wyborami byłoby niepopularne. Na spotkaniu w Lipsku prezydent Duda opowiadała, że dziennikarze męczyli go pytaniem, dlaczego podpisał ustawę o 14. emeryturze, wiedząc, że stanowi ona czynnik proinflacyjny. Andrzej Duda wykrzyknął: „Podpisałem ją, bo jestem normalny!”. Nie wiem, czy normalne jest świadome dolewanie benzyny do ognia. Ale to może ja jestem jakiś dziwny. ©©

Poznań



HORYZONT

NARAMOWICE

RODZINNA INWESTYCJA

www.horyzont-naramowice.pl



PRESTIŻOWA INWESTYCJA

www.wilda-corner.pl



NOVA ŁACINA

NIEMENA 6

MIESZKANIA INWESTYCYJNE

www.nova-lacina.pl



www.grupainwest.pl +48 882 818 848

eprasa.pl f853a79b9b

Jak ekolog z leśnikiem

O trudnych relacjach, wspólnym celu i różnych drogach do jego osiągnięcia mówi Michał Gzowski, rzecznik prasowy Lasów Państwowych

Czy jest pan ekologiem?

MICHAŁ GZOWSKI: Środowiska proekologiczne zawłaszczyły język polski w tym zakresie – ekologiem jest już nawet ten, kto nie odróżnia zaskronca od żmii, byle głośno wykrzykiwał hasła, a najlepiej przywiązywał się do drzew na trasie budowy nowej drogi. Prawdziwy ekolog to naukowiec, osoba z wielką wiedzą, doświadczeniem, rozumiejąca, że natura to także człowiek, a ochrona natury oznacza także ochronę człowieka i jego potrzeb. Nie jestem naukowcem, choć kocham naturę i wszelka moja działalność, nie tylko zawodowa, lecz także prywatna, wiąże się z ochroną środowiska naturalnego. Problem polega na tym, że wbrew pozorom środowiska proekologiczne i leśnicy mają tak naprawdę wspólny cel – ochronę przyrody i zapewnienie jej trwałości. Niestety, choć cel jest wspólny, metody jego osiągnięcia są skrajnie różne. Prawdziwy ekolog, naukowiec, doskonale rozumie i wspiera pracę leśników, zaś organizacje „ekologów” – niestety często są to ludzie bez elementarnej wiedzy – skupiają się na podsycaniu konfliktu z leśnikami, kreując nas na wrogów całej natury.

Z kim walczą tacy „ekolodzy”?

Niestety, mówię to ze smutkiem, ale walczą z człowiekiem. Wskazują człowieka jako największego wroga przyrody, sprawcy wszelkiego zła. A ten najgorszy z ludzi to oczywiście leśnik. Bo wiadomo, wycina drzewa. Takie są właśnie opinie domorośłych „ekologów”, którzy nie przyjmują do wiadomości, że gospodarka leśna to ochrona lasu, ale dla człowieka, a nie przed człowiekiem. Ekologia nie może być narzędziem walki z człowiekiem.

Na to nie może być zgody leśników... Ani leśników, ani urzędników, ani rządu... Każdego roztropnego i odpowiedzialnego człowieka. Grupki, które wykorzystują ekologię w skrajny sposób, nie mają racji bytu. Ekologia bez człowieka staje się tym, o czym mówił ks. abp



Chyba wszystkim nam zależy na tym, żeby Polska była zielona, czysta i piękna, a Polacy mogli żyć zgodnie z rytmem przyrody, mądrze korzystając z jej dóbr

Marek Jędraszewski – zideologizowaną formą walki de facto z człowiekiem. I dlatego pojawia się coraz więcej pytań o faktyczny cel takich środowisk.

A jaki jest pana zdaniem faktyczny cel działania organizacji ekologicznych?

Nie mam wątpliwości, że część organizacji ekologicznych jest wykorzystywana przez różne siły, także zagraniczne, do wywierania na państwo polskie nacisków, które z troską o stan środowiska naturalnego mają niewiele wspólnego.

Ma pan na myśli konkretny przykład?

Światowe media obiegała niedawno informacja, że stowarzyszenia ochrony klimatu, których celem jest zapobieganie wydobycia gazu ziemnego w Europie, były wspierane z Rosji. Nawet były sekretarz

generalny NATO już w 2014 r. informował, że Rosja wspierała organizacje ekologiczne w celu utrzymania europejskiej zależności od rosyjskiego gazu. Zarzuty tak dużego kalibru rzucają cień na reputację organizacji ekologicznych, zwłaszcza tych największych, o światowym zasięgu.

A co polscy „ekolodzy” zarzucają leśnikom?

Najwięcej zarzutów dotyczy pozyskania drewna – zdaniem tych „ekologów” nadmiernego i nieuzasadnionego. A to nieprawda. Leśnicy działają na podstawie przepisów ustawy o lasach. Co więcej, plany i wielkość pozyskania drewna są jasno i konkretnie określone w planach urządzenia lasu, które powstają w nadleśnictwach raz na 10 lat, są opracowywane przez naukowców i zatwierdzane przez rząd. A wcześniej plany są konsultowane z lokalnymi społecznościami.

Na czym zatem polega paradoks?

Wciąż mnie zastanawia, jak tacy „ekolodzy” łączą swoje sprzeczne poglądy – z jednej strony protestują przeciwko ścinaniu drzew, a z drugiej żądają, aby człowiek zaczął żyć wyłącznie w ekologicznym środowisku i korzystać z ekologicznych produktów. Czyli chcą zjeść ciastko i mieć ciastko. Paradoks polega też na tym, że to właśnie leśnicy najbardziej sprzyjają proekologicznym zachowaniom. Gospodarują lasami tak, aby drzew w Polsce przybywało, a gospodarka miała surowiec do produkcji ekologicznych produktów. To jest właśnie praktyczna ekologia leśnictwa, oparta na naukowych badaniach, wiedzy i doświadczeniu wielu pokoleń leśników. To leśnicy od prawie stu lat dbają o to, aby polska natura była w coraz lepszej kondycji, a gospodarka mogła w bezpieczny dla przyrody sposób korzystać z jej darów.

Jakie ma pan zatem rady dla „ekologów”?

Aby zeszli z drzew, nabyli wiedzę o racjonalnej gospodarce leśnej i stali się prawdziwymi ekologami. Wtedy, łącząc siły, będziemy mogli wspólnie dbać o bezpieczeństwo polskiej natury. Bo chyba wszystkim nam zależy na tym, żeby Polska była zielona, czysta i piękna, a Polacy mogli żyć zgodnie z rytmem przyrody, mądrze korzystając z jej dóbr.



Masz wpływ na las

Wielu Polaków nie zdaje się sobie sprawy, że pozyskanie drewna to nie żadna „wycinka”, a zaplanowane działanie, poprzedzone fachową inwentaryzacją. I co najważniejsze – każdy może mieć wpływ na to, jak gospodaruje nadleśnictwo, uczestnicząc w konsultacjach społecznych

Gospodarka leśna w Lasach Państwowych prowadzona jest na podstawie planów urządzenia lasu, sporządzanych dla nadleśnictw na 10 lat. Takie plany wykonują specjalistyczne jednostki, m.in. Biuro Urządzania Lasu i Geodezji Leśnej. Na każdym etapie tworzenia planu zainteresowani mogą składać uwagi i wpływać na charakter przyszłych działań nadleśnictwa.

PIERWSZY KROK – INWENTARYZACJA

Plan urządzenia lasu powstaje na podstawie szczegółowej inwentaryzacji i oceny stanu lasu. Specjaliści określają takie jego cechy jak struktura, budowa, wiek, skład gatunkowy, stan zdrowotny, warunki glebowo-siedliskowe itp. Coraz częściej korzystają w tym celu z nowoczesnych technologii, np. skanowania lasowego. Jednolite pod względem cech płaty to tzw. wydzielenia. Do każdego z nich podchodzi się indywidualnie, projektując sposoby dalszego zagospodarowania i ilość drewna możliwą do pozyskania.

– Rozmiar pozyskania drewna to pochodna możliwości regeneracyjnych drzewostanów. Obecnie pozyskujemy ok. trzech czwartych tego, co corocznie

przyrasta. Dzięki temu lasów jest coraz więcej i są coraz bardziej zasobne – wyjaśnia Józef Kubica, p.o. dyrektor generalny Lasów Państwowych.

Zweryfikowanie tego, jaką część przyrostu pozyskują Lasy Państwowe, jest możliwe właśnie dzięki szczegółowym pomiarom. To dzięki nim wiadomo, że drewno pozyskiwane w ciągu roku stanowi jedynie ok. 2 proc. tego, co rośnie w lasach.

KONSULTACJE SPOŁECZNE

Plany urządzenia lasu są na tyle istotne, że na etapie ich powstawania wszyscy obywatele mają możliwość wnoszenia uwag. To wymóg ustawy. Nadleśnictwa organizują nawet spotkania konsultacyjne, gdzie prezentowane są założenia, a następnie gotowy projekt planu. To dobry moment, by zabrać głos i wspólnie z leśnikami uzgodnić taki sposób zagospodarowania, który uwzględni np. walory rekreacyjne miejsc, gdzie ludzie wypoczywają czy spacerują.

W takich spotkaniach może uczestniczyć każdy zainteresowany. Nadleśnictwa publikują na ten temat ogłoszenia w lokalnych mediach, zamieszczają informacje na stronach internetowych i profilach w mediach społecznościowych.

– Do najważniejszych interesariuszy, czyli samorządów, organizacji pozarządowych, instytucji współpracujących z nadleśnictwem i odpowiedzialnych za kwestie środowiskowe ślemy zaproszenia – mówi Józef Kubica. – Niestety, muszę z żalem stwierdzić, że nie wszyscy, których zapraszamy, biorą udział w konsultacjach. Spośród tych, którzy nie ignorują zaproszeń nadleśnictw, tylko niektórzy artykułują uwagi.

LASY SZCZEGÓLNIE CHRONIONE

Szef Lasów Państwowych zwraca uwagę, że w takiej sytuacji trudno potem, na etapie realizacji planu, brać poważnie krytykę działań leśników.

– Ktoś, kto milczy, gdy zapraszamy go na konsultacje, a potem emocjonalnie protestuje, gdy realizujemy plan, na który nie chciał mieć wpływu, sam siebie wyklucza z poważnej dyskusji – podkreśla Kubica.

Plan urządzenia lasu podlega także procedurze strategicznej oceny oddziaływania na środowisko. Jest opiniowany przez Regionalną Dyрекcyję Ochrony Środowiska. Ostatecznie zatwierdza go Minister Klimatu i Środowiska.

W Polsce wszystkie lasy są szczególnie chronione, nie tylko te państwowe. Podobne reguły planowania dotyczą również lasów prywatnych. Własne lasy posiada ok. milion polskich rodzin. One także w swoich lasach powinny realizować plan w wersji uproszczonej.

Patrycja Jabłońska

Następca Gortata



Łukasz Majchrzyk

Jeremy Sochan, wybrany do ligi NBA przez San Antonio Spurs, z miejsca stał się gwiazdą koszykówki. Jego historia pokazuje, jak mocno w najbliższych latach może się zmienić polski sport

Historia Jeremy'ego Sochana to sportowa historia roku w Polsce

FOT. LM OTERO/AP/EAST NEWS



Na takie wydarzenie kibice koszykówki w Polsce czekali od wielu lat. Od kiedy karierę skończył Marcin Gortat, w lidze NBA nie grał żaden reprezentant Polski. Swoich przedstawicieli mieli Austriacy, Japończycy czy Portugalczycy, którzy do koszykarskich potęg nie należą. Polaków w tej grupie brakowało, a co gorsza – wydawało się, że na horyzoncie nie ma nikogo, kto przebiłby szklany sufit. Nad Wisłą najzdolniejszych, wysokich chłopców zagarnia siatkówka, a ci, którzy zostają przy koszykówce, nie są wyszkoleni tak dobrze jak ich rówieśnicy z Francji, Niemiec albo z Włoch. Dawno minęły czasy, kiedy na podwórku wszyscy chłopcy na zmianę grali w piłkę nożną lub rzucali do kosza, pokrzykując za Włodzimierzem Szaranowiczem: „Hej, hej, tu NBA!”

I nagle – ni stąd, ni zowąd – zaczęło robić się głośno o chłopaku mieszkającym z rodziną w Wielkiej Brytanii, który zadebiutował już w pierwszej reprezentacji Polski, a teraz gra w lidze akademickiej i zgłasza się do draftu, czyli corocznego wyboru najzdolniejszych młodych koszykarzy przez kluby NBA.

To na pewno sportowa historia roku w Polsce. I nie chodzi nawet o spektakularny sukces Jeremy'ego Sochana – o to, że trafił do najlepszej koszykarskiej ligi świata, wybrany z bardzo wysokim numerem dziewiątym w drafcie oznaczającym, że najlepsi specje od koszykówki uważają go za wielki talent. Nie chodzi też tylko o to, że po Polaka sięgnęła San Antonio Spurs, czyli jedna z najbardziej utytułowanych drużyn w historii, z legendarnym trenerem Greggim Popovichem na ławce, który jest wychowawcą gwiazd i jedną z najciekawszych osobowości w całej NBA.

Najciekawsze w opowieści jest to, kim jest sam zawodnik i jaka jest jego rodzina. Być może do takich historii polscy kibice będą się musieli przyzwyczajać coraz częściej – w miarę, jak dorastać będzie pokolenie dzieci polskich emigrantów urodzonych lub wychowanych na zachodzie Europy. Jeremy Sochan pokazuje, że polski sport się zmienia. Polski Związek Piłki Nożnej od dawna szuka talentów za granicą (najświeższe przykłady to kandydaci do gry w mistrzostwach świata Matty

Cash i Nicola Zalewski), a okazuje się, że tą samą drogą może i powinna ruszyć koszykówka.

WSZECHSTRONNY, ELASTYCZNY I INTELIGENTNY

W zglobalizowanym sporcie nie ukryje się żaden talent, a otwartość i łatwość odnalezienia się w różnych środowiskach są wielkimi zaletami. Przed Sochanem do NBA próbowało się dostać kilku polskich koszykarzy, niektórzy – jak Mateusz Ponitka – zrobili później sporą karierę w Europie, ale jednak za oceanem nie zdołali się przebić.

– Jeremy idealnie pasuje do NBA. Można powiedzieć, że spełnia wszystkie kryteria nie tylko od strony kulturowej, lecz także fizycznej i czysto koszykarskiej. Jest bardzo wszechstronny, elastyczny i dzięki temu łatwo go wpasować w każdą taktykę. Do tego jest bardzo inteligentny nie tylko na boisku, lecz także poza nim. Czasami, kiedy Europejczycy przyjeżdżają grać do Stanów, towarzyszą temu wątpliwości, czy sobie poradzą. Jeremy w swoim życiu mieszkał w różnych krajach, do tego grał w koszykówkę w amerykańskim

liceum La Lumiere oraz na uczelni Baylor, więc patrząc na historię jego życia, można być pewnym, że sobie poradzi – mówi „Do Rzeczy” Bronisław Wawrzyńczuk, który wyszukuje talenty dla niemieckiego klubu Ratiopharm Ulm oraz prowadzi specjalistyczny serwis Eurospect.

Można powiedzieć, że sport, a szczególnie koszykówka, był wpisany w DNA reprezentanta Polski. Jego pradziadek był piłkarzem Warszawianki, a jego dziadek Juliusz (po którym Jeremy ma drugie imię) – działaczem koszykarskim na Mazowszu.

W tę dyscyplinę w barwach Polonii Warszawa grała jego mama Aneta, a także biologiczny ojciec Ryan Williams. Rodzice Jeremy’ego poznali się w USA, gdzie pani Aneta wyjechała grać w lidze uniwersyteckiej i stąd jako miejsce urodzenia reprezentant Polski ma wpisane Guymon w stanie Oklahoma, czyli – jak sam powiedział podczas jednej z konferencji prasowych – „miasteczko położone w środku niczego”.

Stamtąd po kilku latach przyszedł gracz NBA przenieść się z mamą z powrotem do Europy, do Anglii. Tam pani Aneta poznała Wiktora Lipieckiego, z którym razem wychowują Jeremy’ego oraz jego przyrodniego brata. Nic dziwnego, że zawodnik San Antonio Spurs mówi o sobie, że jest obywatелеm świata, ale jednocześnie mówi po polsku i deklaruje przywiązanie do biało-czerwonych barw. Wakacje regularnie spędzał w naszym kraju u babci i cioci, a kiedy trochę podrośł, zaczął jeździć też na koszykarskie obozy. Czasami w treningach podczas wakacji pomagały koleżanki pani Anety z czasów gry w Polonii Warszawa, bo zanim chłopak trafił do profesjonalnego szkolenia, jego treningami zajmowała się mama.

Jeremy ze swoim pochodzeniem i historią życia mógłby z powodzeniem grać w reprezentacji koszykarskiej Wielkiej Brytanii albo nawet USA, ale wybrał występy dla Polski, do czego bardzo przyczyniła się jego mama. To ona odezwała się do Polskiego Związku Koszykówki i dała sygnał, że jest w Anglii chłopak, którym warto się zainteresować. Na szczęście polska federacja podeszła do tematu profesjonalnie. Jeremy dostawał zaproszenia na obozy młodzieżowych reprezentacji, kontakt był stale podtrzymywany, a PZKosz zwracał też koszty biletów lotniczych. I to właśnie po jednym z turniejów w barwach reprezentacji

Polski Jeremy przykuł uwagę skautów klubów NBA.

BADANY NAWET CHARAKTER

– Na pewno zaczęto go uważniej obserwować po mistrzostwach U16 dwuzwizji B w 2019 r., gdzie Jeremy został ogłoszony MVP [najwartościowszym zawodnikiem – przyp. Ł.M.]. To był dla niego przełom na arenie międzynarodowej. Skauting licealny w USA rządzi się jednak swoimi prawami i osiągnięcie to zostało delikatnie zmarginalizowane. Jeszcze będąc w składzie La Lumiere, nie był wysoko w rankingach najzdolniejszych graczy. Umieszczano go w okolicach 50. miejsca w swoim roczniku. Pomógł mu rozwój w Europie, do której wrócił po wybuchu pandemii COVID-19. Grając w rezerwach Ulm, znalazł się w pierwszej piątce turnieju młodzieżowej Euroligi. Wtedy potwierdził, że jego rozwój zmierz w dobrym kierunku, a to był najlepszy moment, bo gracz 18-letni zaczyna być mocno i regularnie obserwowany, gdyż zbliżają się do wieku pozwalającego im wziąć udział w naborze do najlepszej ligi świata – opowiada „Do Rzeczy” Bronisław Wawrzyńczuk.

To przeświadczenie odbywa się na wielu poziomach. Nie tylko, jeśli chodzi o umiejętności czysto koszykarskie czy rozwój fizyczny, masę mięśniową, wyskok, długość ramion. Badani poddawane są też charakter zawodnika, jego relacje z otoczeniem, a nawet rodzina. NBA jest wielkim biznesem, który generuje każdego roku miliardy dolarów, a młody zawodnik to ogromna inwestycja. Jeśli się sprawdzi i zostanie gwiazdą albo przynajmniej solidnym graczem, jeśli będzie „jakiś” i zwróci na siebie uwagę kibiców oraz mediów, to przyniesie krociowe zyski. Jeśli nie poradzi sobie z presją, ze sławą, z wymaganiem sportowymi, to trzeba go będzie spisać na straty i obowiązkowo, do ostatniego dolara, wypłacić pieniądze z wielomilionowego kontraktu (tylko przez pierwsze dwa lata Polak powinien zarobić ok. 10 mln dol.). Nikt nie chce się pomylić, a raf i potencjalnych pułapek po drodze czeka wiele. Na pewno pojawiają się nowi „przyjaciele”, którzy będą chcieli skorzystać z pieniędzy 19-letniego koszykarza, czy dziewczyny, których marzeniem jest zaistnienie na portalach plotkarskich. Sport zna przypadki, kiedy nagle fortuna potrafiła wywrócić świat nie zapowiadającą się karierę.

– Nikt tak do końca nie wie, co się stanie, kiedy młody człowiek zostanie milionerem. Jako skauci zwykliśmy mawiać, że NBA robi z ciebie większą i wyrazistą wersję tego, kim byłeś wcześniej. Na szczęście Jeremy ma świetne wartości wpojone przez rodziców. To pozwala przypuszczać, że niezależnie od tego, czy zarobi 10 czy setki milionów dolarów, zmieni się jego życie, lecz nie to, jaki jest i w jak pozytywny sposób wykorzystuje swój talent oraz idący z nim w parze status społeczny – mówi „Do Rzeczy” Bronisław Wawrzyńczuk.

Sochan pasuje do NBA jeszcze pod innym względem. Amerykanie kochają show, lubią wyraziste osobowości, dbają o to, by kibice dostawali świetną rozrywkę. Młody Polak uwielbia wielkie sceny, jest pewny siebie, potrafi mrugnąć okiem do fanów, pokazując, że nie boi się największych wyzwań. Nie ucieka od śmiałych porównań, a nawet sam je prowokuje. Już podczas gry na uczelni farbował włosy na jaskrawe kolory, co budziło skojarzenia z gwiazdą sprzed lat Dennisem Rodmanem. Po trafieniu do Spurs poszedł o krok dalej – wybrał numer 10 na koszulce, z którym Rodman występował przed laty.

Porównał się też do innej legendy klubu z San Antonio, Tima Duncana. Zrobił to wprawdzie pół żartem, pół serio, ale wyraźnie zaznaczył, kto może być jego idolem i jakie są jego ambicje.

– Ekscentryczność jest jego dużą wartością z punktu widzenia NBA. Został tak wychowany, jest otwarty na świat, interesuje się wieloma rzeczami. Lubi być kontrowersyjny, ale nie trzeba się o niego bać. Lubi być na dużej scenie, lubi, kiedy się o nim mówi. To jest dla niego naturalne i to mu pomaga. Im większa scena, tym lepiej gra. To daje nadzieję, że jeśli wrzuci się go na najwyższy poziom, to dorośnie do wyzwań – przewiduje Bronisław Wawrzyńczuk.

Dodatkowo Sochan trafił do organizacji, która potrafi dbać o młodych koszykarzy i tworzy zgraną społeczność. Duncan i Manu Ginobili, byli zawodnicy, cały czas biorą udział w życiu Spurs i na pewno pomogą młodszemu kolegom. O dyscyplinę będzie też dbał trener Popovich, który kiedyś służył w marynarce USA.

Kibice z San Antonio mogą mieć nadzieję, że zawodnik z Polski pomoże wrócić drużynie na szczyt, a kibice z Polski szykować się do zarywania nocy, kiedy ruszy sezon NBA.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Z prof. Moniką Adamczyk-Sową, neurologiem
rozmawia Katarzyna Pinkosz

Z włączeniem leczenia SM nie można czekać

FOT. ANDRZEJ STOK

KATARZYNA PINKOSZ: W ostatnim czasie bardzo zmieniło się leczenie stwardnienia rozsianego. Jaką perspektywę ma dziś osoba, która słyszy taką diagnozę?

PROF. MONIKA ADAMCZYK-SOWA: Dokonał się ogromny postęp, zarówno jeśli chodzi o nowoczesne metody diagnostyczne, jak i o nowe terapie immunomodulujące. Ten postęp widać na świecie, a także w Polsce. Pacjent, który dziś otrzymuje diagnozę SM, jest w zupełnie innej sytuacji, jeśli chodzi o rokowanie, niż chorzy, którzy taką diagnozę otrzymywali kilka czy kilkanaście lat temu.

Można dziś – mimo SM – normalnie funkcjonować? Chodzić do pracy, mieć rodzinę, dzieci?

Chciałabym, żeby został odczarowany stereotyp myślenia o pacjencie z SM, którego sprawność kończy się na wózku inwalidzkim. Żyjemy w czasie możliwości skutecznego leczenia, które hamuje postęp choroby. Niestety, jeszcze nie ma terapii, która umożliwiałaby wycofywanie się uszkodzeń układu nerwowego. Mamy

jednak dużą grupę leków immunomodulujących, które są bardzo skuteczne w hamowaniu aktywności choroby, zarówno jej rzutów, jak i postępu niesprawności. Dzięki ich stosowaniu wielu naszych pacjentów żyje normalnie, pracuje, zakłada rodziny, ma plany rozwoju zawodowego i osobistego.

W poczekalni przed naszym gabinetem kiedyś oczekiwali pacjenci z SM bardzo niesprawni, zwykle w towarzystwie opiekunów. Dziś często są to młodzi ludzie, którzy przychodzą z dzieckiem na rękę albo biegną do pracy. Pokazuje to, ile dobrego zadziała się w leczeniu SM, choć oczywiście wszyscy chcielibyśmy jeszcze więcej.

W tej chorobie niesłychanie ważne są szybka diagnoza i szybkie podjęcie leczenia. Na jakie niepokojące objawy trzeba zwrócić uwagę?

Pierwszymi objawami SM mogą być zaburzenia widzenia. Zwykle dotyczą one jednego oka – to objaw pozagałkowego zapalenia nerwu wzrokowego. Mogą też

wystąpić zaburzenia czucia: mrowienie, drętwienie, uczucie palenia, przeczulica, lecz także niedoczulica czy opatrne czucie. Inne objawy to zaburzenia równowagi, zawroty głowy, zaburzenia koncentracji, oddawania moczu (np. nagłe parcie na mocz), a także zaburzenia funkcji poznawczych i zaburzenia depresyjne. W późniejszych etapach choroby mogą wystąpić zaburzenia chodu – pacjent ma coraz mniej sprawne kończyny dolne, co powoduje ograniczenie dystansu, który może pokonać. Jak widzimy, spektrum objawów może być bardzo szerokie, dlatego bardzo ważne są czujność i dostęp do specjalisty neurologa, wytyczenie właściwej ścieżki pacjenta.

Nie zawsze jednak od początku pacjent trafia do neurologa?

Zwykle początkowo kieruje się – w zależności od objawów – do okulisty, ortopedy, lekarza rodzinnego, urologa. Bardzo ważne są czujność tych lekarzy i zwracanie uwagi, że jeśli tego typu obja-

wy pojawiają się u młodej osoby (zwykle SM rozpoczyna się między 20. a 40. rokiem życia), to ważne jest, żeby pacjent w odpowiednim czasie trafił do neurologa i wcześniej rozpoczął leczenie.

Chorują młodzi ludzie. A w jakim wieku są najmłodszy pacjenci?

Chorują dzieci już w wieku pięciu, sześciu lat, choć są to pojedyncze przypadki. W populacji pediatrycznej częściej rozpoznajemy SM w wieku 16–18 lat. Obraz rezonansowy u dzieci często wykazuje ogromną aktywność choroby. Początkowo było to dla mnie bardzo zaskakujące – w obrębie mózgowia widziałam nawet kilkanaście aktywnych zmian. Wyglądało to czasami jak „pożar w głowie”, przy czym klinicznie dziecko było w całkiem dobrym stanie ogólnym. Możemy to tłumaczyć faktem tzw. paradoksu kliniczno-radiologicznego, ponieważ u dzieci i młodych dorosłych istnieje znaczna rezerwa neurologiczna, czyli zdolność tkanek nerwowej do kompensacji zmian. Na szczęście odpowiedź na leczenie u dzieci jest zwykle bardzo dobra. Jednak zarówno u dzieci, jak i u dorosłych leczenie trzeba zacząć jak najszybciej, gdyż w pierwszym etapie SM dominuje faza zapalna, na którą bardzo dobrze działają leki immunomodulujące, hamujące też przejście tej fazy w neurodegeneracyjną. Im szybciej wdrożymy terapię, tym większa szansa na zahamowanie postępu choroby.

Wiadomo, jaka jest przyczyna SM?

Niestety, nie do końca. Podstawą bez wątpienia są procesy autoimmunologiczne. Na pewno jest tu pewna predyspozycja genetyczna i istotną rolę odgrywają czynniki środowiskowe. Aktywacja procesu immunologicznego powoduje inicjację procesu zapalnego, a następnie demielinizacyjnego, który doprowadza do uszkodzenia osłonki mielinowej pokrywającej komórki nerwowe. Prowadzi to do uszkodzenia komórki nerwowej i zaburza przesyłanie informacji pomiędzy neuronami.

Polscy pacjenci chorzy na SM są leczeni w ramach dwóch programów lekowych: w pierwszej linii B.29, a w drugiej linii B.46. Wciąż jednak dużym problemem jest przejście pacjenta z jednego programu do drugiego. Część chorych przez pewien czas dostaje przez to nieskuteczne leczenie?

Dużo poprawiło się w leczeniu polskich pacjentów z SM, nadal istnieje jednak wiele barier, które powinny być

zminimalizowane, jeśli chodzi o dostęp do skutecznych terapii. Istniejący zapis przejścia między pierwszą a drugą linią leczenia jest zdecydowanie zbyt restrykcyjny. Pacjenci mogą otrzymać leki drugiej linii dopiero wówczas, gdy mimo leczenia pierwszoliniowego wystąpiły u nich dwa rzuty choroby oraz pojawiły się dwie aktywne zmiany w rezonansie. Taki zapis powoduje, że pacjent przez długi czas otrzymuje terapię nieskuteczną.

Wystąpienie dwóch rzutów choroby i dwóch aktywnych zmian w rezonansie świadczy o bardzo wysokiej aktywności choroby. Niestety, dopiero wówczas możemy podać leki drugiej linii. Tak więc musimy czekać na bardzo znaczne pogorszenie, by podać terapię drugiej linii, która powinna być zastosowana dużo wcześniej. Jako środowisko klinicystów

sprawności i niepogłębianie się deficytów neurologicznych.

Jako przewodnicząca Sekcji SM w Polskim Towarzystwie Neurologicznym jakie zmiany uważa pani za najważniejsze do wprowadzenia w leczeniu pacjenta z SM?

Widzimy wiele potrzeb, które powinny być wprowadzone. Jedną z nich jest złagodzenie kryteriów kwalifikacji pacjenta do leczenia w drugiej linii. Drugim postulatem jest wczesny dostęp do terapii wysoko efektywnych: chcemy, aby pacjenci, którzy mają niekorzystne czynniki rokownicze albo wysoką aktywność choroby, od początku mogli być leczeni lekami wysoko skutecznymi. Kolejnym oczekiwaniem jest indywidualizacja terapii. To klucz do sukcesu. Rozmawiamy z Ministerstwem Zdrowia, widzimy dużą

Istniejący zapis programu lekowego, dotyczący przejścia między pierwszą a drugą linią leczenia, jest zdecydowanie zbyt restrykcyjny. Złagodzenie kryteriów kwalifikacji do drugiej linii leczenia to dla ok. 1,5 tys. pacjentów z SM w Polsce szansa na utrzymanie sprawności i niepogłębianie się deficytów neurologicznych

zabiegamy o zmianę tych rygorystycznych zapisów. Chcielibyśmy, żeby w Polsce było tak jak w innych krajach, czyli każda aktywność choroby wyrażana albo poprzez wystąpienie rzutu, albo pojawienie się zmiany w rezonansie powinna umożliwić zmianę terapii. Bardzo byśmy chcieli, żeby można było wcześniej kwalifikować pacjentów do leczenia drugiej linii.

Oczekiwanie powoduje, że stan pacjenta nieodwracalnie się pogarsza? Zmian nie można już cofnąć?

Niestety. W SM czas odgrywa dużą rolę. Występowanie każdego rzutu łączy się z ryzykiem wystąpienia nieodwracalnej niesprawności. Im później włączymy leczenie, tym bardziej narażamy pacjenta na niesprawność, która jest nieodwracalna.

Jeśli udałooby się złagodzić zapisy programu lekowego (do wystąpienia jednego rzutu i jednej zmiany aktywnej w rezonansie), to ok. 1,2–1,5 tys. pacjentów zostałoby wcześniej włączonych do terapii drugoliniowych. Dla tych chorych to byłaby ogromna korzyść polegająca na zahamowaniu aktywności choroby. Dawałoby to im szansę na utrzymanie

otwartość na poszukiwanie rozwiązań, które będą wychodzić naprzeciw potrzebom środowiska pacjentów i klinicystów, a jednocześnie będą do udźwignięcia przez płatnika publicznego.

A czy na horyzoncie widać leki, które mogłyby cofnąć zmiany, do których doszło? Przywrócić funkcje układu nerwowego?

W badaniach klinicznych jest obecnie wiele leków, którym przypisuje się nie tylko hamowanie aktywności choroby, lecz także – być może poprzez oddziaływanie na mikroglej – działanie remielinizujące. Są pierwsze informacje, że ta grupa leków być może będzie miała potencjał naprawczy. Wiele jeszcze przed nami, lecz to nieustannie zasilą nadzieję pacjentów i nas, klinicystów.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



prof. Monika Adamczyk-Sowa – kierownik Katedry i Kliniki Neurologii Wydziału Medycznego w Zabrzu Śląskiego Uniwersytetu Medycznego w Katowicach, prezes Sekcji Stwardnienia Rozsianego i Neuroimmunologii Polskiego Towarzystwa Neurologicznego.

TEST „DO RZECZY”: SMARTFON OPPO RENO7 5G

Atrakcyjny wyświetlacz AMOLED, dobry główny aparat fotograficzny, ciekawe wzornictwo, całkiem pojemna bateria, gniazdo jack i szybkie ładowanie – to największe zalety stosunkowo drogiego średniaka chińskiej marki OPPO.

OPPO Reno7 5G to smartfon smukły, stosunkowo lekki (173 g) i nowocześnie wyglądający. Obudowa jest lśniąca i świecąca, dzięki czemu nie widać na niej miliona odcisków palców czy innych zabrudzeń. Wzornictwo jest praktyczne i w miarę ciekawe, zwłaszcza w wersji mieniącej się różnymi odcieniami niebieskiego, i choć ten styl nie jest już niczym nowym, to wielu wciąż może się podobać.

6,4-calowy wyświetlacz AMOLED ma rozdzielczość 2400 x 1080 i 411 pikseli na cal (PPI). Ostrość jest więc zupełnie wystarczająca. Do tego kolory są żywe, a czerń naprawdę czarna. Maksymalna jasność jest zaś na tyle wysoka, żeby bez trudu korzystać ze smartfona nawet w słoneczny dzień. Częstotliwość odświeżania wynosi 90 Hz. Nieźle, choć w tej półce cenowej jeszcze lepsze byłoby 120 Hz.

Główny aparat 64 Mpix robi dobre zdjęcia w dzień i całkiem przyzwoite w nocy, choć detale i kolory bywają już nieco rozmyte. Nieźle w dobrym świetle sprawdza się też szerokokątny aparat o rozdzielczości 8 Mpix. Kompletnie beznadziejny jest zaś aparat makro 2 Mpix. Miłośników selfie ucieszy za to niezły aparat przedni o rozdzielczości 32 Mpix. Reno7 5G potrafi też nagrywać



filmy w rozdzielczości 4K przy 30 kl./s. Porządna stabilizacja obrazu jest jednak dostępna tylko przy rozdzielczości 1080p.

Plusem jest niezła bateria o pojemności 4500 mAh – z reguły powinna ona wystarczyć na cały dzień używania smartfona – oraz szybkie ładowanie VOOC 3.0 65W. Testowany model ma też

sporo wbudowanej pamięci na dane (teoretycznie 256 GB, praktycznie ok. 230 GB). Są też dual SIM, moduł NFC oraz coraz bardziej przydatna opcja łączności 5G.

Za ochronę dostępu do smartfona odpowiada skaner linii papilarnych lub system rozpoznawania twarzy. Oba działają prawidłowo, choć oczywiście pierwszy zapewnia wyższe bezpieczeństwo.

Wady? Za dość wysoką jak na średniaka ceną nie idą niestety najlepszej jakości materiały. Po wykonanej z tworzywa sztucznego obudowie czuć, że nie jest to element smartfona klasy supersśredniaków. Ze słabym procesorem MediaTek Dimensity 900 oraz 8 GB pamięci RAM model Reno7 5G nie jest też królem wydajności, choć trzeba przyznać, że aplikacje otwierają się płynnie, a animacje nie przycięły się ani razu podczas trwającego tydzień testu. Można nawet z powodzeniem odpalić mniej wymagające gry. Dla wielu użytkowników taka wydajność będzie więc zapewne wystarczająca.

Lepsza mogłaby być również stabilizacja w aparacie fotograficznym. Dużym minusem w tym segmencie cenowym jest też brak głośników stereo. Sama jakość audio jest zaś na poziomie przeciętnego smartfona ze średniej półki.

OPPO Reno7 5G to solidny średniak, który na razie kosztuje 2699 zł i za tę cenę nie warto go kupować. Gdy już potanieje o dobre kilkaset złotych, z czystym sumieniem będzie można dodać go do koszyka. ©©

Jacek Przybylski



TELEWIZORY DLA ELITY

Excellence Line. Tak nazywa się linia najnowszych i najdroższych telewizorów stworzonych przez południowokoreańską firmę Samsung. Odbiorniki QN700, QN800 i QN900 wykorzystują technologię Neo QLED – łączącą kropki kwantowe, diody miniLED i sztuczną inteligencję – i są przystosowane do obsługi rozdzielczości 8K. Kolory są nasycone, a obraz niezwykle realistyczny, dzięki czemu salon w domu można łatwo zmienić w kino lub centrum fitness (ja zawsze chudnę, oglądając tenisa). Telewizory klasy premium wyróżniają też neuronowy procesor AI Quantum 8K, minimalistyczny design, niemal niedostrzegalne ramki, dźwięk Dolby Atmos, zaawansowane funkcje smart

oraz... bardzo wysoka cena. Za model QN900 B w wersji 85-calowej trzeba zapłacić 49 999 zł, a tej samej wielkości model QN800 B kosztuje 34 999 zł. Najtańszy wariant QN700B w wersji 75-calowej to wydatek rzędu 21 999 zł.

„NADPRZYRODZONA MOC” PIERŚCIEŃ?

Na rynku pojawił się nowy inteligentny pierścień wykonany z tytanu. Model stworzony przez start-up Ultrahuman ma dawać użytkownikowi „nadprzyrodzoną moc”. Marketingowcy podkreślają, że gadżet potrafi nie tylko monitorować w czasie rzeczywistym podstawowe parametry życiowe – np. tętno czy temperaturę ciała – lecz także zbiera informacje dotyczące metabolizmu. W połączeniu z odpowiednią aplikacją oraz plasterkiem monitorującym poziom glukozy we krwi w teorii ma ułatwić prowadzenie zdrowego trybu życia. Cena: 299 dol., czyli równowartość 1,4 tys. zł. Pierwsze egzemplarze mają trafić do klientów we wrześniu obecnego roku. ©©

Jacek Przybylski





ANNA POPEK Z D. CHRUIK
I MAGDALENA M. KRUPA Z D. CHRUIK

SIOSTRY GOTUJĄ

Kuchnia czeska

Decydując się na wakacyjną podróż w stronę ulubionych przez Polaków chorwackich plaż, warto tak ją zaplanować, by móc zatrzymać się na posiłek w Czechach, a najlepiej w rozważnej i romantycznej Pradze.

Kuchnia czeska to mieszanina różnych wpływów i tradycji kulturowych, jak zresztą we wszystkich krajach Europy. Począwszy od wpływów kuchni tureckiej, przez kuchnię austro-węgierską, niemiecką, do wpływów kuchni polskiej.

Kuchnia czeska jest bardzo konkretna w smaku i mocno sycająca, bo oparta na ziemniakach i mięsie, bogata w aromaty, a szczególnie w kminek, który dodawany jest do prawie wszystkich wytrawnych potraw.

Czechy kojarzą się przede wszystkim z piwem, najpopularniejsze to lager, którego spożywa się tutaj naprawdę duże ilości. Piwa używa się również do gotowania, szczególnie do podlewania duszonych mięs.

W kuchni ważne miejsce zajmują zupy. Czesi wręcz je uwielbiają, szczególnie zupę czosnkową. Na drugie danie podawane są ziemniaki w różnych postaciach – ciekawostką jest to, że ziemniaki pojawiły się w Czechach stosunkowo późno, bo dopiero w XIX w., wcześniej stanowiły jedynie ozdobę arystokratycznych ogrodów. Ziemniaki podawane są jako frytki, opiekane czy bardzo popularne knedle (nazwa pochodzi z języka niemieckiego). Zjada się je na słońcu z typowym dla Czechów gulaszem wieprzowym, wołowym, dziczyzną lub drobiem oraz na słodko z owocową polewą, polane masłem i posypane orzechami.

Ponieważ kraj ten nie ma dostępu do morza, popularne są tutaj ryby słodkowodne – karp i pstrąg.



FOT. AUBREY STICK

Mało jada się tu warzyw, a to ze względu na kolektywizację rolnictwa, która wyeliminowała z uprawy niektóre gatunki. Teraz powoli się to zmienia.

Jabłkowy strudel to danie tradycyjne zarówno dla Czechów, jak i dla Austriaków i podawane jest często na deser. Podobnie jak ulubione są naleśniki – palacinky nadziewane czekoladą, owocami, a także żemlovka, czyli namoczone w mleku z cukrem białe pieczywo przełożone owocami i zapiekane. Podsumowując, kuchnia naszych południowych sąsiadów nie należy do najlżejszych ani mało kalorycznych, jednak warta jest grzechu.

Przepis na knedliczki:

- 1/2 kg mąki pszennej
- 25 g świeżych drożdży
- 1 łyżka cukru • 1 łyżka soli • 2 jajka
- 300 ml mleka

Mleko lekko podgrzewamy w rondelku, dodajemy drożdże, cukier oraz 2 łyżki mąki – robimy zaczyn. Odstawiamy na 15 min, następnie dodajemy pozostałe składniki, wyrabiamy ciasto, odstawiamy do wyrośnięcia na 40 min. Ciasto dzielimy na trzy części o szerokości grubego wałka. Gotujemy na parze albo w gorącej wodzie, tylko oddzielnie, aby się nie posklejały, przez ok. 15 min. Wyjmujemy i kroimy delikatnie ostrym nożem. Podajemy z mięsem i gęstym sosem. ©©



JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Mali geniusze

We Francji, ojczyźnie literatury pięknej, afera literacko-maturalna.

Na egzaminie pisemnym z języka francuskiego należało zinterpretować fragment prozy poetyckiej współczesnej pisarki Sylvie Germain wzięty z jej książki „Dni gniewu” z roku 1989. Kandydaci na abiturientów niezdolni do zrozumienia utworu zemicili się na autorce, wysyłając jej tysiące wiadomości z pogroźkami i wyzwiskami. Rynsztok. („Jak cię spotkam, będzie z Tobą źle”, „Sylvie gnido, spalę ci dom, wszystko spieprzyłem przez ciebie, tak to są groźby” itp.). Germain została zlinczowana.

Do tej sprawy dorzuca się inna: na rozszerzonej maturze z francuskiego jedno z pytań brzmiało: „Czy według ciebie gra jest zawsze ludyczna”? Nie rozumiawszy znaczenia słowa „ludyczny”, uczniowie masowo oddawali czystą kartkę albo pisali nie na temat. I bez żenady do swojej ignorancji przyznawali się w mediach społecznościowych. Myślę, że gdyby „ludyczny” zastąpiono przez „fun”, nie byłoby kłopotów ze zrozumieniem.

U nas jeszcze do takich rzeczy nie doszło tylko dlatego, że nie można napisać SMS-a z pogroźkami do Adama Mickiewicza. Od lat u nas tematy naturalne są boleśnie archaiczne, przewidywalne, nawet te wolne. Ale przypuszczam, że także we Francji afera wybije

z głowy członkom Akademii Francuskiej tematy autorów żyjących... Zbyt ryzykowne.

A u nas? To samo przecież. Mamy już całe pokolenie niezdolne zrozumieć/napisać zdanie złożone, pokolenie o mocno okrojonym słownictwie, pokolenie bezsilne, jeśli nie trzyma w ręku smartfona. Przeczytanie 400-stronowej książki przekracza możliwości intelektualne kilkunastolatka.

I wszystko zmierza w kierunku utrwalenia takich zachowań. Zapamiętywać daty? Po co? Uczyć się chronologicznie historii? Po co? Podręczniki przypominają strony internetowe – teksty w kawałkach, fajna grafika, dużo obrazków. Pedagogika zmierza w kierunku interaktywności. Czytaj: nauczyciel i uczeń mają równe prawa. Precz z nachalną, staroświecką dydaktyką, każdy może się wypowiedzieć. Nauczyciel nie jest już autorytetem intelektualnym, powinien być rodzajem stand-upera, który ma utrzymać uczniów w stanie ciągłego zainteresowania, nawet rozbawienia. A czym można zainteresować? Tylko fajnymi treściami. Podyskutujemy o bitwie pod Grunwaldem, chociaż to nudne. Była w 1410 r.?

Czy wszyscy zgadzają się z tą datą? W końcu każdy ma prawo do własnej opinii. Mali geniusze muszą wyrażać siebie bez skrepowania. W razie czego wysłać SMS komu trzeba. ©©



FOT. AUBREY STICK

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Henryk Walezy ucieka z Krakowa



JACEK KOMUDA

Którédy uciekał król, który po niecałych pięciu miesiącach pobytu w Rzeczypospolitej, dowiedziawszy się o śmierci brata, Karola IX, wybrał koronę francuską zamiast polskiej? Wokół jego decyzji i podróży nagromadziło się do dzisiaj wiele mitów. Porzucając tron na Wawelu, Henryk Walezy ratował Francję, która stała na krawędzi wojny domowej, rozdzielana przez spreczne interesy wielkich rodów oraz konflikt między katolikami i hugenotami. Nieprawdą jest, że nie konsultował z nikim w Rzeczypospolitej swojej decyzji – zwrócił się z zapytaniem do kilku senatorów. Gdy jednak radzili mu postawić tę sprawę przed Sejmem, postanowił wyjechać w ukryciu.

Dziś na Wawelu wielu domorosłych przewodników wskazuje, że uciekał schodami przylegającymi do wieży Jordanki, zwyczajowo nazywanych „schodami Walezego”. Jednak źródła historyczne temu przeczą. Przyjeżdżając do Polski, Walezy zażyczył sobie, aby przygotowywano mu apartamenty, które mogłyby w każdej chwili potajemnie opuścić. Zamieszkał zatem w skrzydle zachodnim, w Bałbińcu, w dawnych pokojach królowej Bony. Jego sypialnia i apartamenty mieściły się na drugim piętrze nad bramą wjazdową na główny dziedziniec zamku. Dziś, stojąc przed nią, wystarczy spojrzeć w górę – trzy okna na najwyższym piętrze, to dawna sypialnia króla. Jak podaje Stanisław Mossakowski, aby się tam dostać, należało z dziedzina wejść „schodami senatorskimi” i po przejściu przez krużganek wkroczyć do dużej sali, sieni, a następnie do komnat królewskich. Nie było to jednak jedyne wyjście...

Nocą z 18 na 19 czerwca 1674 r. król z towarzyszącymi mu



FOT. DOMEN. PUBLICZNA

dworzanami – Janem du Halde'em, Markiem Mironem i kapitanem gwardii Mikołajem de Larchan-tem oraz Gillesem de Souvre'em – zszedł spiralnymi schodami ukrytymi w ścianie na pierwsze piętro. Po przejściu przez dwie sale stanął w komnacie znajdującej się dokładnie nad wejściem do bramy. Stąd prawdopodobnie przedostał się do infirmerii, czyli izby chorych w budynku po południowej stronie. Stąd kolejne schody prowadziły do zamkowej piekarni, gdzie król został rozpoznany przez kucharza Antoniego. Droga ucieczki w ogóle była kręta i ciemna, gdyż, jak pisał potem ks. Płaza, Henryk kilkakrotnie przewrócił się i stukał sobie głowę. Wcześniej Francuzi musieli też wyważyć drzwi prowadzące z królewskich komnat na sekretne, kręcone schody.

Henryk i jego towarzysze dotarli do furtki w murze, nieopodal nieistniejącej dziś Baszty Tęczyńskiej, przez którą wyszli na dzisiejszą drogę do zamku i ul. Bernardyńską. Tam czekały konie, na których grzbietach szybko dostali się do leżącego na zachód od miasta Zwierzyńca, gdzie przy opuszczonej kaplicy czekało kilku kolejnych dworzan. Jak podaje biograf króla, Stanisław Grzybowski, na kolejnym postoju dołączyć mieli Pibrac i Villequier z przewodnikami i tłumaczami, jednak zmylili drogę. Król i towarzysze zabłądzili w lasach na północnym brzegu Wisły, gdzieś w okolicach dzisiejszego Rudniań-

skiego Parku Krajobrazowego. Cudem odnaleźli chałupę drwala, który w zamian za francuskie złoto zgodził się doprowadzić ich do Zatora, gdzie dotarli o świcie, robiąc konno 45 km. Potłuczony Henryk natarł sobie skronie winem, wypił kilka łyków i kazał ruszać dalej – do granicy.

Szybko dojechali do pobliskiego Oświęcimia, gdzie odnaleźli się zagubieni doradcy. W tym samym czasie do miasta z drugiej strony wpadł pościg podkomorzego krakowskiego Jana Tęczyńskiego, któremu towarzyszyło kilkunastu Tatarów. Henryk nakazał jechać, zgubił się znowu Pibrac, pozostali przejechali przez drewniany most na Wiśle i uszkodzili go, aby zatrzymać pogoń. Dopadł ich tutaj starosta oświęcimski – biegnąc pieszo, zrzucił ubranie i wskoczył do Wisły, krzycząc: „Serenissima Majestas, cur fugis?”. Król i jego piśszczoski rozeźmieli się tylko i pognali dalej – na Pszczynę.

I właśnie tutaj, przed miastem, dopadł ich Tęczyński z pościgiem. O mało nie doszło do walki, Francuzi chwycili za rapiery i pistolety. Podkomorzy jednak błagał tylko o chwilę rozmowy. Król zgodził się, wyjaśnił swoje racje, ale odmówił powrotu. Oświadczył zarazem, że nie rezygnuje z tronu polskiego. Tęczyński chwycił za szablę, ale nie zamachnął się na uciekającego króla. Zaciął się tylko w rękę i na własną krew przysiągł wierność Henrykowi, który odjechał do Frysztatu nad Olzą, aby na zawsze zniknąć z kart polskiej historii. Piętnaście lat później zginął zaszytletowany przez Jacques'a Clémenta, fanatycznego dominikanina, zarzucającego mu zbytnie ustępstwa wobec hugenotów. 12 września w pożegnalnym liście pisanym już z Lionu, z ogarniętej religijnym wzburzeniem Francji, złożył hołd konfederacji warszawskiej. ©

RYS. MART

I RZECZYPOSPOLITA

• Kraków



JERZY KARWELIS

DEKAMERONKI

Superrata zamieniona w dług

Wychodzi, że rok 2021 był rekordowy. Dziś dochodzi kolejny „pobity”. Sprawozdanie z działalności NFZ wykazało, że w kasie zostało ponad 10 mld zł. Ewenement, bo do tej pory, nawet w covidowym zaskoczeniu budżetowym, kasa na koniec roku wychodziła na zero, czasami z leciutkim plusem. A tu 10 mld.

Aby zobaczyć, skąd to się bierze, trzeba przeprowadzić analizę „winien – ma”, czyli zobaczyć, skąd ta różnica. Najpierw „ma”, czyli skąd tyle kasy. Po pierwsze, napłynęło zaskakująco dużo ze składki zdrowotnej, po drugie – dołożono sporo ponad plan, zwłaszcza dodatki covidowe dla personelu powiększyły pulę pieniędzy przeznaczonych na zdrowie o ponad 9,2 mld zł. Warto zaznaczyć, że te pieniądze stały się powodem do bardzo krytycznych wyników kontroli przeprowadzonych przez NIK. Kontrola tylko w jednym oddziale (Zachodniopomorskie) wykazała poważne nadużycia i sztuczne „pompowanie” kasy dla personelu.

Spójrzmy na koszty, czyli „winien”. Na co więc poszło mniej, skoro zostało na koniec? Analizy oficjalne wskazują, że jednak na personel. Bo to jego właśnie ubywa i nie ma komu płacić. Z drugiej strony przecież fundusz wynagrodzeń się zwiększył, tyle że, jak widać, dla mniejszej grupy beneficjentów. Co najsmutniejsze, wydaliśmy mniej, bo mniej

leczyliśmy. W apogeum pandemii wydaliśmy mniej, niż planowaliśmy. I to nie dlatego, że poszło lepiej i za dużo odłożyliśmy w stosunku do potrzeb.

Naprawdę przestaliśmy leczyć. Nawet wtedy, kiedy sami sobie naprodukowaliśmy chorych. Majstrując w służbie zdrowia, podporządkowując COVID wszystko, odpuściliśmy inne choroby niż koronawirus. I dlatego nie wyrobiliśmy nawet przedpandemicznych procedur. Dane niewykonanych procedur szpitalnych są zatrważające, 70 proc. ponadnormatywnych zgonów spowodowanych decyzjami administracyjnymi (z 200 tys. osób) to byli ludzie, którzy zmarli w domach. Zestawienie niedoborów procedur szpitalnych pokazuje wszystko praktycznie na czerwono. Średnia procedur szpitalnych w stosunku do 2019 r. waha się w 2021 r. od 60 proc. w styczniu do 88 proc. w sierpniu. Najbardziej spektakularne spadki to 48 proc. wykonanych procedur w zakresie chorób zakaźnych i pasożytniczych, po 59 proc. w zakresie chorób psychicznych i układu nerwowego, nowotwory – 79 proc.

Koronawirus „wyleczył” ok. 25 proc. rakowców, gdyż o tyle procent wydano mniej kart DiLO dla chorych na nowotwory. Tak, mamy superratę, zaoszczędziliśmy pieniądze, zaciągając na wiele lat dług. Zdrowotny. ©©



JAN POSPESZALSKI

#WARTO

Młodzi barbarzyńcy

Zabrze, niedziela 10 lipca. W parafii św. Kamila dwóch nietrzeźwych mężczyzn zakłócało mszę świętą, krzycząc i używając wulgaryzmów. Sprawcy (22 lata i 25 lat) byli agresywni, nawet gdy interweniowała policja. Według obowiązującego prawa, aby zostali skazani, konieczne jest wniesienie oskarżenia przez uczestników mszy i udowodnienie, że działali złośliwie, z premedytacją. Jeżeli ich obrońca zastosuje często stosowany wybieg – że „oskarżeni protestowali na rzecz skuteczniejszego, według nich, rozdziału Kościoła od państwa” i czyn nie był „motywowany złośliwością, tylko wyrażeniem światopoglądu” – nie będą odpowiadać za obrazę uczuć religijnych, lecz za zwykły wybryk chuligański, ot, naruszenie porządku publicznego.

W ostatnich latach lawinowo wzrosła liczba profanacji i bluźnierczych aktów agresji wobec modlących się wiernych, symboli religijnych i duchownych. Opisany incydent to jeden z 2,5 tys. odnotowanych przypadków, wobec których wszczęto postępowania. Dla porównania: w latach 2009–2015 takich postępowań było 163.

Próbując zrozumieć przyczyny fali antyklerykalnej agresji, często wskazywana jest przełomowa data pojawienia się ruchu „Wypie... lać” jako reakcji na orzeczenie TK z 22 października 2020 r. Owszem, ale liczny udział zwykłych obywateli w manifestacjach tzw. strajku kobiet, gdzie dochodziło

do regularnych ataków na kościoły, to wynik, a nie przyczyna. Proces, który narastał i eksplodował. Polska nadal uważana jest za kraj chrześcijański, gdzie metrykalnie zdecydowana większość to katolicy. Antyklerykalizm był zawsze naturalnym elementem intelektualnego i politycznego pejzażu, ale wrogość wobec Kościoła i wiernych to domena komunistów. Po 1989 r. agresywny antyklerykalizm reprezentowany był przez sieroty po nieboszczce PZPR, głównie tygodnik „Nie”, a w nieco bardziej wyrafinowanej formie przez „Wyborczą” i postkomunistyczne media. Istniał jednak konsensus dotyczący funkcjonowania Kościoła w życiu społecznym i obecności symboli religijnych w przestrzeni publicznej.

To przeszłość. Dziś mamy do czynienia już z nowym postchrześcijańskim pokoleniem. Szczególnie w dużych miastach. Znajomy wykładowca szkoły artystycznej poprosił studentów, by uzgodnili z grupą (ok. 20 osób) termin egzaminu ustnego. Studenci zaproponowali czwartek 16 czerwca. Wtedy profesor zwrócił uwagę, że to Boże Ciało, dzień ustawowo wolny od pracy i ważne święto religijne. Studenci odpowiedzieli: „Co z tego? Nam wszystkim termin odpowiada”. Wykładowca poprosił kategorycznie o inną datę i wtedy zaproponowali 19 czerwca – niedzielę. Młodych adeptów sztuki od barbarzyńców z Zabrza różni tylko zawartość alkoholu we krwi. ©©

SŁAWOMIR
JĄSTRZĘBOWSKI

ĆWIERKOT

Natenczas zadziwienie

Rozpoczęły się ferment i dywagacje, ale nie wiadomo, czy będzie pite, nie wiadomo. Tusk Donald rozpoczął słowem, że jak on przejmie władzę, a wiadomo przecież, że wkrótce, to on sprawdzi czterodniowy tydzień pracy. Natenczas powstały wielkie zadziwienie i szeptanie. Ale że jak? On, chadek (ludzie cały czas tak myślą, serio), proponuje czterodniowy tydzień pracy w kraju, który goni Zachód i się boryka z inflacją? Czy to jest z tożsamością partii (można powiedzieć z DNA, to się błysnie) Platforma Obywatelska zgodne? No chyba nie za bardzo. A może?

Trudno w sumie powiedzieć coś o tożsamości chadeków po różnych przepychaniach się np. z Kościołem, więc szeptano i wiercono się na te słowa. Wierciła się szczególnie Lewica polska. Był nawet taki pomysł, żeby na Donalda donieść do prokuratury, że zajmować usiłuje program Lewicy. Czemu on swojego nie ma? Prawnicy uznali jednak, że dowodowo słabe, ale będą się przyglądać. Natenczas podniosły się głosy, że może właśnie Platforma program ma, i to taki szeroki, że dla wszystkich starczy miejsca pod wielkim dachem nieba – jakby dośpiewał Edward S.

Kiedy po słowach Donalda buzia się przymknęła, po zadziwieniu zaczęto analizować na serio ów pomysł. Nie będziemy tu pisać o ludziach podłych, pomawiających, że

jak Tusk był premierem, to on pracował właśnie cztery dni w tygodniu, a czasem nawet nie – i działało. Takimi językami się brzydzimy, poza tym nie zgromadziliśmy argumentów, że działało. My tu na poważnie, acz skróto. Jeśli ktoś ma przez cztery dni wykonać to, co wcześniej robił przez pięć, to chyba będzie się musiał szybciej uwijać, bo robota do zrobienia przecież chyba ta sama? Chyba że ten ktoś był do tej pory leniem i tego jednego dnia to i tak nie pracował? A jeśli jednak mniej robić ktoś będzie przez cztery dni niż przez pięć, to chyba trzeba mu mniej zapłacić? Jak można tyle samo płacić za mniej wykonanej roboty?

Oczywiście w nowoczesnie lewicowym myśleniu można, bo w tym nurcie pieniądze rosną na drzewach i się je rozdaje, bo „pieniądz prawem, nie towarem”. Tyle że takie myślenie zawsze kończy się katastrofą pustopółkową i tłumem zdziwionych ludzi na ulicy, że socjalizm nie działa. No nie działa, to znaczy działa do czasu, jak są pieniądze po kapitalistach, potem niestety, przykro mi, nie działa. Tak to już w historii było, że lenie czy tam nieroby nie robiły dobrobytu. Ale o tym wszystkim będzie się jeszcze dyskutować wielostronnie. Natomiast rewolucją francuską trąci pomysł reformy kalendarza i wprowadzenia trydnio-wego tygodnia: niedziela, poniedziałek i sobota (soboty oczywiście wolne). Czy to nie idzie za daleko? ©

Autor jest właścicielem portalu Salon24.pl.

MAŁGORZATA
WOŁCZYK

PIÓRKIEM I PAZURKIEM

W Polskę jedziemy!

Małgośka, mówią mi, pomóż polskiej turystyce, zniechęcaj do Hiszpanii, bo już wystarczy, że turyści z Zachodu masowo odwołali rezerwacje. Niech przynajmniej patrioci na urlop w Polskę jadą! W Gdańsku ponoć pustawo i nawet we Władysławowie nie trzeba już świtem biec, żeby obóz rozbić na plaży i opalikować areał dla rodziny.

Podjęmuję więc wyzwanie, choć i tak wszyscy wiemy, że podróże za granicę są przereklamowane: drogo, gorąco i do domu daleko. Poświęcamy się właściwie tylko po to, żeby wstawić parę zdjęć na social media i aby znajomym zawistnikom gula wyszła. W dodatku nie lubią nas za granicą i powtarzają plotki, że nie prowadzimy się praworządnie, że Polacy chodzą w skarpetach do san-datów, a Polki w szpilkach po pięciotysięcznikach. I po co jechać? Żeby patrzeć, jak inni naszą kasę z KPO przejadają? A przecież to my żyrujemy kredyty UE, nie mając z tego ani euro! Strzelmy narodowego focha i ani kroku za granicę!

Ja odradzam, tym bardziej że już prawie wszędzie w Europie byłam, więc prawdę zeznaję: szalu nie ma. Niby człowiek chodzi po Florencji, Marsylii czy Barcelonie, a i tak wychodzi, że znów w Maroku wylądował, sklepy halal na każdym rogu i ludzie w powłóczystych szatkach.

Trzeba więc oczy mieć dookoła głowy, z dzieckiem

każde wejście do muzeum wynegocjować, przy każdym zakupie cenę mnożyć przez 4,7, zdziwienie przełykać, apetyt tracić, post podejmować, żeby na końcu cały portfel stracić w metrze pełnym kieszonkowców. Poza tym upał otępia człowieka, nokautuje intelekt, aktywuje tylko instynkt przetrwania i ciekawość w rodzaju: Którędy do wodopoju i cienia? I nie czarujmy się, zwłaszcza w upalnej Hiszpanii człowiek traci wszelkie zainteresowania kulturą wysoką i zamiast zwiedzać Alhambrę, woli pozostać dłużej na dziale mrożonek w Alcampo (ichni Auchan).

Jeszcze ja, która nigdy z biur turystycznych nie korzystałam (bo nie uznaję w ogóle pośredników chcących zarabiać na moim wypoczynku), jako kierownik, pilot wycieczki, tłumacz – nigdy nie odpoczywam i z urlopu wracam ostatkiem sił. A gdzie jeszcze wydolność, aby z godnością znieść wszystkie cyhające na nas przygody? Raz się w Porto zamyśliłam, szlabanu opadającego nie zauważyłam (ale poczułam!) i potem lekarz w szpitalu pyta mnie po portugalsku, czy pamiętam, czy szlaban był o przekroju kwadratowym czy okrągłym, bo to ponoć ważne w urazach. Dlatego kto nie jest w dobrej komitywie z Aniołem Stróżem, niech się za granicą nie włóczy! Ja się poświęcę i w sierpniu za was do Hiszpanii pojedę. ©

GRZEGORZ
KUCHARCZYK

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Kwestia **idei i charakteru**

Ileż dobrego może zrobić pięciu sprawiedliwych sędziów! Niedawny wyrok amerykańskiego Sądu Najwyższego (SCOTUS) kasujący po niemal 50 latach krzyżującą niesprawiedliwość, wedle której „konstytucyjnym prawem” każdej Amerykanki była możliwość zabicia własnego, nienarodzonego dziecka, jest tego doskonałym przykładem. Wyrok zapadł stosunkiem głosów pięć do czterech dla życia. Dzień po ogłoszeniu wyroku w wielu stanach weszły w życie ustawy ograniczające zabijanie nienarodzonych dzieci. Kilka filii śmiercionośnych koncernów z dnia na dzień zamknęło swój krwawy biznes. Z pewnością uratowanych zostało w ten sposób wiele istnień ludzkich.

a ten „włos” zapewnił Trumpowi wyborcy chrześcijańscy; ci, którzy bez względu na denominację na serio wierzą w Chrystusa i poważnie traktują Boże przykazanie „Nie zabijaj!”.

W ostatecznym rozrachunku więc to idee mają najpoważniejsze konsekwencje. Ale potrzeba jeszcze charakteru. Donald Trump – enfant terrible Partii Republikańskiej, mąż trzeciej żony, niesłyszany raczej z ascetycznego trybu życia – zdobył się na czyn heroiczny: dotrzymał słowa wyborcom, którym zawdzięczał przeprowadzkę do Białego Domu. Podczas kampanii prezydenckiej w 2016 r. wielokrotnie deklarował, że zmienił swoje wcześniejsze, ultraliberalne (pro-choice) stanowisko wobec aborcji, dostrzegając

pro-life i którzy doskonale wiedzieli, że ojcom założycielom amerykańskiej republiki przez głowę nie przeszłoby traktowanie aborcji jako „konstytucyjnego prawa”. Wskazał takich, którzy mieli charakter. Wytrzymali falę hejtu i zastraszania na długo przed wyrokiem (tak należy potraktować np. piekło, jakie demokraci urządzili w Senacie sędziemu Brettowi Kavanaugh). Nie przestraszyli się zadym urządzanych przez lewackie bojówki przed ich domami. Nie ulegli „rozsądnemu podejściu”, które wcześniej było przedśmionkiem kapitulacji dla wielu „konserwatywnych” sędziów. Dość wspomnieć sędziego Anthony’ego Kennedy’ego (katolika i nominata Ronalda Reagana), który w 2015 r. przechylił szalę na korzyść większości głosującej za legalizacją tzw. małżeństw jedнопłciowych na poziomie federalnym. Za „konserwatystę” uchodzi również prezes SCOTUS John Roberts (chief justice), który teraz przyłączył się do mniejszości głosującej za utrzymaniem „konstytucyjnej licencji na zabijanie” nienarodzonych Amerykanów. Nikt z nominatów Trumpa nie zawiódł. To kwestia charakteru.

Niektórzy za oceanem mówią, że wyrok SCOTUS za życiem to prawdziwy cud. Wskazuje się w tym kontekście na fakt, że ogłoszenie tego wyroku nastąpiło w święto Najświętszego Serca Jezusowego. Faktycznie, koincydencja czasowa robi wrażenie. A jeśli do tego dodamy dwa inne, niezwykle rzadko spotykane zjawiska, które ostatecznie zaważyły: polityka dotrzymującego słowa i sprawiedliwych sędziów, wydarzenie jest naprawdę cudowne. ©

Wybory w USA rozstrzygnęły się o włos, a ten „włos” zapewnił Trumpowi wyborcy chrześcijańscy; ci, którzy bez względu na denominację na serio wierzą w Chrystusa i poważnie traktują Boże przykazanie „Nie zabijaj!”

Słusznie wskazuje się, że wyrok za życiem amerykańskiego Sądu Najwyższego to ostatnie (na razie) osiągnięcie – zresztą największe – prezydentury Donalda Trumpa. Z pięciu sprawiedliwych sędziów aż trzech zostało mianowanych właśnie przez niego i zatwierdzonych przez republikański w większości Senat. Gdyby nie ten prezydent, nie byłoby tych sędziów. Nie byłoby jednak prezydenta Trumpa, gdyby nie decyzja wyborców, którzy w 2016 r. jemu powierzyli najwyższy urząd w państwie. Wielu wyborców Trumpa kierowało się wtedy (i później) względami ideowymi. Wybory rozstrzygnęły się o włos,

w tym procederze straszliwe zło. Mówiono, że to oportunizm, że to tylko gra o ideowych, ale naiwnych wyborców chrześcijańskich. Przecież kogo jak kogo, ale Trumpa trudno podejrzewać o specjalny szacunek dla „cywilizacji życia”. A tymczasem przez swoje trzy nominacje do Sądu Najwyższego zrobił dla niej więcej niż wielu letnich biskupów katolickich w USA, którzy przez długie miesiące debatowali (bez konkluzji) nad tym, czy godzi się udzielać Komunii Świętej politykom – katolikom zaangażowanym w promocję „cywilizacji śmierci”.

T rump nie tylko wskazał trzech sędziów, którzy znani byli ze swojej postawy

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA



FOT. W. CEJROWSKI/D. JAROSŁAW SKOŚCIS

Morawiecki rozszerzył mnie do tego stopnia, że gdy o nim napisałem, zamknęli mi konto na Facebooku (podobno czasowo, ale nie określili na jak długo). Z okazji rocznicy mordu na Wołyniu premier RP stwierdził, że za tamte zbrodnie odpowiadają Niemcy, bo to oni wtedy zarządzali Ukrainą. Oskarżył Niemców o to, że Ukraińcy nadziewali polskie dzieci na sztachety, krzyżowali ojców na drzwiach stodoły i kazali im patrzeć, jak gwałci się ich córki i żony.

Za pomocą takiej logiki można wiele zbrodni scedować na kogoś innego i umyć ręczki prawdziwemu zbrodniarzowi. Kto rządził Polską za czasów PRL? Ruscy. To po co nam IPN? Wysilają się niepotrzebnie, bo za wszystkie zbrodnie komunistyczne w PRL odpowiadają Ruscy, czyli nie ma powodu grzebać w polskich teczkach.

Jeżeli premier oczywiście myśli i uważa, że zarządzający danym obszarem odpowiada za zbrodnie na swoim terenie, to czemu nadal utrzymujemy stosunki ze zbrodniczym państwem o nazwie Chiny? Tam są w tej chwili (dzisiaj!) obozy koncentracyjne. Tam (dzisiaj!) więzi się i morduje mniejszości religijne i narodowe. I sytuacja z Chinami jest bardzo jasna, gdyż na terenie Chin zbrodni dokonują Chińczycy, a nie jakaś obca siła okupacyjna. Zbrodni dokonuje władza, z którą premier RP utrzymuje stosunki i ściska jej rękę w ramach prowadzonej polityki, dyplomacji i handlu. A w Warszawie poza ambasadą Chin jest też Bank of China, któremu premier RP mógłby zakazać działalności. Nie robi tego – utrzymuje stosunki ze zbrodniarzami, spotyka się z nimi, uśmiewa się i podaje rękę.

Chiny Ludowe popełniają też zbrodnie podobne do wołyńskich. Ukraińcy przecinali brzuchy ciężarnym Polkom i wywlekali dzieci z łona. Chińczycy (dzisiaj!) robią to samo kobietom, które zaszyły w „nielegalną ciążę”. Nie robią tego bagnietem, lecz w gabinecie – aborcja przemocą, wbrew woli matki. Czy Morawiecki uważa, że charakter zbrodni zmienia się, gdy rzecz odbywa się w przychodni, a nie na podwórku? Jego to chyba nie bardzo obchodzi – zarzynanie na Wołyniu ani zarzynanie w Chinach – byle interes się kręcił.

Premier stawia interesy doraźne ponad prawdą i zbrodnią – z Ukrainą ma być miło i przyjemnie za wszelką cenę. Pszenica na skupie jeszcze w kwietniu była po 2 tys. zł, teraz jest po 1 tys. zł i dalej spada, bo premier wpuszcza ziarno z Ukrainy. To jest walka z inflacją? Jeżeli tak, to wulgarna i krótkoterminowa. Czasowo obniżona cena na pszenicę rujnuje polskich rolników – po wojnie cena wróci do normy, ale niektórych rolników już nie będzie. Wtedy co? Zaczniemy kupować ziarno z Ukrainy po 5 tys. zł i oni zarobią? Taki jest ten pomysł? Nie wiem, na ile Morawiecki ma świadomość, ale to jest część resetu – likwidacja małorolnych.

Innych też się zlikwiduje – Jarosław Kaczyński na wiecu w Ostrowcu Świętokrzyskim zapowiedział nałożenie podatków na przedsiębiorców, gdy nie obniżą cen. Łał! Nawet się nie kryje z zamiarami i nie przebiera w słowach.

I... dostał brawa swojego tłumu. Tłum ślepców?

W podręczniku historii komunizmu taki podatek karny nakładany na „spekulantów” za zbyt wysokie ceny ma nazwę „domiar” i był częścią „bitwy o handel” oraz kolejnych działań prowadzących do likwidacji „prywatyzacji”, czyli małych przedsiębiorców. Najpierw pojawiła się drożyzna (inflacja), potem zdefiniowano wroga, a następnie wroga zlikwidowano – w latach 1947–1949 z rynku zniknęła połowa prywatnych sklepów w Polsce. Gdy pozniakały sklepy, pozniakali też dostawcy ze swoimi warsztatami i wytwórniami, bo nie mieli gdzie sprzedawać towaru. Wolny rynek przejęły przedsiębiorstwa i fabryki państwowe.

Dziś plan jest taki, by na rynku zostały spółki Skarbu Państwa oraz korporacje, bo z nimi władza się dogada łatwo, proponując ulgi podatkowe, koncesje, licencje oraz... zamówienia rządowe. Mali mają zniknąć, bo mali są samodzielni i niezależni, a władza takich nie lubi.

Nie tylko polska władza – w Holandii protesty 40 tys. rolników indywidualnych nie powstrzymały rządu przed masową likwidacją gospodarstw rodzinnych.

Holandia ma bardzo dużą produkcję rolną, a Komisja Europejska chce zlikwidować co najmniej 10 proc. produktów rolnych – Zielony Ład niszczy rolnictwo planowo. Reset – na rynku mają zostać korporacje rolne, czyli mówiąc językiem historycznym – latyfundia, i typy takie jak Bill Gates, który od kilku lat wykupuje ogromne połacie ziemi uprawnej

w USA, ruguje z ziemi małych rolników i zakłada plantacje tej swojej gumowej soi i kukurydzy GMO. Z tego produkuje się już nie żywność, lecz paszę dla ludzi, a docelowo mamy nie jeść mięsa, lecz „substytut białkowy”, bo to dobre dla klimatu. Gdy Bill Gates testował „kotlet” z własnego substytutu, skrzywił się do kamery, że bardzo niesmaczny, ale zaraz potem dodał, że będziemy się musieli przyzwyczaić, bo tego wymaga dobro planety.

To, co uprawiają na swoich polach wielkie korporacje, już w tej chwili jest niejadalne. Można umrzeć z głodu pośrodku pola – kukurydza jest niejadalna, bo to prawie czysta skrobia, którą najpierw trzeba poddać obróbce. Korporacja rolna sprzedaje niejadalną kukurydzę korporacji wytwarzającej wysoko przetworzone jedzenie – paszę dla ludzi. Kukurydza trafia najpierw do czegoś w rodzaju przemysłowych żołądków i tam miesza się ją z kwasami i innymi chemikaliami uzdatniającymi, i dopiero po takiej obróbce staje się półproduktem żywnościowym. Oto kierunek resetu. A na przeszkodzie stoją mali rolnicy, małe piekarnie, masarnie i sklepy. Na przeszkodzie resetu stoi każdy indywidualny przedsiębiorca. Masz coś? To pamiętaj, że oni chcą ci to zabrać. I nie ważne, czy to jest warsztat samochodowy, gospodarstwo rodzinne czy piekarnia – im przeszkadza twoja samodzielność. Im przeszkadza to, że wciąż jeszcze jesteś na swoim, a nie pracujesz u nich na pensji.

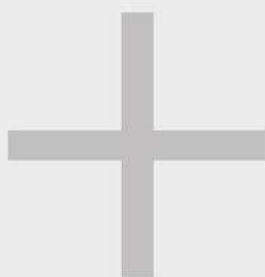
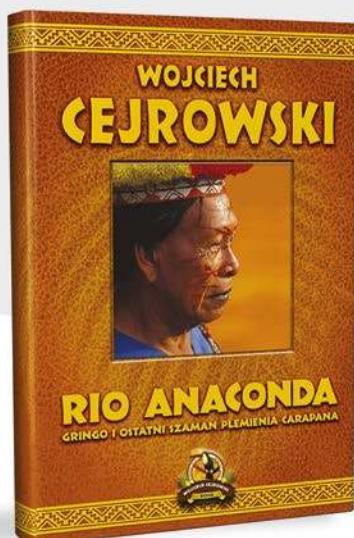
Kim są „oni”? Poznasz ich po braku skrupułów. No np. po tym, że potrafią beczelnie kłamać na temat zbrodni wołyńskiej i wstydu nie mają. Strzeż się ludzi bez skrupułów – tacy mogą ci zrobić wszystko, gdyż nic ich nie powstrzymuje przed niczym. ©

Uwaga: nowe ceny!

TYGODNIK LISICKIEGO
**DO
RZECZY**

ROCZNA PRENUMERATA

**TYGODNIKA „DO RZECZY”
I MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY”**



~~1163~~ zł

W PREZENCIE

KSIĄŻKA

WOJCIECH CEJROWSKI
„RIO ANACONDA”

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

363,00 zł

OSZCZĘDNOŚĆ 800 zł

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania

| Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat

| W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE

WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NR 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**

W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail

ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: **SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL**

WIĘCEJ INFORMACJI

E-MAIL: prenumerata@mpg.pl

TELEFON: 508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00)

INTERNET: subskrypcja.dorzeczy.pl

eprasa.pl f853a79b9b



Ochrona polskiej granicy wschodniej

BANKNOT KOLEKCJONERSKI NBP



Narodowy Bank Polski wprowadza do obiegu banknot kolekcjonerski o nominale 20 zł „Ochrona polskiej granicy wschodniej”. Banknot został wyemitowany w hołdzie funkcjonariuszom Straży Granicznej, policjantom i żołnierzom Wojska Polskiego, którzy strzegąc naszego terytorium, dają dowody najwyższego profesjonalizmu oraz oddania państwu polskiemu i jego obywatelom.

Banknot kolekcjonerski do nabycia od 19 lipca 2022 r. w Oddziałach Okręgowych NBP oraz w sklepie internetowym: kolekcjoner.nbp.pl